

BIULETYN IPN

nr 10 (31)/2014

pamięć **pl**

Osaczony ks. Jerzy Popiełuszko Julian Kułski – jeniec ratusza Kościuszko w propagandzie PRL

Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 10 500 egz.

Dodatek specjalny:
broşura *Błogosławiony ksiądz*
Jerzy Popiełuszko (1947–1984)
i płyta z filmem *Jestem gotowy na wszystko*

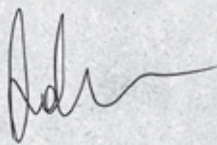


Zapraszamy także na nasze strony internetowe: www.mowiawieki.pl oraz www.facebook.com/mowiawieki

2 AKTUALNOŚCI IPN**4 KALENDARIUM****6 Z PIERWSZEJ STRONY****FELIETON****8** Krzysztof Gottesman, **Kłamstwo, propaganda i...****STOP-KLATKA****10** Robert Szcześniak, **Ostatnia droga męczennika****Z ARCHIWUM IPN****14** Grzegorz Wołk, **Morderstwo Popiełuszki „aprobujemy”****WYWIAD****16** **Czekamy na zmianę prawa**
– rozmowa z dr. hab. Krzysztofem Szwagrzykiem**18** **Lekcja historii Polski**
– rozmowa z ks. Michałem Kotowskim**19** **Pamiętki, które mówią prawdę**
– rozmowa z Katarzyną Soborak**WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU****21** Marek Piotr Deszczyński,
1919: wojna o Śląsk Cieszyński**26** Krzysztof Łagojda, **Pozwolenie na miłość****29** Magdalena Semczyszyn, **Dwa oblicza Reginy****34** Damian Kwiek, **Jeniec ratusza****39** Tomasz Leszkowicz, **Różne twarze Kościuszki****43** Jakub Gołębiewski, **Osaczony****48** Magdalena Dźwigał, Filip Gańczak, **Mężczyzna z tatuażem****PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU****52** Jerzy Eisler, **Mąż swojej żony****Z BRONIĄ W RĘKĘ****55** Michał Mackiewicz,
Francuska „siedemdziesiątka piątka”**ORZEŁ BIAŁY****58** Tomasz Zawistowski,
Kompas ukryty pod orłem**PRZEMINĘŁO Z PEERELEM****62** Michał Siedziako, **Głosowanie bez skreśleń****64 ĆWIERĆ WIEKU BEZ CENZURY****STRAŻNICY NARODOWEJ PAMIĘCI****66** Tomasz Sudół, Piotr Wiejak,
Tysiące przedmiotów ukrytych pod ziemią**68** Sylwia Szafrąńska, **Ciemność w trzech językach****EDUKACJA HISTORYCZNA****70** Karol Usakiewicz, **Kamienie pamięci:
w tym roku duchowni****71 RECENZJE****73 BIBLIOTEKA IPN**

W październiku tego roku mija 30 lat od śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. Nie był to ani pierwszy, ani ostatni katolicki duchowny szykanowany i zamordowany przez aparat bezpieczeństwa PRL. Jego śmierć stanowi jednak najbardziej bodaj wstrząsający przykład brutalności władzy komunistycznej – nawet nie wobec przeciwników politycznych *sensu stricto*, lecz wobec tych, którzy ośmielali się upominać o sprawiedliwość i prawdę (co z definicji stanowi zagrożenie dla totalitaryzmu). Napisałem „aparat bezpieczeństwa” automatycznie – bo taka fraza często pojawia się na kartach książek i artykułów, ale przecież brutalnego zabójstwa nie dokonał jakiś bezosobowy mechanizm, tylko funkcjonariusze (słowo „oficerowie” też nie chce mi przejść przez pióro) MSW. Raczej więc należałoby napisać: mordercy w służbie PRL. Ale przecież oni byli tylko częścią owego aparatu właśnie. Aparatu, który tworzyli. W tym numerze sporo miejsca poświęciliśmy sprawie kapelana Solidarności. Jakub Gołębiowski, analizując teczkę SOR kryptonim „Popiel”, ukazuje obraz – z pewnością nie całościowy, ale wiele mówiący – szykan i stopniowego, narastającego osaczania ks. Jerzego Popiełuszki. Z kolei w dziale STOP-KLATKA Robert Szcześniak prezentuje materiał z wizji lokalnej i rekonstrukcji zdarzeń przeprowadzonych w czasie procesu zabójców, czyli jak „aparat” tropił samego siebie. Oczywiście, oficjalnie była to rzekomo „samowola” pracowników, od których władza natychmiast się odcięła. Uczyniła to m.in. ustami rzecznika rządu Jerzego Urbana – tego samego, który jeszcze kilkanaście miesięcy wcześniej msze za ojczyznę nazywał „seansami nienawiści”. Obrazu dopełniają dokumenty omówione przez Grzegorza Wołkę w rubryce Z ARCHIWUM IPN: raport dotyczący sytuacji wewnątrz resortu po aresztowaniu morderców oraz fragment obłudnych kondolencji generała Kiszczaka, przełożonego zbrodniarzy. Nie każdemu dana jest wytrwałość i niezłomność, które cechowały ks. Jerzego Popiełuskę. Regina Mordas-Żylińska, przypomniana w artykule Magdaleny Semczyszyn, jest przykładem tragicznego, szarpanego sprzecznymi życiorysu, w którym droga od bohaterskiej łączniczki AK do bezwzględnej agentki komunistycznej służby bezpieczeństwa wydaje się tak krótka i łatwa, że aż przerażająca. Jednoznacznej ocenie (choć zapewne znajdą się i tacy, którzy wątpliwości nie mają) wymyka się z kolei Julian Spitośław Kulski – burmistrz Warszawy w okresie okupacji niemieckiej. Hitlerowski kolaborant? Agent Armii Krajowej? Komunistyczny neofita? Sprytny oportunist? Wszystko razem czy żadne z powyższych? Materiały źródłowe nie rozwiewają wątpliwości. O nietuzinkowej postaci pisze Damian Kwiek. W tych trojgu bohaterach październikowych artykułów (a to oczywiście nie wszystko, co przygotowaliśmy) skupiają się niemal wszystkie najważniejsze wątki najnowszej historii Polski. Zagmatwanej, pełnej rozterek, wątpliwości, przykładów niezłomności, zachwiania moralności i zwykłej zdrady. Wartych pamiętania.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



■ **Stefan Starzyński**, prezydent Warszawy w latach 1934–1939, został zamordowany przez gestapo już w grudniu 1939 roku – to najważniejsze ustalenie zakończonego 8 września **śledztwa IPN**. W jego ramach przesłuchano świadków w kraju i za granicą oraz przeprowadzono szeroką kwerendę archiwalną w Polsce i Niemczech. Odrzucono hipotezy o śmierci Starzyńskiego między 1940 a 1945 rokiem w jednym z obozów koncentracyjnych lub więzień na terenie Rzeszy. Prokuratura IPN ustaliła, że prezydent został rozstrzelany w Warszawie lub jej okolicach. Udało się poznać nazwiska trzech funkcjonariuszy gestapo, którzy dokonali tej zbrodni. Nie zdołano natomiast jednoznacznie ustalić, kto wydał rozkaz zabójstwa Starzyńskiego.

■ W Białymstoku, Gdańsku i Warszawie IPN prowadził we wrześniu **poszukiwania ofiar terroru komunistycznego**. W trakcie prac ekshumacyjnych w kwaterze nr 14 **gdańskiego Cmentarza Garnizonowego** wydobyto – pochowane niekiedy w półtrumnach – szczątki kilkunastu osób, w tym młodej kobiety z przestrzeloną czaszką. Określenie tożsamości będzie możliwe po przeprowadzeniu badań genetycznych. Na terenie aresztu śledczego w Białymstoku wydobyto szczątki kilkudziesięciu osób – kobiet, mężczyzn i dzieci. Prawdopodobnie są to ofiary zarówno zbrodni komunistycznych, jak i wcześniejszych niemieckich. Z kolei na terenie kwatery „Ł” Cmentarza Wojskowego na stołecznych Powązkach, gdzie pierwsze ekshumacje odbyły się dwa lata temu, wydobyto tym razem szczątki dwóch osób. Więcej o tegorocznych pracach na Powązkach w rozmowie z dr. hab. Krzysztofem Szwaagrzykiem na s. 16.



Fot. Piotr Życieński

pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,
dr hab. Robert Klementowski,
dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej
Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz,
dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyżewski,
dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman,
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,
Agnieszka Jaczyńska, dr Andrzej Krajewski,
dr Konrad Rokicki, dr Paweł Rokicki,
dr Paweł Sasanka,
dr Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty
Redakcja: Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,
Jakub Gołębiowski,
Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska
Sekretariat: Maria Wiśniewska
tel. 22 431 83 47, faks 22 431 83 11
Korekta: dr Magdalena Baj
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrńska
Skład i łamanie: Sylwia Szafrńska
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,
Warszawa

Adres do korespondencji:

ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

www.ipn.gov.pl

Druk: LEGRA sp. z o.o.

ul. Albatrosów 10c, 30-716 Kraków

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych
tekstach.

■ We wrześniu pod patronatem IPN odbył się **VI festiwal filmów dokumentalnych „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci”**. Przez trzy dni w Teatrze Miejskim w Gdyni można było oglądać filmy poświęcone historii najnowszej. Równolegle odbywały się m.in. warsztaty filmowe dla młodzieży, gra miejska, dyskusje panelowe i występy muzyczne. Złoty Opornik – nagroda główna festiwalu – przypadł Jarosławowi Krychowiakowi, reżyserowi filmu *Na skrzydłach nadziei*, ukazującego heroiczną pomoc lotników dla walczącej Warszawy. Nagrodę specjalną otrzymał Marek Widarski za film *Powstanie i medycyna. Chcieliśmy żyć*, poświęcony pamięci służb medycznych AK. Platynowy Opornik za całokształt twórczości odebrał Robert Kaczmarek – reżyser, scenarzysta i producent filmowy. Nagrodę im. Janusza Krupskiego, przyznaną za odwagę w podejmowaniu trudnych tematów, zgarnęli Agnieszka Porzezińska i Paweł Sobczyk, twórcy *Tajemnicy tajemnic*. Nagroda Dyrektora Festiwalu NNW trafiła do Sophii Turkiewicz, która w filmie *Niegdyś moja matka* przedstawiła losy własnej rodziny. Wręczono również nagrodę Źródła, przeznaczoną dla historyków, którzy inspirowali twórców do pracy nad filmami o polskiej historii. Laureatem został prof. Piotr Niwiński z Uniwersytetu Gdańskiego, badacz dziejów Armii Krajowej na Kresach. Nagroda Anioł Wolności za najlepszy film w ramach projektu „Młodzi dla historii” powędrowała do uczniów z Chelma, autorów *Skazanego na karę śmierci*. Sygnetami Niepodległości uhonorowano z kolei kilkanaścioro „wyjątkowych świadków historii, bohaterów walk o wolność”.



■ Już po raz szósty rusza **akcja „Zapal znicz pamięci”**, przypominająca o eksterminacji polskich elit na ziemiach wcielonych do III Rzeszy. W południe **26 października** w miejscach kaźni zapłoną znicze. Zdjęcia tak upamiętnionych miejsc można będzie przysyłać na adres znicz@dzieje.pl, a następnie obejrzeć na stronach internetowych www.dzieje.pl i www.radiomerkury.pl. Więcej informacji na temat tej wspólnej akcji rozgłosi regionalnych Polskiego Radia z Bydgoszczy, Gdańska, Poznania, Katowic i Łodzi oraz oddziałowych Biur Edukacji Publicznej IPN z tych pięciu miast można znaleźć m.in. na stronie www.zapal-znicz.ipn.gov.pl.

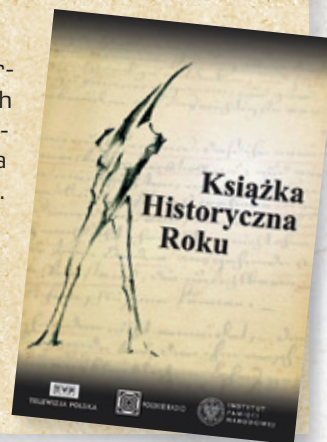
■ Trwa siódma edycja **konkursu „Książka Historyczna Roku”** o nagrodę im. Oskara Haleckiego. W kategorii **„Najlepsza książka naukowa poświęcona dziejom Polski i Polaków w XX wieku”** jury nominowało następujące publikacje:

- *Niezależni kombataneci w PRL* (wyd. IPN, BARBARA)
- *Zapomniani dygnitarze. Pierwsi sekretarze Komitetu Wojewódzkiego PPR/PZPR w Gdańsku w latach 1945–1990. Szkice biograficzne* (wyd. IPN Gdańsk)
- *Stefan Korboński (1901–1989). Działalność polityczna i społeczna* (wyd. IPN)
- *Przyjaźń, której nie było. Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego NRD wobec MSW 1974–1990*
- *Polska w dyplomacji czechosłowackiej 1926–1932*
- *Powrót ludności polskiej z byłego Imperium Rosyjskiego w latach 1918–1937*
- *W 89 lat dookoła świata. Aleksander Tansman u źródeł kultury i tożsamości*
- *Zwyczajny bohater. Życie i działalność Henryka Bąka (1930–1998)*
- *Pod obserwacją i na podsłuchu* (wyd. IPN Kraków, „Dante”)
- *Trzy czoła proroków z matki obcej. Myśl historyczna Tatarów polskich w II Rzeczypospolitej*.

W kategorii **„Najlepsza książka popularnonaukowa poświęcona historii Polski w XX wieku”** o nagrodę walczą:

- *Klucze do wolności. Ze zbrojną pomocą więźniom Gestapo, SS i NKWD*
- *Wielka odmowa. Agent, filozof, antykomunista*
- *Orzeł niezłomny. Polska i Polacy podczas II wojny światowej*
- *Magdalka i cały świat. Rozmowa biograficzna przeprowadzona z Witoldem Kieżunem przez Roberta Jarockiego*
- *Zajeżdżymy kobylę historii. Wyznania poobijanego jeźdźcy*
- *Pawilon polski na nowojorskiej wystawie światowej (1939–1940) i jego dalsze dzieje*
- *Obietnica. Historia, którą napisało życie*
- *Kresowe Pokucie. Rzeczpospolita ormiańska*
- *Zośkowiec*
- *Oddziały Wyklętych*.

Czytelnicy mogą w wyniku głosowania internetowego wybrać spośród nominowanych najlepsze książki w obu kategoriach. Głosowanie odbywa się przez cały październik na stronie www.ksiazkahistorycznaroku.pl. Swoich zwycięzców wyłoni także jury. Laureaci otrzymają statuetki i nagrody pieniężne o łącznej wartości 60 tys. złotych. Uroczysta gala wręczenia nagród odbędzie się w listopadzie. Organizatorami konkursu są Instytut Pamięi Narodowej, Telewizja Polska i Polskie Radio.



■ Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Katowicach zaprasza uczniów i dorosłych do udziału w regionalnym **konkursie historycznym „Niech świat pamięta o nas... Losy osób deportowanych z Górnego Śląska do ZSRR w 1945 r.”**. Termin nadsyłania prac upływa 31 października. Szczegółowe informacje są dostępne na stronie www.pamiec.pl w zakładce Edukacja/Konkursy/Regionalne.

POSTAĆ MIESIĄCA

1 października 1944: Leopold Okulicki został mianowany komendantem głównym Armii Krajowej.

W czasie I wojny światowej służył m.in. w Legionach Polskich i Polskiej Organizacji Wojskowej, a od listopada 1918 roku – w Wojsku Polskim. Wziął udział w walkach z Ukraińcami o Lwów i wojnie z bolszewikami. Był kilkakrotnie ranny i odznaczany za odwagę. We wrześniu 1939 roku uczestniczył w obronie stolicy przed Niemcami. Po kapitulacji Warszawy współorganizował konspirację. Pełnił m.in. funkcję komendanta okręgu łódzkiego Służby Zwycięstwu Polski, a potem Związku Walki Zbrojnej. Jesienią 1940 roku został komendantem ZWZ na teren okupacji sowieckiej. Wkrótce został jednak aresztowany przez NKWD, uwięziony w Moskwie i poddany ciężkiemu śledztwu. Na wolność wyszedł w sierpniu 1941 roku – po niemieckiej napaści na Związek Radziecki i podpisaniu układu Sikorski-Majski. Objął stanowisko szefa sztabu tworzonej w ZSRR Armii Polskiej gen. Władysława Andersa. Później m.in. dowodził 7. Dywizją Piechoty. Po przerzuceniu do kraju w maju 1944 roku został I zastępcą szefa sztabu Komendy Głównej AK. Wbrew instrukcjom Naczelnego Wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, opowiedział się za wybuchem powstania w okupowanej stolicy. Twierdził, że „z politycznego punktu widzenia Warszawa musi być oswobodzona przez Polaków”.



Fot. ze zbiorów Ośrodka KARTA

► Leopold Okulicki „Niedźwiadek” (1898–1946)

bodzona przez Polaków”. 6 września został p.o. szefem sztabu KG AK. Gdy zapadła decyzja o kapitulacji Warszawy, gen. Tadeusz Komorowski „Bór”, dotychczasowy komendant główny Armii Krajowej, wyznaczył Okulickiego na swojego następcę. Formalna nominacja z rąk prezydenta Władysława Raczkiewicza nadeszła 21 grudnia. Okulicki stanął na czele AK w trudnym momencie – kolejne tereny przedwojennej Polski były zajmowane przez Armię Czerwoną, a sowieckie służby stosowały represje wobec żołnierzy polskiego podziemia. Dodatkowo – po klęsce Powstania Warszawskiego – szerzyły się nastroje zwątpienia i zniechęcenia. 19 stycznia 1945 roku – chcąc pozbawić Rosjan pretekstu do dalszych represji – Okulicki wydał rozkaz o rozwiązaniu AK, zwalniając żołnierzy z przysięgi. W konspiracji miała pozostać kadrowa, skromna liczeb-

nie organizacja „NIE” z Okulickim jako komendantem. Już jednak w marcu generał został podstępnie aresztowany przez NKWD i wywieziony do Moskwy. W czerwcowym procesie szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego skazano go na 10 lat więzienia. Zmarł w Moskwie w niejasnych okolicznościach, nie doczekawszy wolności.

W 1995 roku gen. Leopold Okulicki został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Wałęsę Orderem Orła Białego.

2–6 października 1939: Pod Kockiem rozegrała się ostatnia bitwa wojny obronnej 1939 roku.

Na przełomie września i października 1939 roku wygasały walki na ziemiach polskich. Kapitulowały kolejno Warszawa (28 września), Modlin (29 września) i Hel (2 października). Wciąż jednak nie składała broni Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga, próbująca przedrzeć się z Lubelszczyzny w Góry Świętokrzyskie. Pod koniec września stoczyła pod Parczewem zwycięskie walki z oddziałami sowieckimi. Od 2 października miała



► Generał Franciszek Kleeberg (1888–1941)

przeciwko sobie niemiecki XIV zmotoryzowany Korpus Armijny gen. Gustava Antona von Wietersheima. Mimo przewagi wroga SGO „Polesie” odniosła taktyczne zwycięstwo. Dopiero wobec wyczerpania amunicji i braku środków opatrunkowych gen. Kleeberg podjął decyzję o kapitulacji. „Wykazaliście hart i odwagę w czasie zwątpienia i dochowaliście wierności Ojczyźnie do końca. [...] Jeszcze Polska nie zginęła!” – napisał w pożegnalnym rozkazie do żołnierzy.

5 października 1939: Niemcy rozstrzelali 38 obrońców Poczty Polskiej w Gdańsku.

Nad ranem 1 września 1939 roku, w pierwszym dniu wojny, Niemcy zaatakowali m.in. Poczta Polską w Wolnym Mieście Gdańsku. W gmachu przy pl. Heweliusza znajdowało się w tym czasie kilkunastu pocztowców, uzbrojonych zaledwie w trzy lekkie karabiny maszynowe, karabiny, pistolety i granaty. Według założeń opracowanych przez Sztab Główny Wojska Polskiego, mieli się bronić około sześciu godzin. Wytrwali jednak do wieczora, kapitulując dopiero po podpaleniu budynku przez Niemców. Kilku pocztowców zdołało uciec. Reszta została aresztowana i jeszcze we wrześniu – w dwóch grupach – stanęła przed niemieckim sądem wojennym. Stali potraktowani jak partyzanci i skazani na karę śmierci, a następnie – po zatwierdzeniu wyroku przez gen. Walthera von Brauchitscha – rozstrzelani na poligonie policji gdańskiej na Zaspie. Sędzia Kurt Bode i oskarżyciel Hans-Werner Giesecke – winni tego mordu sądowego – kontynuowali kariery prawnicze w powojennej Republice Federalnej Niemiec. Szczątki pocztowców odnaleziono dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych. Niedługo później – dzięki staraniom publicysty Dietera Schenka – Sąd Krajowy w Lubece przeprowadził rewizję procesu pocztowców, doprowadzając do ich pośmiertnego uniewinnienia, a rada miejska Gdańsk przyznała im tytuły honorowych obywateli miasta.



Fot. AIPN

22 października 1939: Na zagarniętych ziemiach wschodniej Polski władze ZSRR zorganizowały sfałszowane wybory do zgromadzeń ludowych Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi.

Głosowanie poprzedziła kampania wyborcza, prowadzona w typowo sowieckim stylu. Na wiecach prezentowano kandydatów do zgromadzeń, pytając jedynie, kto jest przeciw. Obawa przed represjami sprawiała, że zwykle nikt się nie odzywał. W dniu wyborów krążyły specjalne samochody agitacyjne. W punktach wyborczych można zaś było nabyć towary niedostępne w sklepach i napić się alkoholu. Zdarzało się, że ludzi do urn doprowadzano siłą. „Na głosujących, którzy swój sprzeciw mogli wyrazić jedynie przez skreślenie nazwisk kandydatów, wywierano presję, by głosowali jawnie” – pisze w książce *Od niepodległości do niepodległości* dr Marek Gałęzowski. Odnotowywano nazwiska tych, którzy zdecydowali się skorzystać z kabiny wyborczej. W niektórych lokalach dawano karty w zaklejonych kopertach, żądając, by nie naruszać kopert; w innych karty ze skreśleniami niszczone i zastępowano czystymi. Według oficjalnych danych, frekwencja wyborcza wyniosła ok. 95 proc., a ponad 90 proc. głosujących poparło kandydatów wysuniętych przez komunistów. Wybrane w ten sposób zgromadzenia ludowe w Białymstoku i we Lwowie na swoich inauguracyjnych posiedzeniach zwróciły się do Rady Najwyższej ZSRR z wnioskiem o przyłączenie podległych im ziem do istniejących już republik radzieckich – odpowiednio białoruskiej i ukraińskiej. Władze w Moskwie już na początku listopada przychyliły się do tych „prośb”, dokonując tym samym sprzecznej z prawem międzynarodowym aneksji obcego terytorium. Wkrótce mieszkańcom wschodnich województw RP narzucono obywatelstwo sowieckie.

Fot. AIPN



► Wiec w Smorgoniach; tłum trzyma portrety Stalina i Lenina

24 października 1984: Adam Hodysz, oficer SB współpracujący z opozycją demokratyczną, został aresztowany.

Hodysz jest absolwentem matematyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku. W 1965 roku wstąpił do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W latach 1964–1984 był oficerem Służby Bezpieczeństwa – najpierw kontrwywiadu, a następnie Wydziału Śledczego Komendy Wojewódzkiej MO w Gdańsku. W grudniu 1978 roku – za pośrednictwem zatrzymanego Aleksandra Halla – nawiązał kontakt z opozycją demokratyczną. W kolejnych latach informował Halla o metodach działania SB, planowanych zatrzymaniach, przewidywanych oraz agentach w strukturach opozycji i NSZZ



Fot. Agencja Gazeta

► Adam Hodysz, zdjęcie z 1993 roku

„Solidarność”. 12 grudnia 1981 roku – dzień przed wprowadzeniem w PRL stanu wojennego – ostrzegł, że należy się liczyć z „operacją nadzwyczajną”. Jesienią 1982 roku przekonał do współpracy z podziemiem podoficera SB Piotra Siedlińskiego. Zagrożony aresztowaniem, Hodysz nie chciał się ukrywać. W marcu 1984 roku złożył podanie o zwolnienie ze służby. Zatrzymany, konsekwentnie odmawiał zeznań. We wrześniu 1985 roku Sąd Okręgowy w Słupsku skazał go na trzy lata więzienia. Sąd Najwyższy podwyższył wyrok do sześciu lat. 30 grudnia 1988 roku był oficer Służby Bezpieczeństwa został warunkowo zwolniony, a w 1990 roku – w wyniku rewizji nadzwyczajnej – Sąd Najwyższy oczyścił go z zarzutów. W tym samym roku Hodysz został pełnomocnikiem ministra spraw wewnętrznych ds. weryfikacji kadr rozwiązywanej SB. W latach 1990–1993 i 1996–2000 był szefem Delegatury Urzędu Ochrony Państwa w Gdańsku. Wykonując uchwałę sejmiku, 28 maja 1992 roku przekazał szefowi MSW Antoniemu Macierewiczowi akta TW „Bolka” dotyczące prezydenta Lecha Wałęsy. W 2001 roku – w stopniu podpułkownika – przeszedł w stan spoczynku. Osiem lat później został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Fot. AIPN



► Melchior Wańkowicz z córką Martą

26 października 1964: Przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie rozpoczął się proces pisarza Melchiora Wańkowicza, oskarżonego o działalność antypaństwową.

Wańkowicz, autor m.in. głośnej *Bitwy o Monte Cassino*, po II wojnie światowej przebywał na emigracji – początkowo we Włoszech, a następnie w Wielkiej Brytanii i USA. Przyjął nawet obywatelstwo amerykańskie. W 1958 roku zdecydował się jednak na powrót do rządzonej przez komunistów Polski. W marcu 1964 roku podpisał się pod Listem 34 – protestem środowisk inteligenckich przeciwko restrykcyjnej polityce kulturalnej władz. Co więcej, wkrótce przekazał na Zachód krytyczny wobec rzeczywistości PRL projekt przemówienia, którego fragmenty wykorzystano w audycjach Radia Wolna Europa. 5 października 1964 roku pisarz został aresztowany, a w jego mieszkaniu przeprowadzono rewizję. Wańkowicza oskarżono o przekazanie za granicę „materiałów szkalujących Polskę Ludową”. 9 listopada zapadł wyrok: trzy lata więzienia, skrócone na mocy amnestii do półtora roku. Wańkowicz został jednak natychmiast zwolniony z aresztu. Proces siedemdziesięciopięcioletniego pisarza wywołał bowiem międzynarodowe protesty i sprawa stała się niewygodna dla władz PRL. Już samo aresztowanie Wańkowicza było jednak czytelnym sygnałem, że rządzący komuniści nie zamierzają tolerować publicznej krytyki wysuwanej pod swoim adresem.

W 1990 roku, ponad 15 lat po śmierci Wańkowicza, wyrok z 1964 roku został uchylony.

[illegible]

Nieustanne meldunki o przedterminowym

17 października 1986 roku

„Jak działać skuteczniej?” – pytała redakcja **„Trybuny Ludu”** w numerze 243 z 17 października 1986 roku. Chodziło o to, aby „zakupy nie były utrapieniem”. Redaktorzy organu Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej skrupulatnie wyliczyli: „W połowie lat siedemdziesiątych przeznaczaliśmy na zakupy półtorej godziny dziennie, teraz – około 2 godzin. I to nie tylko dlatego, że często trzeba odwiedzić kilka sklepów, aby zdobyć poszukiwany towar. Ileż to razy widzimy na drzwiach sklepów czy kioskach wywieszki »Zaraz wracam« (a zamknięte do wieczora), »Nieczynne do odwołania« (tj. do kiedy? I dlaczego?), ile razy spotykamy się z niegrzeczną i niefachową obsługą? A brud, a bałagan w sklepach? A niewłaściwie przechowywane produkty spożywcze?” – mnożyli przykłady koszarów redaktorzy reżimowego dziennika. „Wiemy, że handel nie ma łatwego życia. Z jednej strony wyznacznikiem jego działalności są niewystarczające dostawy towarów, co powoduje m.in. zgodę na przyjmowanie bubli, a z drugiej – trudne warunki pracy w sklepach i magazynach” – dodano wyrozumiale. Po co to wszystko? „Sprawy te są m.in. przedmiotem ankiety rozpisanej przez Komisję Partyjno-Rządową ds. Przeglądu i Unowocześnienia Struktur Państwa i Gospodarki. W punkcie 3. komisja zwraca się do społeczeństwa z pytaniem: »Co należy zmienić w pracy handlu i usług?«. Czytelnicy „Trybuny Ludu” mogli podzielić się swoimi uwagami, dzwoniąc do redakcji, gdzie mieli dyżurować przedstawiciele wspomnianej komisji, Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług oraz Federacji Konsumentów. Wyniki telefonicznego dyżuru (który odbył się 20 października) zrelacjonowano w „Trybunie Ludu” z 21 października. Czytelnicy proponowali m.in. „stworzenie takiego systemu płacowego dla handlowców, aby kierownicy sklepów i personel zainteresowani byli zwiększaniem obrotów; zweryfikowanie [...] systemu agencyjnego w handlu – agenci powinni sprzedawać artykuły najbardziej potrzebne, nie tylko pamiętki, galanterię itp.; [...] zróżnicowanie sprzedawanego asortymentu [...] pod względem cenowym – w każdym sklepie powinno być np. skwaśniałe mleko czy czerstwe pieczywo po niższych cenach”. Osoby, które pamiętają końcówkę lat osiemdziesiątych, wiedzą, że ankiety i obrady komisji niewiele pomogły. Półki przestały świecić pustkami dopiero po odesłaniu socjalizmu do lamusa. ■

25 października 1950 roku

„Z kim idzie, komu służy Episkopat?” – pytała redakcja „**Dziennika Polskiego**” na pierwszej stronie numeru 294 z 25 października 1950 roku. Był to komentarz do zamieszczonej w tym samym numerze depeszy Polskiej Agencji Prasowej o tym, że polski rząd wzywa episkopat do zorganizowania na Ziemiach Zachodnich stałych diecezji kościelnych. Według rządowego komunikatu na który powoływała się PAP, z porozumienia między władzami a episkopatem z kwietnia 1950 roku wynikało, że na ziemiach uzyskanych kosztem Niemiec po II wojnie światowej powinni zostać ustanowieni – w miejsce tymczasowych administratorów – stali polscy biskupi i proboszczowie. Podkreślano również, że od zawarcia porozumienia minęło już pół roku, a Kościół nic w tej sprawie nie robi. „Rewizjonistyczne, antypolskie, hitlerowskie i imperialistyczne czynniki wszczęły – w ramach swej obłędnej nagonki wojennej – zbrodniczą kampanię przeciwko naszej granicy zachodniej” – alarmowali komuniści w swym komunikacie. Autor komentarza poszedł w krytyce jeszcze dalej: „czego chce, z kim idzie, kogo słucha Episkopat Polski?” – pytał retorycznie. Sugerował, że episkopat „utrzymuje stan tymczasowości” Kościoła na Ziemiach Zachodnich, ponieważ „tego chce Watykan [...] tego chce przygotowujący nową wojnę Waszyngton [...] tego chce wszelka hitlerowska swolocz”. W rzeczywistości władze komunistyczne robiły wszystko, by utrudnić rozwój Kościoła na poniemieckich Ziemiach Odzyskanych, a biskupi polscy usilnie zabiegali w Stolicy Apostolskiej o ustanowienie polskich diecezji na tych terenach. Było to jednak niemożliwe w sytuacji, gdy granica na Odrze i Nysie była przedmiotem sporu między Republiką Federalną Niemiec – utworzoną w 1949 roku – a Polską Ludową. Polskie stałe diecezje na Ziemiach Zachodnich powstały dopiero w 1972 roku, dwa lata po podpisaniu układu o normalizacji stosunków między RFN i PRL. 🇵🇱

**Z kim idzie,
komu służy Episkopat?**

[illegible]

„Dla eksperymentów dokonywanych przez zwolenników polityki siły – należało by wybrać inne obiekty“

[illegible]

Aby zakupy nie były utrapieniem

[illegible]

...przebiegła. Władysław Mierzejewski, były sekretarz dyktando, w tym czasie przebywał w Zakładzie Psychiatrycznym w Warszawie. W tym czasie przebywał w Zakładzie Psychiatrycznym w Warszawie. W tym czasie przebywał w Zakładzie Psychiatrycznym w Warszawie.

Przypowiadka o b
w oku... pasuje jak



Kłamstwo, propaganda i...

Krzysztof Gottesman

Siedemdziesiąt lat temu, 15 października 1944 roku, ukazał się pierwszy numer „Życia Warszawy” – gazety, jak wszystkie w PRL, uzależnionej od autorytarnej władzy, ale także bardzo popularnej, której jednak nie udało się odnaleźć po 1989 roku. Po licznych zawirowaniach i zakrętach zniknęła z rynku prasowego w 2011 roku. Nie zasługuje ona – nie tylko z powodów historycznych – by popaść w całkowite zapomnienie, tak jak na to nie zasługuje cała prasa wydawana w Polsce między 1945 a 1989 rokiem.

Czym były prasa, radio i telewizja w PRL? Pierwsza odpowiedź, która się nasuwa, jest bardzo prosta. Przede wszystkim – narzędziem komunistycznej indoktrynacji, co z czasem przestało być dominujące, przez cały zaś

czas – źródłem fałszywych informacji, propagandy i zakłamania. Pracujący w mediach nie byli dziennikarzami w normalnym rozumieniu, byli pracownikami frontu ideologicznego, jak wtedy mówiono. Nie przypadkiem, podczas kryzysów, przełomów i Polskich

Miesiące na transparentach pojawiały się hasła „Chcemy prawdy”, „Prasa kłamie”, „TV łże” i podobne. Pisali je robotnicy w Poznaniu w 1956 roku i na Wybrzeżu w 1970, studenci w 1968 roku i wszyscy w czasie Sierpnia i stanu wojennego. Janusz Rolicki, człowiek, który media w PRL poznał wyjątkowo dokładnie, i to z różnych stron, a przy tym potrafi na nie spojrzeć z dystansem i krytycznie, w opublikowanych niedawno wspomnieniach opisał sytuację w telewizji po roku 1975, gdy wielu ludzi kultury zaprotestowało przeciwko zmianom w konstytucji, a później dołączyło do rodzącej się opozycji. Jako autor popularnego wówczas programu „Sam na sam” Rolicki musiał bardzo uważać, by nie zaprosić do programu kogoś z tajnej czarnej listy. „To była kuriozalna sytuacja: z jednej strony nie miałem dostępu do list, z drugiej musiałem się orientować, jak one wyglądają. W dodatku te listy stale aktualizowano” – opisuje kulisy telewizji.



Rys. A. Szafranski

W takiej atmosferze, gdy pierwszym cenzorem był autor, wśród ówczesnych ludzi mediów znalazło się także wielu gotowych napisać i powiedzieć wszystko, bez względu na to, w jakim stopniu to było prawdziwe, w jakim stopniu uczciwe i czy atakowani ludzie mieli możliwość odpowiedzi i obrony. Nie brakowało też zwykłych donosicieli – tajnych współpracowników policji politycznej. Peerelowskie media, co jest szczególnym powodem do wstydu, tworzyły, również na podstawie podpowiedzi z MSW, nową mowę i nową rzeczywistość.

Były też gazety – radio i telewizja również – miejscem obrzydliwych nagoniek na politycznych przeciwników. Byli nimi, w zależności od czasu i okoliczności, żołnierze Armii Krajowej, przedwojenna inteligencja, polityczna emigracja, pisarze, grupy wymyślone przez partię i gorliwych dziennikarzy – tzw. prywaciarze, warchoły, bananowa młodzież, syjoniści, rewizjoniści i odwetowcy, fałszywi obrońcy klasy

robotniczej. Każda epoka, każdy I sekretarz KC PZPR i każda ekipa mieli swoich ulubionych wymyślonych przeciwników. Nie patyczkowano się z nimi. Każda obelga, każde kłamstwo, każda wstydliva mniej lub bardziej prawdziwa informacja były dobre, by ich skompromitować i opluć.

Niech najgorliwsi obrońcy peerelowskich mediów odpowiedzą na pytanie, dlaczego tak bardzo popularne, zwłaszcza w chwilach przełomów, były nadające po polsku zachodnie rozgłośnie. Dlaczego słuchano Wolnej Europy, BBC, stacji niemieckich i francuskich? Dlaczego od połowy lat siedemdziesiątych XX wieku aż po kres PRL wydawano tysiące podziemnych gazetek? Skąd się wzięły popularność i autorytet Jana Nowaka-Jeziorańskiego?

Czyli co? Jaki jest wniosek? Należałoby cały ten okres potępić i przekreślić? Każdy tytuł, każdą redakcję, każdego dziennikarza... Byłbym pierwszy, który by przeciwko temu protestował. Przekreślać nie można, choćby z powodów naukowych. Trzeba ten czas badać, opisywać, znajdować rządzące wówczas mechanizmy, poznawać motywacje. Z powodów czysto naukowych, ale nie tylko. Jako dziennikarz dodam: także po to, by się nie powtórzyły. Panujący w Polsce przez blisko pół wieku ustrój nie był jedynym, w którym zamykano mediom usta. W dzisiejszym świecie też się wiele takich znajduje, i to wcale niedaleko od Polski.

Ale też nie zgodzę się na pełne potępienie. Byłoby to wielce niesprawiedliwe. Przywołałem na początku „Życie Warszawy”, dziennik, który powstał dokładnie siedemdziesiąt lat temu, założony – jak najbardziej – przez komunistów, gdy dopiero zaczynali zaprowadzać w Polsce swoje porządki. I jak najbardziej tworzył nową rzeczywistość, ze wszystkimi ułomnościami, grzechami, niegodziwościami, także fałszami i kłamstwami. Ale też każdy, kto przeżył w PRL kilkadziesiąt lat i kto dziś podejmuje się badań na tym samym okresie, musi przyznać, że była to

gazeta najpopularniejsza i autentycznie lubiana. Pomijam to, że była też pierwszą gazetą, którą zacząłem czytać i która towarzyszyła mi przez ładnych kilkadziesiąt lat świadomego życia. Pomijam też fakt, że jako jedna z nielicznych miała bardzo rozbudowany jedyny w swoim rodzaju dział ogłoszeń drobnych, z którego można się było dowiedzieć bardzo wiele o rzeczywistej kondycji gospodarki, i bardzo poczytny dział nekrologów. Tam tylko mogły pojawić się informacje – choć często w niepełnej formie, to prawda – o śmierci ludzi przez władzę nieuznawanych i skazanych na zapomnienie. Dowódcy Armii Krajowej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, urzędnicy II Rzeczypospolitej, emigranci, a także przeciwni rządzącym artyści tylko w tu drukowanych krótkich tekstach w czarnych ramkach mogli dostać choć odrobinę sprawiedliwości. To w „Życiu Warszawy” publikowali swoje teksty Kotarbiński, Dąbrowska, Iwaszkiewicz, Tatarkiewicz i wielu innych naprawdę prawdziwych intelektualistów. Czarno-białe fotoreportaże Lucjana Fogla pokazywały prawdę o Polsce, jaką gdzie indziej trudno było zobaczyć. W tamtych czasach to naprawdę było ważne, że obok, nie chcę o tym zapominać, kłamstwa i propagandy, pojawiały się tam treści inne, pisane innym językiem, naprawdę ważne.

Nie ma jednej odpowiedzi, jak oceniać „Życie Warszawy”, jak oceniać media PRL. Moja generalna ocena jest jak najbardziej krytyczna, bliskie są mi hasła pisane przez studentów i robotników. Ale, ale – jest wciąż to jedno wielkie ALE, które nie pozwala na pełne i bezwarunkowe potępienie i przekreślenie. Wyszła niedawno dwutomowa antologia polskiego reportażu XX wieku. Choć można mieć pretensję do redaktorów o zbyt letni dobór tekstów, to i tak jest to niezwykła lektura. Pokazuje, że w tych strasznych czasach pojawiały się również teksty, które mówiły prawdę. ■

Krzysztof Gottesman – dziennikarz, publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

Ostatnia droga męczennika

Robert Szcześniak

20 października 1984 roku, pod koniec wieczornego wydania Dziennika Telewizyjnego, podano informację o uprowadzeniu dzień wcześniej ks. Jerzego Popiełuszki. Przez kolejne dni media informowały o rezultatach poszukiwań zakrojonych na szeroką skalę i o wynikach prowadzonego w tej sprawie śledztwa. W tym samym czasie w kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu rzesze wiernych modliły się o szczęśliwy powrót ks. Jerzego. Jego los był już jednak przesądzony.



Fot. AIPN

27 października minister spraw wewnętrznych, gen. Czesław Kiszczak, w przemówieniu telewizyjnym podał personalia trzech funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, których tymczasowo aresztowano w związku z porwaniem ks. Jerzego. Byli to **kpt. Grzegorz Piotrowski** –

naczelnik wydziału w Departamencie IV MSW – oraz jego dwaj podwładni: **por. Leszek Pekała** i **por. Waldemar Chmielewski**. Już po pogrzebie ks. Jerzego do tego grona dołączył zastępca dyrektora Departamentu IV, **plk Adam Pietruszka** – podejrzany o kierowanie porwaniem i zabójstwem.

30 października do wiernych zgromadzonych w żoliborskim kościele dotarła wiadomość najgorsza z możliwych – z zalewu wiślanego

w okolicach tamy we Włocławku **wyłowiono ciało ks. Jerzego**. 3 listopada, po zakończeniu prac związanych z sekcją zwłok, ks. Jerzego Popiełuszkę pochowano na terenie przylegającym do kościoła św. Stanisława Kostki. Uroczysty pogrzeb zebrał ogromne rzesze wiernych



Fot. AIPN



oraz liczne delegacje z kraju i zagranicy. 10 grudnia, po 52 dniach śledztwa, Prokuratura Rejonowa w Toruniu sporządziła akt oskarżenia przeciwko wyżej wymienionym funkcjonariuszom SB. Do Wojewódzkiego Sądu w Toruniu przekazano 16 tomów akt, 79 dowodów rzeczowych oraz wiele innych materiałów (fotografii, filmów, szkiców, ekspertyz) wytworzonych podczas śledztwa. 27 grudnia 1984 roku ruszył proces zabójców ks. Jerzego.

Na podstawie wyjaśnień oskarżonych i zeznań świadków ustalono, że ostatnie godziny życia ks. Jerzego miały następujący przebieg: ok. 21.30 spod plebanii kościoła św. Polskich Braci Męczenników w Bydgoszczy w krótkich odstępach czasu odjechały trzy samochody. Pierwszy ruszył czerwony fiat 128p, prowadzony przez Marka Wilka, który miał odprowadzić księdza do rogatek miasta. Za nim ruszył zielony volkswagen golf, kierowany przez Waldemara Chrostowskiego, w którym jechał ks. Jerzy Popiełuszko. Kapelan Solidarności, mimo próśb gospodarzy o pozostanie na noc w Bydgoszczy, postanowił wracać do Warszawy. Za nimi ruszył jasno-
beżowy fiat 125p, za którego kierow-
nicą siedział Pękala. Funkcjonariusze SB wcześniej upewnili się, że ks. Jerzy przebywa na terenie kościoła. Ponad-

to mieli przygotowane różne warianty postępowania w zależności od rozwoju sytuacji i kroków podjętych przez ks. Jerzego i towarzyszące mu osoby.

Na granicy Bydgoszczy czerwony fiat odłączył się od volkswagena, który pomknął szosą w kierunku Torunia. Pogoda była dobra, ruch na trasie niewielki. Na odcinku kilku kilometrów funkcjonariusze SB próbowali dogonić zielonego golfa. Udało się im to dopiero wtedy, kiedy Chrostowski na

prośbę ks. Jerzego zwolnił, chcąc przepuścić natręta, który na długich światłach jechał za nimi (fiat z esbekami). Po zrównaniu się samochodów Chmielewski, który przebrał się w mundur milicjanta drogówki, dawał Chrostowskiemu znaki czerwoną latarką, aby ten się zatrzymał. Kierowca volkswagena początkowo nie miał ochoty zastosować się do tych znaków. W czasie procesu tłumaczył, że zatrzymujący samochód był nieoznakowany oraz że droga prowadziła przez teren zalesiony. Dopiero na prośbę ks. Popiełuszki **zatrzymał się w pobliżu miejscowości Górsk**. Pod pretekstem kontroli trzeźwości Chrostowski został zwabiony do samochodu esbeków, gdzie skuto go kajdankami i zakneblowano. Następnie Piotrowski, uzbrojony w pałkę, poszedł po ks. Jerzego. Jak podczas procesu zeznawali oskarżeni, ich pierwotnym zamiarem było zatrzymanie ks. Popiełuszki, a następnie przewiezienie go do bunkrów przeciwniczych w Kazuniu Polskim. Tam mieli wydobyć od niego informacje dotyczące finansów i organizacji podziemnych struktur Solidarności, co miało później zostać wykorzystane do jej rozbicia oraz skompromitowania



➤ Pozostawiony przez sprawców samochód, którym podróżował ks. Popiełuszko, w miejscu uprowadzenia księdza



▶ Na zdjęciu pozorant podczas wizji lokalnej

księdza w oczach społeczeństwa. Piotrowski pod pretekstem identyfikacji tożsamości poprosił, aby ks. Jerzy wysiadł z volkswagena i przeszedł z nim do fiata. Kapelan Solidarności z niechęcią i ociąganiem wysiadł z samochodu. Następnie został przeprowadzony w asyście jednego funkcjonariusza (wyjaśnienia Piotrowskiego) lub dwóch (zeznania Chrostowskiego) na tył fiata. Ksiądz Jerzy odmówił wejścia do samochodu. Zaczął głośno protestować i wyrywać się. W pewnym momencie, jak twierdził Piotrowski, ksiądz wyrwał się

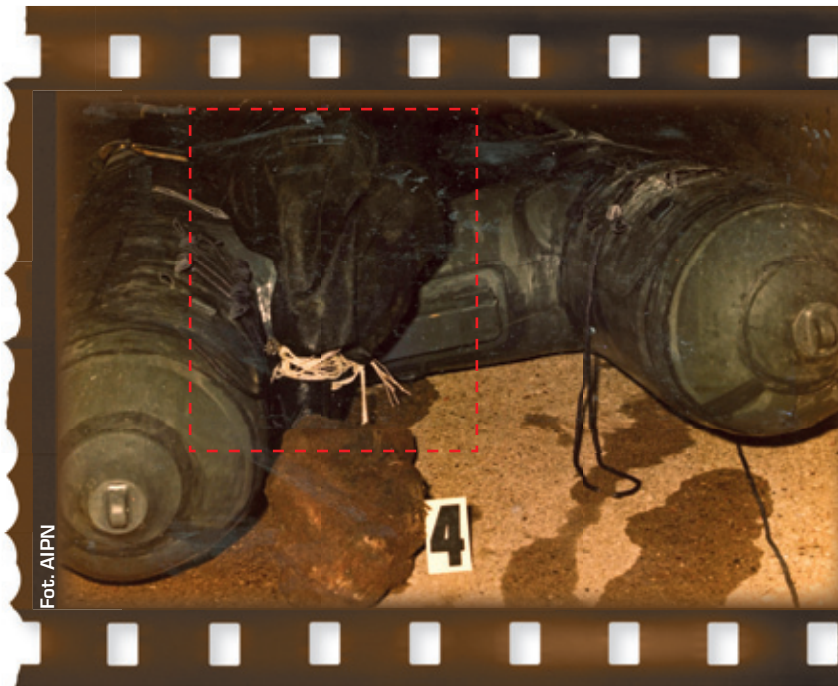
i próbował uciekać. Piotrowski uderzył go pałką, co spowodowało upadek Popieluski na ziemię. Następnie uderzył jeszcze kilkakrotnie. Nieprzytomnego księdza najpierw związano i zakneblowano, a następnie **włożono do bagażnika**. Kiedy Chmielewski i Piotrowski wsiedli do samochodu, Pękala natychmiast ruszył. W okolicach miejscowości Przysiek, wykorzystując obecność świadków (motocykliści na poboczu, wyprzedzony fiat 126p), Chrostowski wyskoczył z jadącego fiata. Skok był niezwykle szczęśliwy, ponieważ – poza **licznymi otarciami i zwichnięciem kostki** – nic poważniejszego mu się nie stało. Kierowca ks. Jerzego dotarł do hotelu położonego nieopodal miejsca



▶ Waldemar Chmielewski podczas wizji lokalnej wskazuje miejsce postoju fiata w pobliżu stacji benzynowej CPN

ucieczki. Stamtąd wezwał milicję i pogotowie. Podczas jazdy karetką poprosił, aby podwieziono go do najbliższego kościoła, skąd zawiadomił o porwaniu władze kościelne.

W tym czasie samochód z księdzem wjechał do Torunia. W trakcie jazdy doszło do dwóch głośnych wybuchów. Chcąc sprawdzić, co się stało, porywacze zatrzymali się na parkingu położonym nieopodal hotelu Kosmos. Wykorzystując nieuwagę porywaczy, ks. Jerzy wydostał się z bagażnika i zaczął ucie-



kać, głośno krzycząc. W pogoń za nim ruszył Piotrowski, który po jakichś 10 metrach dogonił księdza i uderzeniem ręką w tył głowy powalił go na ziemię. Potem z Pękala ponownie go skrepowali i zakneblowali, a następnie nieprzytomnego włożyli do bagażnika. Po oględzinach samochodu porywacze ruszyli dalej w kierunku Włocławka (okazało się, że huk był spowodowany wystrzeleniem korka do wlewu oleju do silnika). Na obrzeżach Torunia porywacze musieli podjechać do stacji benzynowej, żeby dokupić oleju silnikowego. Na stację udał się Piotrowski, a **samochód zatrzymał się kilkanaście metrów dalej**. Po uzupełnieniu oleju sprawcy ruszyli w kierunku Włocławka. Zanim dotarli do tamy we Włocławku, cztery lub pięć razy się zatrzymywali (tej sprawy w procesie nie wyjaśniono). Podczas postojów straszili ks. Jerzego bronią, wielokrotnie bili, krępowali i kneblowali oraz ponownie wkładali do bagażnika. Jak zezna-



wali Chmielewski i Pękala, w ostatnim etapie podróży przed Włocławkiem proponowali Piotrowskiemu porzucenie ks. Jerzego w lesie i powrót do Warszawy. Piotrowski jednak zdecydował inaczej. Podczas ostatniego postoju przed tamą Pękala założył ks. Popiełuszcę na szyję pętlę, a koniec liny przywiązał do nóg. Przy próbie wyprostowania kolan ofiara się dusiła. Dodatkowo – na polecenie Piotrowskiego – do nóg księdza przywiązano **worek z kamieniami**.

Po drodze milicja zatrzymała jasnobeżowego fiata do kontroli drogowej. Jednak zabójcy okazali **przepustkę „W”**, która zwolniła ich z kontroli. Wszyscy trzej **wrzucili ciało księdza do Zalewu Wiślanego z tamy we Włocławku** w przekonaniu, że ten nie żyje. Następnie esbecy wrócili

do Warszawy, gdzie przez kolejne dni nie przyznawali się przed przełożonymi do zabicia ks. Jerzego, prowadzili działania dezinformacyjne (anonimy i telefony do władz i kurii), zacierali ślady, pozbywając się przedmiotów związanych z zabójstwem (część rzeczy zatopiono w warszawskim Jeziorku Czerniakowskim lub spalono na jego brzegu).

Na mocy wyroku Sądu Wojewódzkiego w Toruniu Grzegorz Piotrowski i Adam Pietruszka zostali skazani na karę 25 lat więzienia (prokurator żądał kary śmierci dla Piotrowskiego), Waldemar Chmielewski na 15 lat, a Leszek Pękala na 14 lat pozbawienia wolności. Sąd Najwyższy podtrzymał orzeczenie sądu niższej instancji. Oskarżeni odbyli jednak tylko część zasądzonych kar, ponieważ objęły ich dwie amnestie.

Sprawa uprowadzenia i zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki nadal budzi zainteresowanie historyków i prokuratorów. Wiele z jej aspektów nie zostało do końca wyjaśnionych, a pojawiające się co jakiś czas nowe informacje i dokumenty powodują, że na ostateczne rozwikłanie zagadek okoliczności śmierci ks. Jerzego musimy jeszcze poczekać. ■

Robert Szczesniak – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN



Informacje w różnych rodzajach dokumentów dostępnych w archiwum IPN bywają sprzeczne i badacze są do tego przyzwyczajeni. Jednak sprzeczności w dokumentacji związanej z morderstwem ks. Jerzego Popiełuszki są uderzające. Być może dlatego pojawiło się tak wiele wersji okoliczności jego porwania i śmierci. Różne były także oceny tej zbrodni wewnątrz MSW.

Od momentu porwania ks. Popiełuszki niemal całe społeczeństwo zadawało sobie pytanie: czy za zabójstwem księdza stoją najważniejsze osoby w państwie? Zanim jeszcze władze ogłosiły, że odnaleziono zwłoki ks. Popiełuszki, i ujawniły, że podejrzanymi są funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, powszechne były podejrzenia kierowane w stronę odkrytej złą sławą SB. Trafnie to opisał w swoim dzienniku pewien lekarz z Wrocławia: „[Popiełuszko] Był oficjalnym dysydem, nienawidzonym przez SB. Podkładali mu broń, biułę, aby go zniszczyć. Nie pomagało! [...] Władza odrzeka się od współudziału, energicznie szuka i znalazła porywaczy. Niestety porwanego nie ma. Czuję, że go zabili”.

Oburzenie społeczeństwa brutalnym zabójstwem kapelana Solidarności było tak wielkie, że władze nie były w stanie sprawy zamieść pod dywan. Śledztwo prowadzono w świetle kamer. Rzecznik rządu, Jerzy Urban, który wcześniej zasłynął niewybrednymi atakami na ks. Popiełuskę, zaczął w imieniu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych informować o postępach śledztwa. Nie tylko to podważało wiarę w uczciwość postępowania. Wątpliwości wywoływało też powierzenie śledztwa funkcjonariuszom Biura Śledczego MSW, obawiano się bowiem, że SB stanie się sędzią we własnej sprawie. Szef MSW, gen. Czesław

W chwili obecnej, nie ma dla resortu spraw wewnętrznych ważniejszej sprawy, niż wyjaśnienie, w imię sprawiedliwości, całej prawdy o okolicznościach tej zbrodni, godzącej w procesy porozumienia i normalizacji, zwłaszcza zaś ujawnienie, czy i kto był ukrytym inspiratorem oraz czy i kto sprawców osłaniał. Jest to konieczne, aby Polska Rzeczpospolita Ludowa pozostała miejscem, w którym żyje się bezpiecznie i spokojnie.

gen. broni Czesław KISZCZAK

Kiszcza, dwoił się i troił, by odwrócić oskarżenia o mord od resortu i skierować je... w stronę ofiary. Po początkowym zaniechaniu medialnych ataków na księży współpracujących z opozycją przystąpiono do ofensywy, która miała pokazać, że ks. Popiełuszko łamał prawo. Również podczas procesu toruńskiego zdarzały się momenty, które na obserwatorów wywoływały wrażenie, że sądzi się ks. Popiełuskę, a nie sprawców jego morderstwa.

Jednak oficjalnie władza była oburzona mordem i winę zrzuciła na zdegenerowanych funkcjonariuszy komórki SB zwalczającej Kościół, czyli Departamentu IV MSW. Mieli oni samowolnie dokonać zbrodni. Czasami sugerowano, że za morderstwem stoi tzw. betonowa frakcja Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i MSW, która chciała odsunąć od władzy ekipę gen. Jaruzelskiego. 31 października 1984 roku, czyli tydzień po aresztowaniu morderców (Grzegorza Piotrowskiego, Leszka Pękali i Waldemara Chmielewskiego) i dzień po wydobyciu z Zalewu Wiślanego zwłok ks. Popiełuszki, **gen. Kiszcza wysłał na ręce bp. Jerzego Dąbrowskiego, zastępcy sekretarza episkopatu Polski, oficjalne kondolencje.** Składając „wyrazy serdecznego współczucia i głębokiego ubolewania” bp. Dąbrowskiemu oraz rodzinie zmarłego, zaznaczał, że „nie ma dla resortu spraw wewnętrznych ważniejszej sprawy niż wyjaśnienie, w imię sprawiedliwości, całej prawdy o okolicznościach tej zbrodni, godzącej w procesy porozumienia i normalizacji, zwłaszcza zaś ujawnienie, czy i kto był ukrytym inspiratorem oraz czy i kto sprawców osłaniał”.

Kondolencje Kiszcza sugerowały, że zbrodnia mogła mieć ukryty cel,

którym było podkopanie pozycji ekipy sprawującej wtedy władzę. Minister bronił swojego resortu, przekonując, że cały aparat dołoży wszelkich starań, by sprawę wyjaśnić. Była to świadomość wybrana linia obrony, która miała służyć utrzymaniu jak najlepszych stosunków ekipy rządzącej z Kościołem katolickim.

Cytowany akapit kłóci się z tym, co zapisano w publikowanym dokumencie. Powstał on dwa tygodnie po skazaniu morderców ks. Popiełuszki i pokazuje coś, czego gen. Kiszcza nie powiedział. Dyrektor Biura Śledczego MSW, płk Zbigniew Pudysz, który dostał zadanie uzupełnienia referatu o stanie SB, napisał wprost, że w MSW jest spora grupa funkcjonariuszy, która morderstwo Popiełuszki „aprobuje”. Gdy jednak Kiszcza wygłaszał ów referat na posiedzeniu Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR 27 lutego 1985 roku, słowem o tym nie wspomniał. W gładkich słowach stwierdził jedynie, że czyn Piotrowskiego i spółki pozostali funkcjonariusze przyjęli z niedowierzaniem: „Ustalenie sprawców uprowadzenia było dla wielu funkcjonariuszy prawdziwym szokiem. Przyjęta z najwyższym oburzeniem i potępieniem wiadomość wywołała też zarazem przygnębienie, rozgoryczenie, a niekiedy nawet frustrację”. W dalszej części wystąpienia padały wiernopoddańcze podziękowania gen. Jaruzelskiemu, a zupełnie na marginesie Kiszcza wspominał o odesłaniu na emeryturę dotychczasowego szefa kadr MSW, płk. Józefa Chomętowskiego, oraz utworzeniu „esbecji w esbecji”, czyli Zarządu Ochrony Funkcjonariuszy, który miał badać przestępstwa popełnione przez pracowników MSW.

Publikowany dokument pokazuje, że dla kierownictwa SB najważniejszymi

elementami w „sprawie Popieluszki” było utrzymanie karności wewnątrz resortu i sędowanie winy na niepokornych księżu. Wykrycie w SB funkcjonariuszy, którzy morderstwo ks. Popieluszki pochwali, poza zdziwieniem i zaniepokojeniem płk. Pudysza, nie spowodowało dalszych konsekwencji. Kiszczak zataił ten fakt na posiedzeniu Biura Politycznego. Brak też śladów wskazujących na to, by sam podjął próbę pozbycia się z MSW funkcjonariuszy akceptujących morderstwa.

Grzegorz Wołk – historyk, politolog, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN

„Wnioski wykorzystano w wystąpieniu Towarzystwa Ministra na posiedzeniu BP 27.02.85 [roku]” – komentarz przeznaczony dla płk. Tadeusza Derbina

Nazwiska funkcjonariuszy Gabinetu Ministra Spraw Wewnętrznych, którzy zapoznali się z dokumentem, poniżej daty

Mordercy ks. Popieluszki zeznawali, że do zabójstwa zachęcali ich przełożeni, na co jednak brak było bezpośrednich dowodów; by uniknąć takich sytuacji w przyszłości, zamierzano zwracać większą uwagę na wydawanie wszelkich poleceń na piśmie

Wielu czynności, zwłaszcza tych łamiących ówczesne prawo, funkcjonariusze SB nie dokumentowali w teczach spraw

Zamierzano wszczynać procesy polityczne wobec księży utrzymujących, tak jak ks. Popieluszko, kontakty z opozycją – po to, by pokazać Kościół jako stronę winną

Zarząd Polityczno-Wychowawczy SB powstał w listopadzie 1981 roku; był wzorowany na analogicznej instytucji działającej w armii; jego zadaniem była indoktrynacja funkcjonariuszy

Pułkownik Tadeusz Derbin (ur. 1934) – funkcjonariusz SB, od listopada 1985 roku naczelnik Wydziału Prezydiального Gabinetu Ministra, od grudnia 1987 roku do grudnia 1989 roku zastępca dyrektora Gabinetu Ministra Spraw Wewnętrznych

Nagłówek pisma z informacją, z jakiej komórki SB został wysłany, oraz numer kancelaryjny

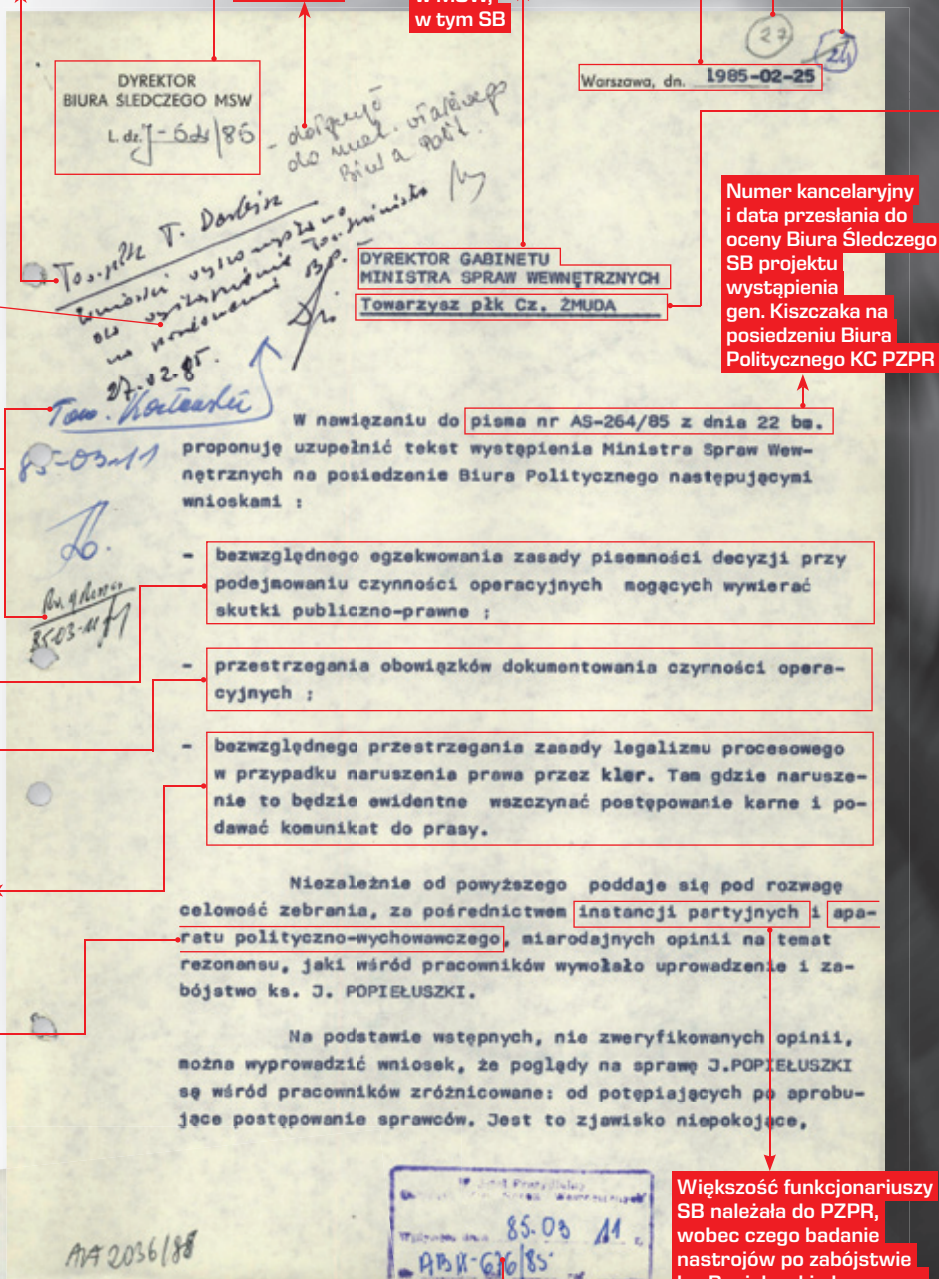
Polecenie odbiorcy pisma: „dołączyć do materiału właściwego Biura Politycznego KC PZPR”

Jednostka organizacyjna w MSW, zapewniająca obsługę administracyjną ministrowi oraz kierownictwu służb działających w MSW, w tym SB

Pułkownik Czesław Żmuda (ur. 1926) – bliski współpracownik gen. Czesława Kiszczaka, ściągnięty z Wojskowej Służby Wewnętrznej do MSW w listopadzie 1981 roku, a od lutego 1985 roku dyrektor Gabinetu Ministra Spraw Wewnętrznych

Data i miejsce wytworzenia dokumentu

Numer dokumentu w teczce, tzw. foliacja



Numer kancelaryjny i data przesłania do oceny Biura Śledczego SB projektu wystąpienia gen. Kiszczaka na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR

W nawiązaniu do pisma nr AS-264/85 z dnia 22 br. proponuję uzupełnić tekst wystąpienia Ministra Spraw Wewnętrznych na posiedzenie Biura Politycznego następującymi wnioskami:

- bezwzględnego egzekwowania zasady pisemności decyzji przy podejmowaniu czynności operacyjnych mogących wywierać skutki publiczno-prawne;
- przestrzegania obowiązków dokumentowania czynności operacyjnych;
- bezwzględnego przestrzegania zasady legalizmu procesowego w przypadku naruszenia prawa przez kler. Tam gdzie naruszenie to będzie ewidentne wszczynać postępowanie karne i podawać komunikat do prasy.

Niezależnie od powyższego poddaje się pod rozagę celowość zebrania, za pośrednictwem instancji partyjnych i aparatu polityczno-wychowawczego, nierażących opinii na temat rezonansu, jaki wśród pracowników wywołało uprowadzenie i zabójstwo ks. J. POPIELUSZKI.

Na podstawie wstępnych, nie zweryfikowanych opinii, można wyprowadzić wniosek, że poglądy na sprawę J. POPIELUSZKI są wśród pracowników zróżnicowane: od potępiających po aprobujące postępowanie sprawców. Jest to zjawisko niepokojące,

Większość funkcjonariuszy SB należała do PZPR, wobec czego badanie nastrojów po zabójstwie ks. Popieluszki planowano przeprowadzić przez Podstawowe Organizacje Partyjne działające we wszystkich komórkach SB

Pieczęć Gabinetu Ministra z wpisanym odręcznie numerem kancelaryjnym i datą wpływu pisma

Pułkownik Zbigniew Pudysz (1931–2010) – od 1953 podprokurator Prokuratury Generalnej, w latach 1957–1990 oficer śledczy SB, m.in. dyrektor Biura Śledczego MSW (1983–1985), wiceminister spraw wewnętrznych (sierpień 1985 – lipiec 1990)

Określenie przestępstwa w języku prawniczym

Czekamy na zmianę prawa

Przebadaliśmy już wszystkie obszary powązkowskiej „Łączki”, na których można było prowadzić prace.

Do zbadania pozostaje jeszcze teren pod współczesnymi nagrobkami. Do tego jednak potrzebne są nowe regulacje prawne – mówi **dr hab. Krzysztof Szwagrzyk**, pełnomocnik prezesa IPN ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego, w rozmowie z Karoliną Wichowską

Co nowego udało się ustalić podczas sondażu na Powązkach wojskowych w Warszawie? Rok temu również sprawdzali Państwo teren między współczesnymi nagrobkami, sąsiadującymi z gruntownie już przebadaną kwaterą „Ł I”.

Udało nam się natrafić na dwa miejsca niezwykle cenne dla dalszych badań poszukiwawczych. W tych dwóch miejscach odnaleźliśmy granicę między polem więziennym a terenem pochówków sanitarnych z lat 1950–1951, czyli miejscem, gdzie po wojnie chowano m.in. zmarłych bezdomnych o nieznanym tożsamości. Na polu więziennym do dołów wrzucano osoby, których szczątków poszukujemy – bohaterów podziemia antykomunistycznego i przedwojennych oficerów skazanych wyrokami komunistycznego sądu, straconych w więzieniu przy Rakowieckiej. To odkrycie jest bardzo ważne, bo możemy teraz już z całą pewnością stwierdzić, w którym miejscu przy murze kończyły się pochówki więzienne. Odnaleźliśmy szczątki dwóch więźniów i kilka dołów ze szczątkami z pochówków sanitarnych. Te ostatnie znajdowały się w trumnach ułożonych prostopadłe do muru cmentarza. To bezcenny materiał na teraz, ale także na przyszłość. Pomoże bowiem w przygotowaniu trzeciego etapu poszukiwań, którego celem będzie odnalezienie ponad dziewięćdziesięciu polskich bohaterów – tyle osób spodziewamy się odnaleźć, ponieważ z dokumentów wynika, że na „Łączce” pogrzebano ok. 300 osób, a dotychczas znaleźliśmy 194 szkielety. W tej chwili możemy powiedzieć, że przebadaliśmy już wszystkie obszary „Łączki”, na których można było prowadzić prace. Do zbadania pozostaje jeszcze teren pod współczesnymi nagrobkami. Aby jednak rozpocząć ostatni etap poszukiwań, potrzebne są nowe regulacje prawne.

Podczas wrześniowych prac odnaleźli Państwo szczątki dwóch więźniów, ale tylko jeden kompletny szkielet został podjęty.

Natrafiliśmy na nogi i fragment miednicy więźnia, niestety podczas poszukiwań w tym miejscu ziemia się osunęła, dlatego trzeba było przerwać badania w tym wykopie. Jednak położenie tych



Fot. Piotr Życieński

dr hab. Krzysztof Szwagrzyk (ur. 1964) jest historykiem, naczelnikiem Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN we Wrocławiu i pełnomocnikiem prezesa IPN ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego; opublikował m.in. *Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza* (2005) i *Prawnicy czasu bezprawia. Sędziowie i prokuratorzy wojskowi w Polsce 1944–1956* (2005)

szczątków wskazywało na to, że i tak nie moglibyśmy ich wydobyć, ponieważ duża ich część, łącznie z głową, znajduje się pod współczesnymi nagrobkami. Podjęliśmy jednak tę część, która była możliwa do wyciągnięcia. W przyszłości, kiedy będzie możliwość przeprowadzenia prac pod współczesnymi pomnikami, reszta szkieletu zostanie skompletowana z podjętą już częścią.

Dwa miesiące wcześniej, podczas prac na cmentarzu przy Wałbrzyskiej, nie podejmowali Państwo fragmentów szkieletów, których reszta znajdowała się pod pomnikiem. Skąd ta różnica?

Na Służewie miejsca wolne od współczesnych nagrobków mieliśmy tylko pod główną alejką. Podejmowaliśmy tylko te szczątki, które nie wchodziły pod pomniki. Nie chcieliśmy dzielić tych częściowo zasłoniętych innymi nagrobkami, ponieważ nie mamy pewności, czy w przyszłości będziemy mieli możliwość przeprowadzić dalsze badania. Na Powązkach zakładamy taką możliwość i dlatego jako zasadę przyjęliśmy podejmowanie wszystkich, nawet tylko częściowo odsłoniętych szczątków.

Jak głęboko są zakopane szczątki, które udało się Państwu odnaleźć na Powązkach?

Znajdowaliśmy je na głębokości około dwóch metrów. Trzeba jednak pamiętać, że badany przez nas teren był pod koniec

lat pięćdziesiątych niwelowany. Nawieziono tu półtora metra ziemi i gruzu. Wynika stąd, że zwłoki więźniów grzebano bardzo płytko, zaledwie około sześćdziesięciu, siedemdziesięciu centymetrów w głąb. Te szczątki są często niekompletne – m.in. te, które podjęliśmy częściowo. Nasada kości udowej była w niej ucięta, najwyraźniej jakimś narzędziem mechanicznym. Sądzę, że stało się to w latach osiemdziesiątych – ktoś, kto przygotowywał współczesne nagrobki, natrafił na wystające z ziemi szczątki i odpiłował je. Spodziewam się, że na terenie pod współczesnymi nagrobkami będzie bardzo wiele takich przypadków.

Gdyby to się potwierdziło, byłby to kolejny dowód na barbarzyństwo systemu komunistycznego. Nagrobki z lat osiemdziesiątych, o których Pan mówi, należą do oficerów ludowego Wojska Polskiego. Podczas Państwa prac niektóre z tych grobów odwiedzali bliscy osób w nich pochowanych. Czy zaobserwował Pan nieprzychylnie reakcje odwiedzających?

Owszem. One niekoniecznie musiały być zwerbalizowane, po prostu niechęć wobec naszych działań, czasami obojętność, wyczuwało się w postawie tych osób. Trzeba jednak pamiętać, że nie wszyscy ludzie tutaj pochowani byli komunistycznymi zbrodniarzami, a taka jest obiegowa opinia. Duża część z nich to wojskowi inżynierowie, lekarze, farmaceuci, którzy nie mieli nic wspólnego z komunistycznym aparatem represji. Mimo wszystko dla ich rodzin nagłośnienie sprawy „Łączki”, podobnie jak praca archeologów w tym miejscu, nie jest

sytuacją komfortową. Nie ma jednak konfliktu między nimi a ekipą badawczą. Po prostu przebywamy na wspólnej przestrzeni, choć żadna ze stron nie jest z tego powodu szczęśliwa.

A jednak ze strony dwóch rodzin – i to z ich inicjatywy – padały deklaracje, że w razie potrzeby nie będą stawiać przeszkód w ewentualnej ekshumacji ich bliskich.

Istotnie, jedna z tych zgód jest nawet pisemna. To bardzo ważna deklaracja, bardzo za nią dziękujemy. Szkoda, że tych zgód jest tak mało. Wszystkich nagrobków jest prawie dwieście.

Będą Państwo występować o kolejne?

Liczymy raczej na regulacje ustawowe. Nawet bowiem, gdybyśmy założyli bardzo optymistycznie, że taką zgodę wyrazi jedna trzecia – pójdźmy dalej: połowa – rodzin, to wciąż pozostaje kilkadziesiąt miejsc, które kryją szczątki żołnierzy. W dalszym ciągu nie moglibyśmy powiedzieć, że przebadaliśmy całą „Łączkę” i wydobyliśmy naszych bohaterów.

Rodzinom poszukiwanych (i już odnalezionych) zależy na jak najszybszym wybudowaniu panteonu upamiętniającego ich bliskich. Padła propozycja krewnej jednego z bohaterów, żeby możliwie szybko wybudować część panteonu, a dokończyć dopiero po przebadaniu terenu zajętego przez współczesne pomniki i przeniesieniu tych ostatnich. Jak Pan ocenia tę propozycję?

Uważam, że budowa tylko części panteonu nie ma uzasadnienia. Sądzę, że powinien zostać zbudowany od razu na całym obszarze pola więziennego.

Ale procedury, które umożliwią budowę na całym tym terenie, będą zapewne długotrwałe. Rodziny argumentują, że chcą zagospodarować przynajmniej część pola, żeby jak najszybciej godnie upamiętnić bliskich.

Rozumiem odczucia rodzin. Czekali na upamiętnienie bliskich ponad sześćdziesiąt lat i ich cierpliwość mogła się wyczerpać. Jednak znam polskie realia i dlatego obawiam się, że jeśli coś zbudujemy na teraz i tylko w części, pozostanie niedokończone już na stałe. Bardzo bym tego nie chciał, dlatego uważam, że lepiej poczekać z budową do zakończenia prac. 🇵🇵

• Wykopy na „Łączce” są głębokie z powodu niwelowania terenu w latach pięćdziesiątych, ale więźniów zakopywano zaledwie około pół metra pod ziemią; na zdjęciu: prok. Marcin Gołębiewicz, prok. Dariusz Gabrel, dr hab. Krzysztof Szwagrzyk



Lekcja historii Polski

Opowieść o życiu ks. Jerzego to znakomity sposób na poznanie historii naszego kraju, zwłaszcza dla cudzoziemców – mówi ks. Michał Kotowski z Muzeum Błogosławionego Księdza Jerzego Popiełuszki w rozmowie z Jakubem Gołębiewskim

Na czym polega koncepcja muzeum?

Wystawa jest stała, rozmieszczona w dziesięciu salach. W każdej z nich jest pokazana część życia ks. Jerzego albo okres z najnowszej historii Polski. Wszystko pokazujemy chronologicznie. Pierwsza sala przypomina historię powojenną Polski i okres totalitaryzmu. W tej sali jest przedstawiona także historia Solidarności. Ekspozyty i materiały archiwalne uzyskano dzięki pomocy Instytutu Pamięi Narodowej. Także we współpracy z IPN przygotowano materiały do tej części wystawy, która przedstawia historię opozycji i przypomina czas stanu wojennego. Przykłady działalności opozycji, studentów, robotników pokazują kontekst historyczny, wprowadzają w klimat lat osiemdziesiątych. W sali, która nosi nazwę „Dar kapłaństwa”, jest przedstawiona działalność duszpasterska ks. Jerzego w naszej parafii, jego zaangażowanie w pracę wśród robotników i studentów. W tej sali wyeksponowano bardzo wiele zdjęć, a także fragmenty jego kazań, nagrane na wideo.

Jaki jest najcenniejszy eksponat muzeum?

Najważniejsze są dla nas przedmioty z dnia męczeńskiej śmierci ks. Jerzego – ubranie, które miał na sobie w dniu porwania, i narzędzia zbrodni. Oprócz tego jednak przechowujemy też przedmioty codziennego użytku – zarówno narty, jak i różaniec czy notatki księdza. Przedmioty, które zostały przywiezione z Okopów, wprowadzają w klimat domu rodzinnego. Do części ekspozycji dotyczącej dzieciństwa ks. Popiełuszki wchodzi się przez prawdziwe drzwi pochodzące z domu rodzinnego, a w środku można zobaczyć m.in. kołyskę ks. Jerzego. Bardzo ważne miejsce zajmują szarfy i transparenty z pogrzebu księdza, mieszczące się w oddzielnej sali. W osobnym pomieszczeniu są pamiątki przynoszone przez ludzi, związane z upamiętnieniem kolejnych rocznic śmierci ks. Jerzego. Są to różańce, rzeźby, a nawet tarcze szkolne. Sala zatytułowana „Żołnierski różaniec” przedstawia dokumenty z okresu pobytu w seminarium i w specjalnej jednostce wojskowej dla kleryków w Bartoszycach, gdzie ks. Jerzy był szykanowany za swoje przekonania.

Które fragmenty wystawy budzą największe zainteresowanie zwiedzających?

Bardzo interesująca jest sala dotycząca powstania Solidarności. Ma to większe znaczenie, że w tym roku papież Franciszek ogłosił, że ks. Jerzy będzie patronem Solidarno-

Pamiętki, które mówią prawdę

Nasze zbiory bywają wykorzystywane przy pisaniu prac naukowych, były też istotnymi dowodami w procesie beatyfikacyjnym – mówi **Katarzyna Soborak**, kierowniczka Ośrodka Dokumentacji Życia i Kultu Błogosławionego Jerzego Popiełuszki w Warszawie, w rozmowie z Jakubem Gołębiewskim



ści. Dlatego ważnym eksponatem jest kopia 21 postulatów gdańskich. Jednak najbardziej przejmująca część wystawy mieści się w sali upamiętniającej męczeństwo ks. Jerzego. Słysząc w niej szum wody – tak jak na tamie we Włocławku – pokazane są zdjęcia ciała ks. Jerzego. Ta sala budzi różne reakcje zwiedzających – są tam skupienie, cisza, czasami też łzy. Niektórzy nawet tam klękają i się modlą.

Czy przedstawiona w muzeum historia ks. Jerzego Popiełuszki kończy się w chwili jego śmierci?

Oczywiście nie. W sali zatytułowanej „Pomnażanie dobra” możemy zobaczyć bardzo wiele świadectw kultu ks. Jerzego Popiełuszki. W tym miejscu można obejrzeć film dokumentujący pobyt papieża Jana Pawła II przy grobie ks. Jerzego. Szczególnym eksponatem jest order Orła Białego przyznany księdzu pośmiertnie przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Ile osób odwiedziło dotąd muzeum?

Ponad 700 tys. osób. Przybywa wielu pielgrzymów z całego świata: z krajów afrykańskich, z Azji, ze Stanów Zjednoczonych. Zwiedzający, zwłaszcza obcokrajowcy, mają również możliwość poznać najnowszą historię Polski. 🇵🇱

Muzeum Błogosławionego Księdza Jerzego Popiełuszki

zostało otwarte w 2004 roku po czterech latach budowy. Jego pomysłodawcą i współtwórcą był ks. prałat Zygmunt Malacki (1948–2010). Muzeum mieści się w podziemiach kościoła św. Stanisława Kostki. Jest placówką prywatną, utrzymuje się z dobrowolnych ofiar zwiedzających. Wstęp jest bezpłatny. W 2010 roku muzeum zostało uhonorowane nagrodą prezesa IPN – Kustoszem Pamięci Narodowej.

Jak doszło do powstania ośrodka?

Ośrodek powstał dzięki pracy osób zaangażowanych w Kościelną Służbę Informacyjną. Była to służba powołana miesiąc po śmierci ks. Popiełuszki przez ks. prałata Teofila Boguckiego, proboszcza parafii św. Stanisława Kostki. Jej zadaniem było udokumentowanie kultu prywatnego ks. Jerzego, który był warunkiem rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego. Wszyscy uważaliśmy, że jest on męczennikiem za wiarę i że powinien zostać beatyfikowany. Do grobu przybywały zorganizowane grupy pielgrzymów i pielgrzymi indywidualni, a wśród nich znane osobistości. Dzięki dwudziestosześcioletniej pracy Kościelnej Służby Informacyjnej powstało bogate archiwum. Po beatyfikacji, 20 czerwca 2011 roku, na mocy dekretu ks. kardynała Kazimierza Nycza, archiwum zostało przekształcone w Ośrodek Dokumentacji Życia i Kultu Błogosławionego Jerzego Popiełuszki.

Czym zajmuje się Państwa placówka?

Zadaniem ośrodka jest przekazywanie wiedzy o życiu ks. Popiełuszki i o tym wszystkim, co stało się po jego śmierci. Zbieramy też świadectwa dotyczące ks. Jerzego, również świadectwa kultu. Wszystkie materiały zebrane najpierw przez Kościelną Służbę Informacyjną, a później przez ośrodek, zostały zinwentaryzowane, posegregowane w teczkach i opisane. Dzięki temu dostęp do nich jest łatwiejszy.

Jakie to materiały?

Oprócz dokumentacji pielgrzymek – informacji o liczbie osób odwiedzających grób, kronik, wpisów do ksiąg pamiątkowych – są liczne zdjęcia, zarówno prywatne fotografie ks. Popiełuszki z domu rodzinnego i seminarium w Warszawie, jak i zdjęcia z mszy za ojczyznę. Przechowujemy też inne pamiątki po ks. Jerzym – rzeczy osobiste, a także jego niezwykle cenne zapiski prywatne. Mamy materiały archiwalne, które były ➤

Fot. Piotr Życiński



► Katarzyna Soborak

wykorzystywane do procesu beatyfikacyjnego, jak również dokumenty dotyczące prześladowania Kościoła w Polsce w okresie totalitaryzmu. Pomieszczenia zajmowane obecnie przez ośrodek były siedzibą trybunału beatyfikacyjnego.

W jaki sposób pozyskali Państwo swoje zbiory?

Część z nich, np. rękopisy, przekazał nam jeden z przyjaciół ks. Jerzego. Mamy ich bardzo dużo i to jedne z najważniejszych pamiątek, które przechowujemy. Innymi ważnymi materiałami są dokumenty ze śledztwa przeciwko sprawcom zabójstwa ks. Jerzego. Są to materiały Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pozyskane z Urzędu Ochrony Państwa. W archiwum ośrodka znajdują się także dokumenty z Archiwum Akt Nowych dotyczące represji wobec Kościoła w Polsce w latach sześćdziesiątych. Władze komunistyczne zabierały wtedy majątki instytucji kościelnych i powoływały alumnów do wojska. Dokumenty pozyskane dzięki UOP bardzo się przydały w procesie beatyfikacyjnym. Jednym z najciekawszych dokumentów, które przechowujemy, jest instrukcja MSW o tym, w jaki sposób Służba Bezpieczeństwa ma prześladować Kościół.

Kto może korzystać z materiałów archiwalnych znajdujących się w ośrodku?

Materiały archiwalne są udostępniane osobom, które chcą je wykorzystać do celów naukowych, do publikacji. Cały ten materiał, który gromadzimy, jest po to, by pokazywał prawdę o ks. Jerzym – tu nie ma nic do ukrycia. Zdjęcia, notatki, pamiątki, zapiski ks. Jerzego pokazują go we właściwym świetle, niezakłamanym. Można u nas znaleźć informacje zarówno o posłudze kapłańskiej ks. Jerzego, jak i o kulcie ks. Jerzego, również o łaskach, które ludzie otrzymują za jego wstawiennictwem. Są nawet cudowne uzdrowienia. Staramy się też upowszechniać nauczanie ks. Jerzego. Dzięki materiałom u nas zgromadzonym powstaje dużo prac magisterskich i doktorskich, zarówno teologicznych, jak i historycznych czy dziennikarskich. Oprócz tego włączamy się w organizowanie wystaw,

np. w 2009 roku wspólnie z IPN przygotowaliśmy ekspozycję „Pomnażanie dobra” w Warszawie. Ostatnio w kopalni „Wujek” w Katowicach prezentowana była wystawa „Książd Jerzy Popiełuszko. Droga do świętości”, przygotowana we współpracy ze Śląskim Centrum Wolności i Solidarności.

Rozmawiamy w siedzibie ośrodka. Czy to jest dawne mieszkanie ks. Jerzego Popiełuszki?

Tak. W tym pokoju, w którym rozmawiamy, ks. Popiełuszko spotykał się z przyjaciółmi, studentami, tu przyjmował gości, ludzi, którzy przychodzili powiedzieć mu o swoich troskach i problemach. Tu, przez okno, SB wrzuciła cegłę z materiałem wybuchowym. W tym pokoju nocowali ludzie pomagający ks. Jerzemu, broniący go przed prowokacjami. Drugi pokój był bardziej prywatny. W tym mieszkaniu ks. Popiełuszko wspierał potrzebujących – współpracował z Prymasowskim Komitetem Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom. Na parterze plebanii był punkt apteczny z lekami z darów z zagranicy. Mieszkanie ks. Jerzego było na podsłuchu. Kiedyś zadzwoniłam do niego i po skończonej rozmowie nie mogłam się rozłączyć – cały czas słyszałam w słuchawce, co się dzieje w mieszkaniu ks. Jerzego. Tu przychodziły anonimy, listy z pogrozkami, jeden z nich ks. Jerzy przeczytał podczas mszy świętej – to było bardzo smutne i straszne.

W jaki sposób poznała Pani ks. Jerzego?

13 maja 1982 roku byłam współorganizatorką strajku w Instytucie Chemii Przemysłowej w Warszawie. Po strajku wyrzuciono mnie z pracy. Przez kilka miesięcy nie mogłam znaleźć zatrudnienia. Kiedy dowiedziałam się o ks. Jerzym i odprawianych przez niego mszach za ojczyznę, zaczęłam przychodzić do kościoła św. Stanisława Kostki. Od tego czasu byłam uczestniczką wszystkich mszy św. za ojczyznę. Były dla mnie bardzo ważne. W tym okresie poznałam osobiście ks. Popiełuszkę.

Jak go Pani zapamiętała?

Był bardzo delikatny i ciepły w kontaktach z innymi. Gdy ludzie opowiadali mu o swoich problemach, o rzeczywistości stanu wojennego, on w czasie mszy za ojczyznę o tych problemach mówił. Mówił o wolności – my myśleliśmy przede wszystkim o wolności politycznej, a jemu chodziło o wolność ducha, prawdziwą wolność. Książd Jerzy mówił, że wolny jest ten człowiek, który ma czyste sumienie, który głosi prawdę. To, co było dla wielu ludzi, którzy go spotkali, najważniejsze, to jego zaangażowanie w pomoc drugiemu człowiekowi, walka o godność drugiej osoby. To, co mówił ks. Jerzy, było szczere, on niczego nie udawał. Mówiąc o prawdzie, sam tę prawdę głosił i nią żył. Jestem przekonana, że ks. Jerzy oddał za nas życie. Po tym wszystkim, co się stało, nikt z nas, korzystających z nauczania ks. Jerzego podczas mszy za ojczyznę, nie mógł opuścić tego miejsca. Ludzie, którzy zaangażowali się w Kościelną Służbę Informacyjną, w Służbę Porządkową i na inne sposoby, chcieli się odwzajemnić ks. Jerzemu za dobro, którego doświadczyli. ■

1919: wojna o Śląsk Cieszyński

Marek Piotr Deszczyński

Niemal wiek temu rozegrały się wydarzenia, które na długo podzieliły Polaków i Czechów.

Akcja znanej piosenki Jaromíra Nohavicy *Těšínská* rozgrywa się w lecie 1910 roku. Jej podmiot liryczny mógłby być jednym z bohaterów niniejszego artykułu – trzydziestolatek z Cieszyna, Czech żonaty z uśmiechającą się pięknie Polką, „z domu Kamińskich, gdzieś spod Lwowa”, szczęśliwy ojciec trojga dzieci, mający przed sobą „całe długie życie, cały piękny wiek dwudziesty”. W finale stwierdza on, że „na szczęście człowiek nigdy nie wie, co go czeka”.

Istotnie, cztery lata później wybuchła długa i krwawa wojna, nazwana wielką lub światową, a tuż po jej zakończeniu Śląskiem Cieszyńskim – małym skrawkiem nieistniejących już Austro-Węgier

– wstrząsnęła kolejna wojna, tym razem zaledwie paratygodniowa. Tyle wystarczyło, by piękny świat żyjących dotąd w miarę harmonijnie czterech narodów zmienił się nieodwracalnie. Nic już nie miało pozostać takie samo.

Tygielek środkowoeuropejski

Śląsk Cieszyński był obszarem o powierzchni niespełna 2,3 tys. km kw., ale o dużym znaczeniu dla odradzającej się Polski i powstającej Czechosłowacji (ČSR). Region, leżący u wrót Bramy Morawskiej, nad Olzą, między Ostrawicą i Białką, zamieszkiwało wtedy ponad 420 tys. mieszkańców. Stanowił on śladowy odsetek terytorium dla Republiki, a tym bardziej dla Rzeczypospolitej. Z targ o tę ziemię na pokolenie zdominował stosunki między Warszawą a Pragą. Dziś pamięta się o nim u nas znacznie słabiej niż o wydarzeniach późniejszych o prawie dwie dekady, kiedy to udział Polski w kryzysie czechosłowackim przyniósł odzyskanie Zaolzia. Ponieważ epizod z 1938 roku nadal stanowi pretekst do potępienia polityki polskiej wobec ČSR, nieodzowne jest przypomnienie faktów, które ją uwarunkowały – zwłaszcza jeśli zamierzamy oceniać ją ujemnie.

Na początku XX wieku Księstwo Cieszyńskie zaliczało się do najbogatszych i najszybciej rozwijających się części monarchii naddunajskiej, a także całej Europy Środkowej. Bogate złoża węgla kamiennego wysokiej jakości, nadającego się do opalu i wytopu stali, dogodnie położenie komunikacyjne i zaplecze w postaci licznej, chętnej do pracy w prze-

► Kapitan Klemens Matusiak, pierwszy dowódca wojsk polskich na Śląsku Cieszyńskim

myśle, siły roboczej sprawiły, że oprócz górnictwa rozwinęły się tam metalurgia i przemysł towarzyszący. Poza kopalniami skoncentrowanymi w rejonie Orłowej istotną rolę odgrywały okręg ostrawski z wielkimi zakładami w Witkowicach, dalej kombinat hutniczy w Trzyńcu, a wreszcie fabryki włókiennicze w Bielsku. W mniejszych miastach rozwijał się przemysł drobny, głównie rolno-spożywczy i metalowy, a także handel. Niemalże nadal miały rolnictwo i leśnictwo, a bodaj największe – także i dziś – węzeł kolejowy w Boguminie, gdzie zbiegały się połączenia z Morawami, Czechami, Austrią, Węgrami, Słowacją, Galicją, Królestwem Polskim oraz Górnym i Dolnym Śląskiem.

Ziemię leżącą na styku żywiołu polskiego (wedle danych z 1910 roku – 55 proc.) i czeskiego (27 proc.), o pochodzeniu autochtonicznym oraz napływowym, zasiedlali też Austriacy i Niemcy (18 proc.), a także nieliczni Żydzi. Cechę swoistą stanowiło zróżnicowanie wyznaniowe, z silnie zaznaczoną obecnością ewangelików, a także istnienie grupy niedookreślonej narodowo, tzw. Ślązakowców. ►

► Pułkownik Franciszek Ksawery Latinik, dowódca frontu śląskiego w okresie walk z Czechami (w mundurze generała)



Fot. NAC



Fot. NAC



Fot. J. Fidler, Generálové legionářů, Brno 1999, Books, s.r.o

► Josef Šnejdár – po lewej w mundurze francuskim w stopniu majora, po prawej jako generał

Mieszkańców charakteryzował bardzo wysoki stopień alfabetyzacji i aktywności społecznej.

Od ugody do napaści

Jesienią 1918 roku Rosję spowijał płomień wojny domowej, Austro-Węgry trzeszczały w szwach, także Niemcy znajdowały się u kresu sił. Z otchłani „wojny powszechnej o wolność ludów” z wolna wyłaniał się nowy porządek. Osią organizującą go miała się stać tzw. teza wilsonowska, zwana zasadą samostanowienia narodów – łatwa do zastosowania w przypadku terenów o w miarę jednolitej strukturze etnicznej, znacznie trudniejsza na obszarach takich jak Śląsk Cieszyński. Kwestia jego powojennej przynależności państwowej – do odradzającej się Polski czy też do wspólnego państwa Czechów i Słowaków – stanowiła modelowy wręcz spór między tzw. państwami sukcesyjnymi.

Gdy w październiku powstały przedstawicielstwa polityczne obu dominujących narodowości – Rada Narodowa dla Księstwa Cieszyńskiego (RNKC) oraz Zemský národní výbor pro Slezsko – udało się im zrazu wypracować kompromis. 5 listopada w Polskiej Ostrawie podpisano umowę przewidującą podział ziem krainy między Polskę i Czechosłowację, ustalając tymczasową linię rozgraniczenia, zgodną w zasadzie z kryterium narodowościowym. Ta-

kie rozwiązanie odpowiadało władzom RP, ale okazało się nie do przyjęcia dla polityków w Pradze. Powołując się na argumenty historyczne, gospodarcze i wojskowe, podjęli oni grę, mającą na celu przesunięcie przyszłej granicy możliwie daleko na wschód, by co najmniej Witkowice i Trzyniec, zagłębie węglowe i kolej ostrawsko-żylińska znalazły się w obrębie ČSR.

W obliczu rysujących się sprzeczności obie strony uciekły się do metody faktów dokonanych. 31 października Polacy rozbroili w Cieszynie garnizon armii austro-węgierskiej, uprzedzając o dzień podobny akt zamierzony przez Czechów. Powstały paramilitarne formacje zbrojne, a sformowane na miejscu polskie i czeskie oddziały regularne stały się częściami sił zbrojnych obu państw. 28 listopada naczelnik państwa Józef Piłsudski wydał dekret o wyborach do Sejmu Ustawodawczego. Ordynacja wyborcza przewidywała objęcie także Śląska Cieszyńskiego (okręg nr 35 – powiaty: bielski, cieszyński, frysztacki, bez gmin Orłowa, Dzieńmorowice, Pietwałd, Łazy, Sucha Średnia i Dolna) głosowaniem, które miało się odbyć 26 stycznia. Krok ten posłużył stronie czeskiej za uzasadnienie zaczepnej operacji wojskowej. Zamysłowi opowania obszaru spornego siłą militarną sprzyjała sytuacja międzynarodowa: rząd w Pradze miał bezwarunkowe poparcie Francji, a perspektywa zmagania zbrojnych

o granice – mimo problemu interwencji na Węgrzech – nie była dlań aż tak dojmująca jak dla władz RP, które już wtedy stały w obliczu konfliktu z Ukrainą, Niemcami, Litwą i Rosją Sowiecką. Z tego powodu także z obszaru Śląska Cieszyńskiego wysłano na wschód pododdziały posiłkowe: 9 stycznia wyjechał z Cieszyna pod Lwów batalion piechoty. W tym samym dniu Roman Dmowski i Edvard Beneš, delegaci swych państw na przygotowywaną konferencję pokojową w Paryżu, złożyli mocarstwom Ententy memoriały w sprawie cieszyńskiej.

Najazd, okupacja, mediacja

Warunki do przeprowadzenia przez Czechów akcji wojskowej stawały się coraz korzystniejsze. W tym celu powstała improwizowana grupa bojowa licząca 16 tys. żołnierzy piechoty w czternastu batalionach, dysponująca silną artylerią. W jej skład wchodził czeski strzelcy z brygady sformowanej we Francji. Grupą dowodził „czeski Patton” – uzdolniony i zawiadaczko odważny czterdziesto-czteroletni podpułkownik piechoty Josef Šnejdár, od niedawna lokalny dowódca wojskowy w Morawskiej Ostrawie. Ukończył austro-węgierską szkołę oficerską, służył w Legii Cudzoziemskiej i armii francuskiej, walczył na froncie zachodnim. Jego przeciwnikiem był pięćdziesięcioletni pułkownik Franciszek Latinik, były oficer piechoty armii austro-węgierskiej, weteran bojów na froncie wschodnim i włoskim. Miał do dyspozycji zaledwie ok. 2 tys. ludzi z formacji tyłowych w czterech batalionach piechoty, dwóch szwadronach kawalerii i baterii dział, tj. wszystko, co znajdowało się na obszarze cieszyńskiego okręgu wojskowego. Mógł jednak liczyć na wsparcie milicji polskiej uzbrojonej w karabiny ręczne oraz ochotników zgłaszających się *ad hoc* (wśród nich ważną rolę odgrywali górnicy, obeznani z posługiwaniem się materiałami wybuchowymi).

Głównym źródłem informacji o tym, co się dzieje w rejonie walk, były komunikaty prasowe Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Oto niektóre z nich (pisownia uwspółcześniona):

„23 XII 1918: Na Śląsku Czesi grupują swoje siły w okolicach Morawskiej Ostrawy.

[...]

1919

23 I: Dziś o godz. 11 rano komisja, złożona z oficerów koalicyjnych i czeskich, zażądała [...] opróżnienia Śląska Cieszyńskiego przez wojska polskie aż do rzeki Białki w przeciągu dwóch godzin. Brygadier [Franciszek] Latinik oświadczył, że dopóki nie będzie miał rozkazu od swej władzy, nie ustąpi. Dla porozumienia się z Naczelnym Dowództwem i otrzymania odpowiednich rozkazów pozostawiono czas do 1 po południu dn. 23 bm. Tymczasem o godz. 11.45 przed południem czeskie oddziały przekroczyły granicę i zaatakowały dworzec kolejowy w Boguminie.

24 I: Przeważające liczebnie wojska czeskie wyparły dn. 23 bm. o godz. 3 po południu oddziały polskie z Bogumina. Jednocześnie przekroczyły granicę kolumny czeskie i zajęły Orłowę, Suchą i Jabłonków. Pomimo bohaterkiej obrony robotników i górników polskich, oddziały czeskie wtargnęły do Karwiny.

[...]

28 I: Dn. 27 [bm.] po południu wkroczyli Czesi do Cieszyna, opuszczonego poprzednio przez nas. Na naszej nowej linii spokój.

[...]

1 II: Na nasze pozycje na linii Drogomyśl – Ochaby – Skoczów – Kisielów przez cały dzień 31 bm. nieprzyjaciół prowadził atak, wspierany silnym ogniem artyleryjskim. Wszystkie jego wysiłki w celu przełamania frontu spęły na niczym, dzięki bohaterkiej postawie naszych wojsk. Tam gdzie nieprzyjaciół zyskał początkowo na terenie, odrzucono go kontratakiem, zdobywając Lipowiec, Nierodzim i Bładnice. O godz. 9 wieczorem zjawili się parlamentariusze czescy z propozycją zawieszenia broni. W celu porozumienia się z Naczelnym Dowództwem ustalono zawieszenie broni do 1 min 30 w nocy. Z dn. 31 I na 1 II, pomimo zawieszenia broni, artyleria nieprzyjacielska z góry Chełm ostrzeliwała nasze pozycje.

[...]

4 II: Zawieszenie broni.

[...]

12 II: Czesi umacniają swe pozycje i przegrupowują wojska przed naszym frontem.

14 II: Do Cieszyna przybyła misja koalicyjna.

[...]

22 II: Wbrew warunkom umowy paryskiej Czesi nie opuścili dotąd terytorium polskiego, a nawet podjęli 21 bm. na nowo akcję zaczepną przeciw naszej linii obronnej. [...] Na całym froncie stwierdzono koncentrację znacznie większych sił czeskich.

[...]

24 II: Na całym froncie zaatakowali Czesi w nocy z 23 na 24 [II] nasze pozycje. Ataki zostały wszędzie odparte.

26 II: W myśl umowy wmaszerowały dzisiaj o godz. 8 rano nasze bataliony do Cieszyna, witane owacyjnie przez ludność miejscową”.

[cyt. za: *Pierwsza wojna polska (1918–1920). Zbiór wojennych komunikatów prasowych Sztabu Generalnego (za czas od 26 XI 1918 r. do 20 X 1920 r.), uzupełniony komunikatami Naczelnej Komendy WP we Lwowie (od 2 XI 1918 r. do 23 XI 1918 r.) i Dowództwa Głównego WP w Poznaniu (od 11 I 1919 r. do 14 IX 1919 r.), oprac. S. Pomarański, Warszawa 1920, s. 15–47].*

Trzeba dodać, że ppłk Śnejdarek wystąpił wobec polskich oficerów w mundurze francuskim, co dodało incydentowi z 23 stycznia 1919 roku znamion mistyfikacji politycznej, zwłaszcza że dowódca czeski powoływał się na rzekome ustalenia państw koalicji. Działal jednak z cichym poparciem prezydenta Tomáša Masary-

ka i gabinetu koalicyjnego kierowanego przez Karela Kramáňa. Z kolei płk. Latinikowi, który otrzymał z Warszawy rozkaz: „Nie ustąpić; na gwałt odpowiedzieć siłą”, w warunkach faktycznego zaskoczenia i przewagi napastnika, pozostawała tylko krótka obrona miejscowa, następnie zaś opóźnianie koncentrycznych uderzeń

czeskich (z Hluczyna na Bogumin – Piotrowice – Frysztat, z Morawskiej Ostrawy na Karwinę i z Czasy na Jabłonków), podejmowanie lokalnych przeciwnatań, lecz przede wszystkim odwrót na kolejne pozycje oporu, by nie dopuścić do rozbicia sił własnych. Front ustabilizował się pod Skoczowem i nad Wisłą, gdy nieprzyjaciół, zasadniczo osiągnąwszy zamierzony cel, postanowił zaproponować rozejm i czekać na skutki akcji dyplomatycznej. Rejony żądane przez Pragę zostały opanowane i wybory do sejmu nie mogły się odbyć. Uderzenie nie nastąpiło w warunkach niekorzystnych dla strony polskiej, wobec równoczesnych walk w Poznańskim, byłej Galicji Wschodniej, na Wołyniu oraz na obszarze białorusko-litewskim. Spore posiłki nadeszły po paru dniach z Warszawy, Łodzi i Żywca, co pozwoliło gen. Latinikowi podjąć siłą ok. 4 tys. żołnierzy ograniczone działania zaczepne i odwojować część utraconego terenu. Prócz starć orężnych należy odnotować przypadki terroru zastosowanego przez napastnika (jego ofiarami padło m.in. siedemnastu wziętych do niewoli umundurowanych żołnierzy polskich, zamordowanych 26 stycznia w Stonawie). Nie jest jasne, jaki cel przyświecał tej masakrze: czy był to eksces podnieconych walką nieprzyjaciół, czy też chodziło o próbę zastraszenia obrońców. Tak czy inaczej, był to zły prognostyk na przyszłość. Przydało to konfliktowi cech wojny sąsiedzkiej, w której istotną rolę odgrywa odwet. Nie przypadkiem więc odrębnym niejako frontem stały się działania dywersyjne, często niezgodne z prawem wojennym.

29 stycznia państwa Ententy wezwały w tonie ultymatywnym RP i ČSR do niezwłocznego przerwania rozlewu krwi i przekazania zatargu do rozstrzygnięcia komisji międzysojuszniczej, która miała odwołać się do plebiscytu lub zastosować arbitraż. W następstwie na początku lutego Dmowski i Beneš podpisali w Paryżu układ o podziale Śląska Cieszyńskiego do czasu decyzji konferencji pokojowej. Linią rozgraniczenia stała się kolej ostrawsko-czadecka, co było korzystne dla strony czeskiej. Gdy komisja zjechała na miejsce, doprowadziła do zawarcia ugody wojskowej, którą zawarto nocą z 24 na 25 lutego. ➤



Fot. NAC

► Górale z Istebnej na Śląsku Cieszyńskim

Dzięki temu oddziały Brygady Cieszyńskiej płk. Latinika zajęły obszar między Wisłą a magistralą kolejową, z którego ustąpiły siły czeskie. W Cieszynie odbyła się defilada przed członkami Rady Narodowej Śląska Cieszyńskiego (tj. dawnej RNKC), w której wzięły też udział oddziały przysłane z głębi kraju. Strony zatargu

rozdzielił pas neutralny, biegnący wzdłuż torów kolejowych.

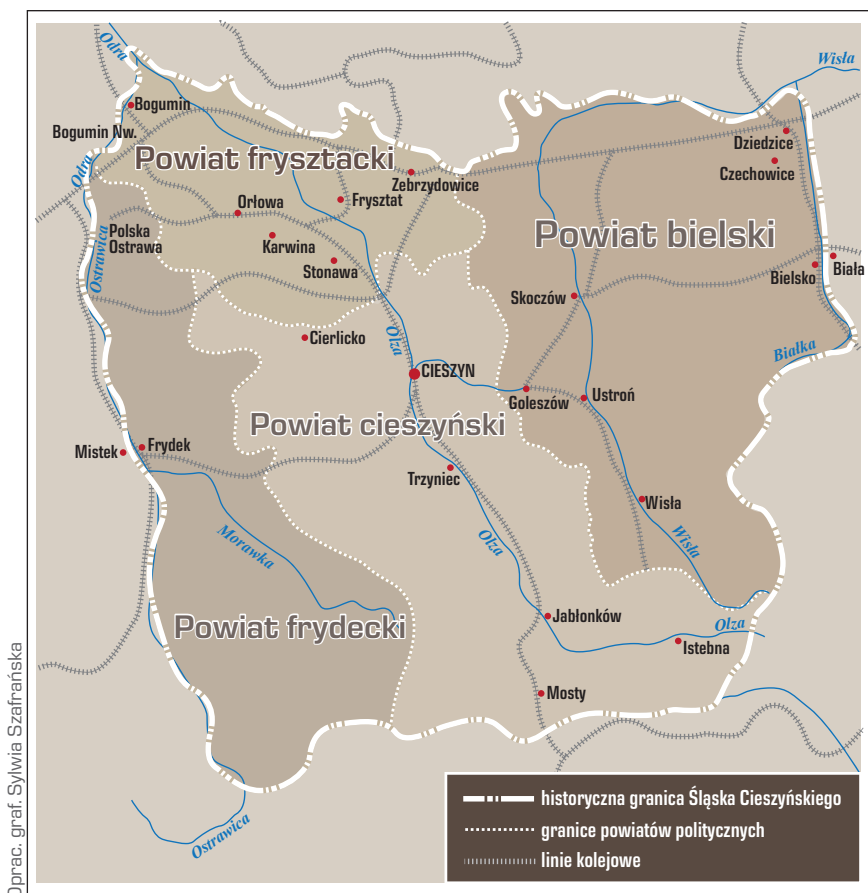
Plebiscyt czy podział?

Strony kontynuowały bój polityczno-dyplomatyczny. 28 lutego Dmowski przedłożył w Paryżu mocarstwom Ententy notę dotyczącą zachodnich granic RP, postu-

lującą m.in. inkorporację całej etnicznie polskiej części Śląska Cieszyńskiego do Rzeczypospolitej. Z kolei 14 marca Sejm Ustawodawczy uznał za posłów z tej ziemi kandydatów znajdujących się na jedynej zgłoszonej liście. Pojawiały się kompromisowe koncepcje rozgraniczenia, ale żadna nie została przyjęta. Pięć miesięcy po zakończeniu walk, 21 lipca, odbyła się w Krakowie konferencja dwustronna na temat sporu. Porozumienia nie osiągnięto: strona czeska odmówiła zgody na plebiscyt, a sporządzony protokół rozbieżności przekazano rozpoczynającej właśnie działalność Lidze Narodów. Strona polska domagała się respektowania kryterium etnicznego; negocjatorzy czescy szermowali całym wachlarzem innych argumentów, w tym wojskowo doraźnie najistotniejszym: magistrała nadolziańska była wtedy jedynym połączeniem kolejowym Czech i Słowacji, a budowa nowego, w trudnym terenie podgórskim, musiała zająć kilka lat i wiele kosztować.

W istocie zaś Warszawa znajdowała się od początku na przegranej pozycji – i to nie tylko ze względu na zaabsorbowanie konfliktami na innych rubieżach. Z perspektywy polityków znad Wełtawy kompromis z Polakami nie opłacał się, bo nie wiązała oni z Rzeczpospolitą żadnych konstruktywnych rachub politycznych. Niektórzy, wyznający paradygmat panslawistyczny, wprost sprzyjali Rosji (białej czy też bolszewickiej), czemu w krytycznych miesiącach wojny na wschodzie towarzyszyła blokada transportów ze sprzętem wojskowym nadchodzących z Zachodu do Polski. Inni, jak Beneš, po prostu umiejętnie wykorzystywali przewagę. Stosując taktykę: „najpierw opanować, potem negocjować”, grali na czas, wierząc, że zwłoka w przeprowadzeniu plebiscytu, którego wyniki byłyby niekorzystne, przeobrazi się w zwycięstwo.

We wrześniu 1919 roku Rada Najwyższa Ententy postanowiła przeprowadzić plebiscyt na obszarach spornych, które obejmowały zasadniczo środkowe i zachodnie części powiatów cieszyńskiego i frysztackiego oraz wschodnią część powiatu frydeckiego. 30 stycznia 1920 roku na Śląsk Cieszyński przybyła Międzysojusznicza Komisja Plebiscytowa i 3 lutego objęła

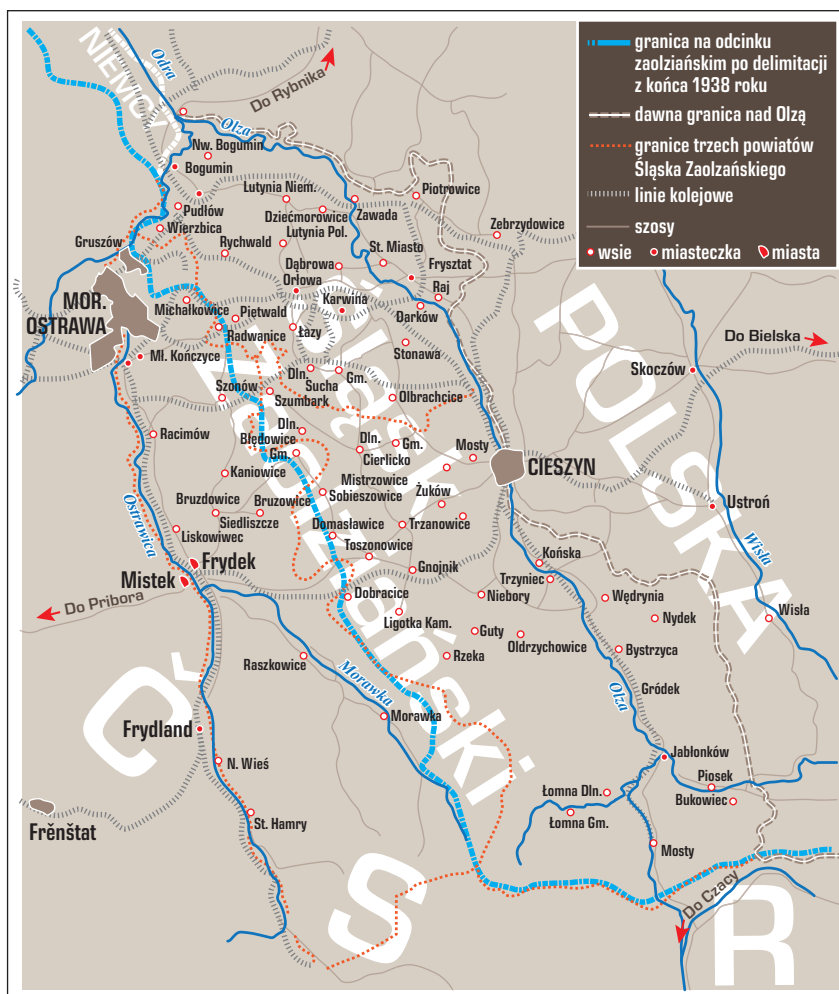


Oprac. graf. Sylwia Szafranska

► Śląsk Cieszyński w 1918 roku

administrację tymczasową. Prace postępowyły powoli, a komisję szybko ogarnęło poczucie zniechęcenia. Perspektywa głosowania powszechnego decydującego o przynależności państwowej nieuchronnie antagonizowała nastroje, wymuszając polaryzację postaw. W obliczu narastającego napięcia 7 czerwca MKP zawiesiła przeprowadzenie plebiscytu, uznając wypełnienie swego zadania za niemożliwe; jej członkowie złożyli mandaty.

Tymczasem, wraz z pogarszaniem się sytuacji na froncie wojny z bolszewikami, władze Rzeczypospolitej zostały zmuszone do ustępstw. By wykorzystać pomoc zaoferowaną przez Ententę, Warszawa przystała na – jak się spodziewano – uczciwy podział. 11 lipca na konferencji w belgijskim uzdrowisku Spa delegacje RP i ČSR podpisały deklarację wyrażającą zgodę na rezygnację z plebisytu i na to, „aby państwa sprzymierzone po wysłuchaniu obu stron powzięły konieczne postanowienia celem ostatecznego załatwienia sporu”. W praktyce oznaczało to, że granica zostanie wytyczona przez tzw. Konferencję Ambasadorów, z udziałem przedstawicieli pięciu mocarstw Ententy. 28 lipca gremium to, choć nominalnie bez przedstawiciela USA, ogłosiło decyzję: Polsce przypadał cały powiat bielski, wschodni skraj powiatu cieszyńskiego (do Olzy i pasma Beskidu Śląskiego) oraz zachodni skrawek powiatu frysztackiego z węzłem kolejowym w Zebrzydowicach. Pozostałe ziemie otrzymała Czechosłowacja, wraz z całym zagłębiem węglowym, hutą trzyniecką i koleją ostrawsko-czadecką. Na terytorium RP znalazło się, wedle danych z 1910 roku, 94 tys. Polaków, 2 tys. Czechów i 43 tys. Niemców, w ČSR zaś – 140 tys. Polaków, 113 tys. Czechów i 34 tys. Niemców (na obszarze żądanym przez Polskę, tj. na tzw. Zaolziu, które w zasadzie nie obejmowało powiatu frydeckiego, Polacy stanowili 69 proc. ludności). Dodajmy, że ta sama Konferencja Ambasadorów podobnie niekorzystnie rozpatrzyła polskie postulaty terytorialne co do Orawy i Spiszu. Przeciw krzywdzącej decyzji stały delegat RP na konferencję międzynarodowe Ignacy Paderewski założył protest pisemny, stwier-



► Zaolzie jesienia 1938 roku

dzając: „Z niewymownym smutkiem położy swój podpis pod dokumentem, który [...] nie zdoła [...] nigdy przekonać narodu [polskiego], że sprawiedliwość została wymierzona”. Napisał też, niestety trafnie, że niesprawiedliwy werdykt „wykopie przepaść pomiędzy dwoma narodami, której nic nie zdoła zasypać”.

Bilans pierwszego starcia o Śląsk Cieszyński to przede wszystkim ofiary w ludziach. Liczbę zabitych do zawarcia rozejmu można szacować na 200 osób, w tym 44 żołnierzy czechosłowackich, a potem (w zamachach) następnych kilkadziesiąt. Dla porównania warto przypomnieć, że w 1938 roku, do końca operacji obsadzania przez Wojsko Polskie Zaolzia, nie zginął – według dotychczasowej wiedzy – żaden obywatel ČSR, a śmierć poniosło dwóch Polaków (liczba ofiar późniejszej czeskiej działalności

dywersyjnej nie została jeszcze określona, choć musi być stosownie mniejsza). Poza tym w 1919 i 1920 roku Cześć internowali 279 Polaków, dalszych 4–5 tys. zostało zaś wysiedlonych przymusowo; strona polska ekspulsowała kilkuset Czechów, Ślązakowców i Niemców (w 1938 roku doszło do wysiedleń na większą skalę, lecz ostatecznych danych jeszcze nie znamy). Nade wszystko jednak ta krótka wojna stała się klinem, utrudniającym nawiązanie przez oba państwa współpracy, co dwie dekady później ułatwiło opanowanie przez Rzeszę Niemiecką i Związek Sowiecki całej strefy Międzymorza środkowoeuropejskiego. 🍷

dr Marek Piotr Deszczyński – historyk, adiunkt w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizuje się w historii Polski i świata pierwszej połowy XX wieku, autor m.in. książki *Ostatni egzamin. Wojsko Polskie wobec kryzysu czechosłowackiego 1938–1939* (2003)

Pozwolenie na miłość

Krzysztof Łagojda

Przedwojenny oficer Wojska Polskiego i jego wybranka musieli zazwyczaj spełnić surowe kryteria, by otrzymać pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego. Dbano w ten sposób o prestiż munduru.

Oficer, który chciał dostać pozwolenie na ślub, musiał mieć ukończone 24 lata. Regulowała to ustawa z 1919 roku, zniesiona dopiero 18 lat później. Od 1922 roku para starająca się o sformalizowanie związku miała obowiązek wykazać odpowiednie dochody finansowe, dorównujące pensji kapitana (rotmistrza) Wojska Polskiego. Dodatkowo narzeczoną oficera musiała cieszyć się nieposzlakowaną opinią środowiska, z którego pochodziła. Zostały ustanowione specjalne komisje małżeńskie (zniesione w 1932 roku), oceniające kandydatki na oficerskie żony. W 1932 roku przepisy jeszcze bardziej zaostrzono. Narzeczoną musiała mieć przynajmniej średnie wykształcenie, a zarobki pary – dorównywać pensji majora.

Z pomocą dziadka

Jeśli łączne dochody były niewystarczające, brakującą sumę mogły przekazywać rodziny, które w ten sposób miały zapewnić małżonkom odpowiednie warunki materialne. – Ponieważ mama nie miała majątku, to mój dziadek ze strony ojca musiał dać gwarancję, że będzie nas jakąś tam kwotą wspomagał – wspomina Krystyna Gołębiowska, córka majora Wojska Polskiego. Od 1932 roku poświadczenie o pomocy finansowej rodziny już nie wystarczało. Należało od razu przekazać oficerowi i jego żonie sumę pieniędzy, która miała zapewnić względną stabilność finansową rodzinie – ok. 10 tys. zł.



Fot. ze zbiorów Krystyny Gołębiowskiej

► Zdjęcie ślubne ppor. Henryka Zakrzewskiego z Seweryną Chelchowską; 1927 rok

Oficerowi przysługiwała możliwość odwołania się od decyzji dowódcy jednostki, jeśli ten nie wyraził zgody na zawarcie małżeństwa z powodu niewystarczającego wieku swego podwładnego lub zbyt niskich dochodów pary. Nie było natomiast możliwości odwołania się, jeśli komisja uznała, że kandydatka nie nadaje się na żonę oficera. W ta-

kim przypadku wojskowemu pozostawał ożenek bez pozwolenia przełożonego, choć za to groziły kary dyscyplinarne, a nawet wydalenie ze służby wojskowej.

Jednak wszystko wskazuje na to, że wraz z zaostrzaniem się przepisów regulujących zawieranie związków małżeńskich przez oficerów Wojska Polskiego, coraz częściej dochodziło do

nierespektowania narzuconych wytycznych i zawierania przez wojskowych ślubów bez wymaganej zgody. W 1934 roku jeden z dowódców korpusu zanotował: „Od szeregu miesięcy obserwuję chorobliwe zjawisko zawierania małżeństw przez oficerów bez wymaganego zezwolenia. W tej nagminnej chorobie, która toczy młody korpus oficerski, dopatruję się nie tylko kolizji przestępczej z kodeksem karnym, lecz o wiele groźniejszego faktu niedyscypliny wojskowej i lekceważenia rozporządzeń Pana Ministra, co podważa autorytet władz i rzuca cień na morale młodego korpusu oficerskiego”. Początkowo za taką niesubordynację karano aresztem na okres nie dłuższy niż miesiąc. Kiedy jednak zauważono, że kary nie przynoszą pożądanych skutków, dochodziło nawet do wydalenia oficerów z wojska i przenoszenia ich do rezerwy.

Innym wyjściem z patowej sytuacji było zrezygnowanie z kariery wojskowej i dobrowolne wystąpienie z wojska. – Mój tato miał stopień porucznika, ale podał się do dymisji, ponieważ nie mógł się ożenić z kandydatką nieodpowiadającą warunkom żony oficera – opowiada pragnąca zachować anonimowość córka porucznika Wojska Polskiego.

Porucznik nie dla pianistki

Przepisy, które warunkowały zawarcie związku małżeńskiego, odnosiły się w największym stopniu do kandydatek na żonę oficera. Warto jednak przyrzeć się temu problemowi z innej perspektywy. Zdarzały się bowiem przypadki, że to oficer Wojska Polskiego nie był odpowiednim kandydatem na męża. Kobieta wywodząca się z wysokiej warstwy społecznej musiała dbać o swój status. W tej kwestii decydujące było zdanie rodziców, którzy mogli wyrazić zgodę na ślub córki lub nie. – Tato mojej mamy, czyli mój dziadek, był adwokatem. Mama była po maturze, znała języki obce – francuski, niemiecki – i grała na fortepianie. To były takie atuty, które wtedy przesądzały o inteligencji. Mój tato był porucznikiem, ale moja babcia uważała, że to jest za mało – opowiada Gizela Nałęcz-Łączyńska, cór-



► List miłosny z 1920 roku por. Stanisława Głowackiego do Stanisławy Ogrodnik...

► ... i zezwolenie na ich ślub z roku 1923

ka kapitana Wojska Polskiego. – Rodziny, które pochodziły z inteligencji, uważały, że mężowie powinni mieć przynajmniej stopień kapitana. Tato przeniósł się do Brześcia nad Bugiem i tam po kilku latach pracy dostał stopień kapitana. Szczęśliwie przyjechał do Poznania i wtedy dopiero moi rodzice się pobrali – dodaje.

Ingerencja rodzin w sprawy małżeńskie nie była czymś wyjątkowym. W tamtych czasach ojciec i matka wciąż mieli decydujące zdanie w sprawie przyszłości dzieci. Oficer najpierw musiał przyjść do rodziców bądź opiekunów wybranki, aby prosić ich o jej rękę. Sprzeciw wobec ich woli był wówczas nie do przyjęcia.

Żonaty mniej bitny?

Okres narzeczeństwa, trwał około trzech, czterech lat. Wspólne zamieszkanie pary przed ślubem było w tamtych czasach niemiłe widziane. Narzeczeni przebywający w różnych miejscowościach pisali do siebie listy miłosne. Przykładem jest korespondencja Stanisława Głowac-

kiego do Stanisławy Ogrodnik. Głowacki jako osiemnastoletni ochotnik przebywał w 1920 roku na froncie podczas wojny polsko-bolszewickiej. Stacjonując w Łomży, 24 lipca 1920 roku (pięć dni przed atakiem na miasto 3. Korpusu Kawalerii Armii Czerwonej) pisał w liście do swojej wybranki:

„Droga Stasiu! Aniele mój! Dziś niedziela. Przykro mi sobie wspomnieć, bo przychodzą mi na myśl od razu niedziele razem spędzone, a dziś – takie wielkie przestrzenie dzielą nas od siebie, tylko serca razem są. Opisz mi, jak spędziłaś tę niedzielę. Może byłaś u Filipinów na sumie, a wtedy jednocześnie zanosiliśmy modły do Boga, bo ja o 10 byłem w Łomży w kościele. Czyś o mnie pamiętała? Tyle mi się pod ołówek ciśnie myśli, że nie wiem, o czym mam pisać. Ale naprzód daruj mi, o Pani moja, że piszę ołówkiem, ale atramentu nie ma na froncie, w którym mieszkam. Kwiatki te i motylki stąd, z ziemi podlaskiej, niech ►

Ci mnie przypomną. Dla Stasi! Zbierałem w lesie obok. 24 lipca 1920 r.”.

List, mimo że pisany chemicznym ołówkiem, przetrwał wraz z dołączonym bukietem kwiatów 94 lata w prywatnych zbiorach Aliny Głowackiej-Szłapowej, córki oficera. Słowa osiemnastoletniego wówczas mężczyzny są niezwykle świadectwem wysokiego poziomu kultury osobistej i wyjątkowego szacunku wobec narzeczonej.

Zgodę na ślub wydawał najwyższy zwierzchnik oficera, dowódca pułku lub generał brygady. Nie zawsze wymienione wyżej warunki musiały zostać spełnione, aby oficer takie pozwolenie otrzymał, wiele zależało od osobistego zdania przełożonych. Najlepszym przykładem jest właśnie Stanisław Głowacki. Porucznik – mimo młodego wieku, nie mając wymaganego stopnia wojskowego, odbytej do końca służby i odpowiednich dochodów – dostał zgodę na ślub 21 sierpnia 1923 roku, mając zaledwie 21 lat. Pozwolenie uzyskał już po złożeniu pierwszego podania, co również było dość niezwykle. Najczęściej bowiem przełożeni byli negatywnie nastawieni do przedwczesnego zawierania związków małżeńskich. Uważali, że oficer, który nie jest obciążony sprawami rodzinnymi, będzie lepiej wywiązywał się z obowiązków zawodowych. Generał Marian Przewłocki uważał wręcz, że „żonaty oficer traci co najmniej pięćdziesiąt procent wartości”. W środowisku wojskowym panowało przekonanie, że związki małżeńskie powinny być zawierane późno, wtedy bowiem będą oparte na dojrzałej miłości i solidnych podstawach materialnych.

Armia starych kawalerów

Egzekwowanie wszystkich warunków, które miała spełniać para oficerska (wiek pana młodego, zaplecze finansowe, odpowiedni status narzeczonej),



► Rodzina Głowackich na spacerze w Przemyślu, 1938 rok

skutkowało podwyższeniem średniego wieku, w którym oficerowie formalizowali związek: przeciętnie wynosił on 29 lat – czyli o trzy lata więcej niż w całym społeczeństwie. Franciszek Kusiak w książce *Życie codzienne oficerów Drugiej Rzeczypospolitej* stwierdza: „Aby uzyskać zgodę na małżeństwo, należało być kapitanem lub majorem, a więc trzydziestoletnim mężczyzną”. Nie należy jednak generalizować tego zjawiska.

Nie tylko oficerowie Wojska Polskiego borykali się z rygorami dotyczącymi zawierania związków małżeńskich. Na przykład w latach trzydziestych policję zwykło się określać mianem armii starych kawalerów – właśnie ze względu na utrudnianie szybkich ślubów. Powiedzenie to było przesadą, niemniej w Po-

licji Państwowej również obowiązywały przepisy regulujące zawieranie związków małżeńskich.

W PRL zgoda zwierzchników na ślub nie była już konieczna, a od narzeczonej nie wymagano matury. Przyszła żona oficera, podobnie jak sam wojskowy, musiała jednak być ateistką. – To podlegało ocenie oficerów partyjno-politycznych. Szczególnie pilnował tego sekretarz partii na szczeblu pułku. Małżeństwa w Kościele katolickim, jeśli się zdarzały, skutkowały poważnymi konsekwencjami ponoszonymi przez oficera – wspomina płk Feliks Sawicki. Oficerowie decydujący się na ślub kościelny ryzykowali karierę wojskową, dlatego takie uroczystości nierzadko odbywały się w nocy, w zamkniętym kościele, bez udziału gości.

Wydaje się, że powojenne ograniczenia były łatwiejsze do ominięcia (a raczej: niedostosowanie się do nich było łatwiejsze do ukrycia) niż te z okresu II RP. W obu przypadkach była to ingerencja w życie prywatne – niewyobrażalna dzisiaj. 📖

Krzysztof Łagajda – historyk, doktorant Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego

Korzystałem m.in. z książki Piotra Jaźwińskiego *Oficerowie i dżentelmeni. Życie prywatne i służbowe kawalerzystów Drugiej Rzeczypospolitej* (Warszawa 2011).



► Cała rodzina oficera zaangażowana w patriotyczne obowiązki – Głowaccy pomagają przy budowie kopca Józefa Piłsudskiego w Krakowie; sierpień 1935 roku

Dwa oblicza Reginy

Magdalena Semczyszyn

Odważny żołnierz, łączniczka w oddziale por. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica”, następnie w 5. Wileńskiej Brygadzie AK, dowodzonej przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”. W 1944 roku odznaczona Krzyżem Walecznych. Od 1946 roku agentka UB o pseudonimie „Regina”. Jej działalność spowodowała represje na kilkudziesięciu towarzyszy broni. Życiorys Reginy Mordas-Żylińskiej to materiał na film, w którym zwyciężają sprzeczności.

Regina miała 18 lat, gdy wiosną 1942 roku rozpoczęła konspiracyjną działalność w Okręgu Wileńskim Armii Krajowej. Rok wcześniej zdała małą maturę na tajnych kompletach organizowanych w rodzinnym Wilnie. Konspiracja pochłonięła ją do reszty. „W moim mieszkaniu był punkt spotkań przyjeżdżających na odprawy, magazyn broni, amunicji i lekarstw” – zeznała kilka lat później podczas śledztwa.

Bardzo dzielna dziewczyna

25 marca 1943 roku nad jeziorem Narocz został sformowany oddział partyzancki pod wodzą por. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica”, który miał bronić Polaków przed niemieckimi represjami i wywózkami. Regina Mordas zgłosiła się do oddziału i została łączniczką adiutanta – ppor. Józefa Wiśniewskiego „Ostroga”. W sierpniu 1943 roku formacja (licząca przeszło dwustu żołnierzy) została rozbrojona i zdziesiątkowana przez jednostki sowieckiej partyzantki Fiodora Markowa. Ocaleni żołnierze – a wśród nich młoda łączniczka – stali się zaczątkiem legendarnej 5. Wileńskiej Brygady AK, dowodzonej przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”. Dziewczyna

uczestniczyła w walkach brygady z Niemcami i Sowiecami. Przenosiła broń, rozkazy i amunicję. Podczas jednej z akcji została aresztowana przez żołnierzy Armii Czerwonej, ale udało jej się zbiec.

Towarzysze broni zapamiętali Reginę jako osobę bardzo odważną, która umiała wyjść cało z każdej opresji. Sanitariuszka Janina Wasioł-Jachna „Jachna” po latach wspominała: „Regina była bardzo dzielna [...]. Miała opinię niezwykle bojowej dziewczyny i całkowite zaufanie u wielu ludzi. »Łupaszka« również jej ufał. Wypełniała wszystkie powierzone jej zadania”. Koledzy ją doceniali i wyróżniali. W 1946 roku znalazła się w gronie kilku żołnierzy, którym major podarował sygnet z wygrawerowanym napisem: „Przyjacielowi Żołnierzowi – Łupaszka”. W rozkazie znalazło się uzasadnienie: „za pełną poświęcenia i samozaparcia pracę w oddziale”.

Wileńscy żołnierze na Pomorzu

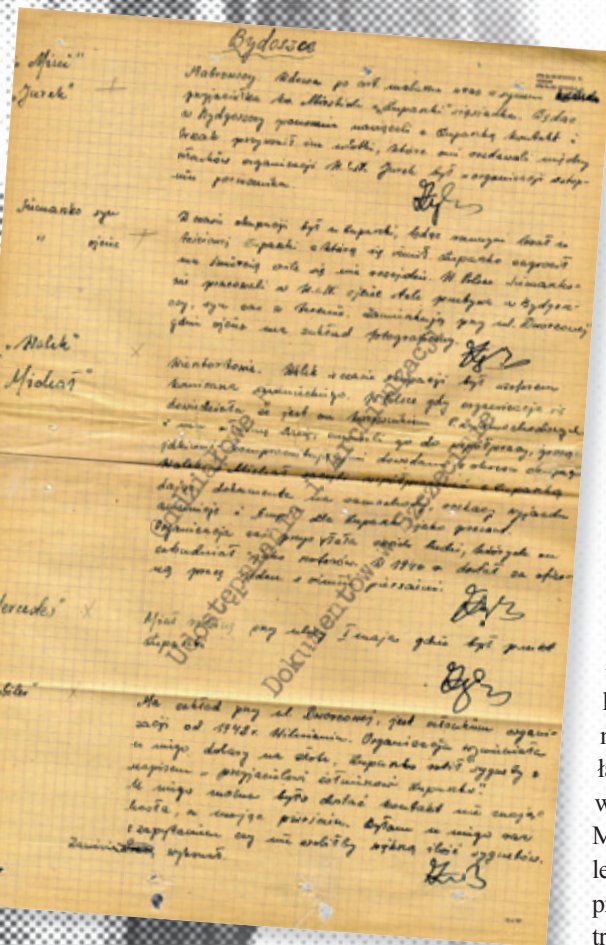
Latem 1944 roku nacierający Sowieci spychali żołnierzy Brygady na zachód. Część pododdziałów została rozbrojona w Puszczy Grodzieńskiej, reszta wybita, wcielona do ludowego Wojska Polskiego lub rozproszona. Major „Łupaszka”, wraz z trzema grupami, zdołał przedrzeć się na teren województwa białostockiego, jednak Reginy Mordas już wówczas ➤



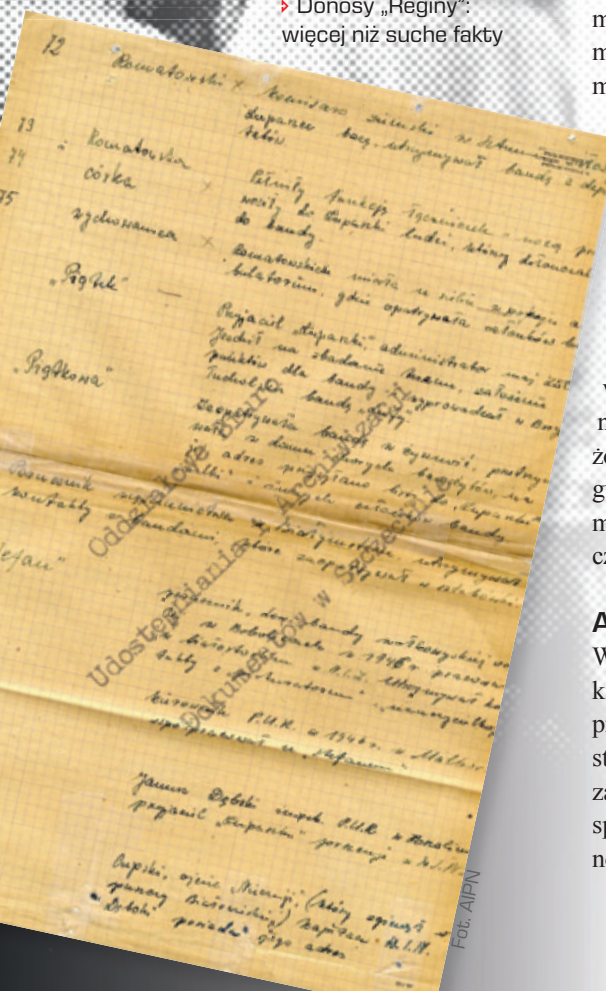
➤ Regina Mordas (w środku) w towarzystwie żołnierzy 5. Wileńskiej Brygady AK i Bojowego Oddziału Armii; od lewej: Konstanty Wojciechowski „Kostek”, Jerzy Lejkowski „Szpagat”, Leon Smoleński „Zeus”, Zdzisław Badocha „Żelazny”, Jan Sokółowski „Orlik” i Edward Kokotko „Wrzoś”

Markowa. Ocaleni żołnierze – a wśród nich młoda łączniczka – stali się zaczątkiem legendarnej 5. Wileńskiej Brygady AK, dowodzonej przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”. Dziewczyna





► Donosy „Reginy”:
więcej niż suche fakty



Fot. AIPN

z nimi nie było. W grudniu 1944 roku dziewczyna została aresztowana przez NKWD. Po wyjściu z więzienia (maj 1945 roku) wyjechała z rodzicami do Torunia, a następnie do Koszalina.

Pod koniec 1945 roku żołnierze 5. Brygady przenieśli się na Pomorze, gdzie „Łupaszka” podporządkował partyzantów strukturą eksterytorialnego Okręgu Wileńskiego AK, dowodzonego przez ppłk. Antoniego Olechnowicza „Pohoreckiego”. Na przełomie 1945 i 1946 roku na nowym terenie trwałoby budowanie siatki konspiracyjnej oraz przeformowywanie brygady, której podstawą stały się tzw. patrole dywersyjne. Złożone z kilku żołnierzy pododdziały rozbiły posterunki UB, wymierzały kary konfidentom, zdobywały fundusze na dalszą działalność. Skuteczność działań osiągnano głównie dzięki zaufanym współpracownikom. Jednym z nich była Mordas, której „Łupaszka” po raz kolejny powierzył funkcję łączniczki. Jako pracownica Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Koszalinie załatwiała dokumenty legalizacyjne dla członków podziemia. Pośredniczyła w kontaktach między majorem i ludźmi konspiracji na terenie ówczesnych województw szczecińskiego i pomorskiego. To dzięki niej we wschodniej części województwa szczecińskiego doszło do kilku wspólnych akcji żołnierzy Bojowego Oddziału Armii i podległego „Łupaszce” szwadronu Zdzisława Badochy „Żelaznego”. Zachowała się pamiątka tej współpracy – zdjęcie, na którym uśmiechnięta Regina stoi w towarzystwie sześciu żołnierzy. Była wiosna 1946 roku. W ciągu następnych lat z obecnych na fotografii mężczyzn dwóch miało zginąć z rąk UB, czterech – spotkały represje i więzienie.

Agentka „Regina”

W kwietniu 1946 roku w wyniku wpadki Regina Mordas została aresztowana przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Gdańsku. To cezura zamykająca kartę jej życiorysu w konspiracji niepodległościowej. Okoliczności, w których zgodziła się wówczas

współpracować z bezpieką, nie są do końca znane. Być może została zastraszona i psychicznie złamana. Miała przecież świeże wspomnienia z więzienia w Mińsku, które opuściła w 1945 roku tylko dzięki majowej amnestii. Na pewno zdawała sobie sprawę z tego, że za podziemną działalność groziła jej kara śmierci.

Gdyby jednak była to tylko chwila ludzkiej słabości – rozumiała w obliczu brutalnych metod bezpieki – Mordas mogła zachować się tak, jak aresztowany kilka tygodni wcześniej łącznik Okręgu Wileńskiego AK, Wacław Beynar „Orszak”, który po wyjściu z UB natychmiast powiadomił swoich przełożonych o werbunku. Tymczasem kobieta przeszła na służbę dotychczasowych wrogów i przez kolejne cztery lata pełniła ją z oddaniem. Co więcej, była tak samo skuteczna, jak podczas lat spędzonych w partyzancie, gdy wielokrotnie wykazywała się brawurą.

Trudno nie zadać sobie pytania, dlaczego tak się stało, zwłaszcza że efekty i skala współpracy szokują. Listę nazwisk przewijających się w licznych donosach „Reginy” – bo taki otrzymała pseudonim – otwierają podkomendni „Łupaszki”: łączniczka Danuta Siedzikówna „Inka” i Feliks Selmanowicz „Zagończyk” – oboje skazani w 1946 roku w Gdańsku na karę śmierci i straceni. Do więzień UB szybko trafiały następne osoby.

„Przekazywała im wszystko, co wiedziała, a wiedziała dużo – wspominała »Jachna« – miała kontakty z komendą, ze sztabem. W zasadzie to ona rozłożyła całą organizację. Bez żadnych skrupułów wydawała UB swoich przyjaciół, z którymi przecież niejedno przeżyła. Przez nią siedziało wiele osób. Zdradzała także tych ludzi, u których nocowaliśmy. Później, jak już się chciała wykazać przed UB, chciała ich przekonać, że nadal jest przydatna, a już nie miała co powiedzieć, to wymyślała, oskarżała niewinnych ludzi. Rzeczywiście stało się z nią coś tak dziwnego, nie miała żadnych zahamowań”.

Sama agentka przyznała po latach w rozmowie ze Służbą Bezpieczeństwa, że za współpracę nie pobierała żadnego wynagrodzenia, czasami jedynie żyw-

Fot. AIPN

ność. Jako motyw denuncjatorskiej działalności wskazała „sentyment do jednego z funkcjonariuszy UB”. Czy faktycznie przyjaźniła się z pracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa? Dokumenty milczą w tej sprawie. Ale gdzieś ponad tym, co napisane, można pokusić się o spekulacje na temat psychologicznego aspektu zachowania Reginy Mordas. Jeśli odrzucimy motyw przymuszenia czy zastraszenia, rysuje się obraz gry, którą bezpieka podjęła z młodą kobietą, wykorzystując jej słabe punkty. Być może była zmęczona dotychczasowym życiem w ciągłym napięciu i strachu, a we współpracy z UB odnalazła jedyną szansę i sposób na jego przecięcie. A może nosiła w sobie osobistą urazę, którą próbowała zrekompensować zemstą? Nigdy się nie dowiemy, co tak naprawdę nią kierowało.

Sen „Łupaszki”

Dalsze losy Reginy Mordas śledzimy na podstawie zachowanych donosów i dokumentacji bezpieki. Lektura wskazuje, że kobieta była agentką bezwzględna i nadgorliwa. Przed każdym spotkaniem z wileńskimi kolegami była odpowiednio legendowana. Wykonywała kolejne zadania, brała udział w tzw. kombinacjach operacyjnych, obławach, prowokacjach, a nawet w przesłuchaniach. Materiały przez nią dostarczane stały się podstawą wszczęcia kilku dużych spraw przeciwko osobom związanym z podziemiem. Za jej pośrednictwem do rąk funkcjonariuszy trafiały listy, ulotki, podziemna prasa.

Choć już w 1946 roku krążyła informacja o współpracy dawnej uczestniczki konspiracji z UB, to przez długi czas wielu znajomych nie mogło w to uwierzyć. Nie liczni od razu stracili do niej zaufanie. Na przykład Wacław Beynar „Orszak” w jednym z listów do „Łupaszki” wspominał, że pod koniec czerwca

1946 roku spotkał Reginę w pociągu do Olsztyna. Rozemocjonowana wspominała o pobycie w gdańskim areszcie. „Opowiadała dużo rzeczy bezsensownych – zanotował »Orszak« – jak kupiła Panu Mjr. ryngraf złoty za 9 tys. zł, że ona kochała się w Panu, że z nią bardzo grzecznie obchodzono się w więzieniu, w co całkiem nie wierzyłem, bo sam to przeżywałem”. Beynar nie chciał uwierzyć, że po wyjściu na wolność dziewczyna zerwała kontakt z UB. Jednak sam mjr. „Łupaszka” na początku wątpił w fakt jej współpracy. Janina Wasiljoć-Smoleńska wspominała, że gdy przekazała mu informację o werbunku koleżanki, był przekonany, że to tylko wybieg, który miał ocalić jej życie. Opowiedział przy tym „Jachnie” swój sen: „Śniła mi się Regina, że siedzi w celi, drzwi otwarte, a ona nie wychodzi, tylko siedzi i płacze”. W literaturze pojawia się informacja o podziemnym wyroku śmierci, który w 1946 roku wydał na Reginę Mordas komendant ppłk Antoni Olechnowicz „Pohorecki”. Według samej zainteresowanej o tym, że zaniechano jego wykonania, zadecydowało wstawiennictwo części dawnych przyjaciół.

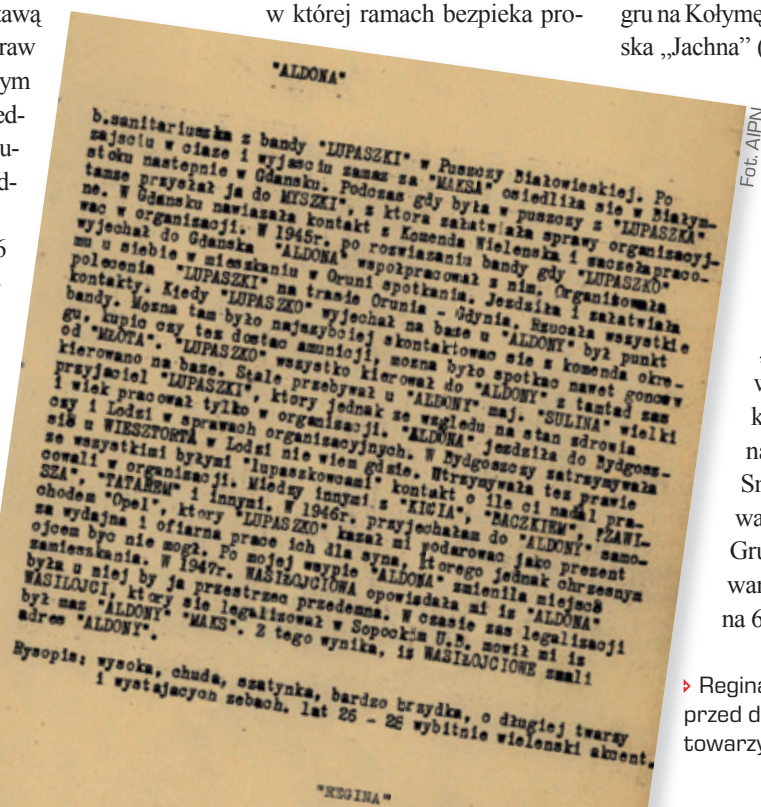
Donosy

W 1948 roku Mordas została aresztowana podczas ogólnopolskiej „Akcji X”, w której ramach bezpieka pro-

wadziła polowanie na ludzi związanych z wileńską konspiracją. Areszt tak cennej agentki był kolejnym z elementów gry, ponieważ – mimo formalnego wyeliminowania z sieci informatorów – „Regina” była nadal aktywna. W archiwum IPN w Szczecinie znajduje się teczka z częścią zachowanych donosów z lat 1948–1950. Wrażenie robią pisane ręką kobiety charakterystyki kolegów z partyzantki. „Regina” nie poprzestaje na suchych faktach. Podejmuje próby psychologicznej analizy, podrzuca plotki z życia prywatnego. Bywa zgryźliwa, zwłaszcza wobec kobiet. „Potwornie brzydka” – pisze przy jednej dziewczynie, którą wskazuje jako współpracownicę Zrzeszenia WiN w Łodzi. Kolejne trzy charakteryzuje jako „kochanki »Łupaszki«”. Zgodnie z wymogiem bezpieki, posługuje się ówczesną frazeologią. Swoich dowódców i towarzyszy broni określa mianem bandytów, bandziorów, wykolejenców. Strona po stronie dostarcza materiałów obciążających byłych kolegów, w większości zresztą przebywających już wówczas w więzieniach.

W donosach, oprócz mjr. Szendziarza (straconego w 1951 roku w Warszawie), pojawiają się jego podkomendni, m.in. Antoni Rymsza „Maks” (aresztowany w 1948 roku i wywieziony do łagru na Kołymie), Janina Wasiljoć-Smoleńska „Jachna” (aresztowana w 1947 roku i skazana na karę śmierci, zamienioną na 15 lat więzienia), sanitariuszka Lidia Lwow-Eberle „Lala” (aresztowana w 1948 roku i skazana na karę dożywotniego więzienia), Jerzy Lejkowski „Szpagat” (aresztowany w 1948 roku i skazany na karę śmierci, zamienioną na 15 lat więzienia), Leon Smoleński „Zeus” (aresztowany w 1948 roku), Zygmunt Grunt-Mejer „Zyga” (aresztowany w 1948 roku i skazany na 6 lat więzienia).

▶ Regina Mordas nie miała oporów przed donoszeniem na dawnych towarzyszy broni





Fot. ALPN



► Regina Mordas na zdjęciach tajnej obserwacji

„Regina” opisała także dowódcę Bojowego Oddziału Armii – Stefana Pabisia „Stefana” (aresztowany w 1948 roku i skazany na karę śmierci, zamienioną na dożywotnie więzienie) i jego żołnierzy, m.in. Edwarda Kokotkę „Wrzosa”, który uśmiecha się z nią na grupowym zdjęciu z wiosny 1946 roku (rozstrzelany w 1948 roku w więzieniu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Szczecinie). Wskazała właścicieli punktów kontaktowych i kolporterów podziemnej prasy z Torunia, Bydgoszczy, Gdańska, Malborka, Olsztyna, Słupska, Szczecina. Część charakterystyk dotyczy osób już wówczas nieżyjących, np. Henryka Wojczyńskiego „Mercedesa” (zginął w 1946 roku). Pod donosami znajdują się notatki funkcjonariuszy: „przesłać według miejsca zamieszkania” lub „aresztowana/y”, „skazana/y”, „kara śmierci” itd.

Po kolejnych aresztowaniach znajomi zaczęli odsuwać się od Reginy Mordas i zrywać z nią kontakty. W jednym z donosów kobieta załapała się, że podkomendny mjr. „Łupaszk”, Olgierd Christa „Leszek”, zarzucił jej, że wsypała „Zagóńczyka”. „Pytał, czy nie dostałam za to medalu – pisała. – Powiedziałam mu, iż jak jego rozpracuję, to na pewno mi dadzą”. Fala represji powodowała, że pozostający jeszcze na wolności żołnierze czuli się coraz bardziej zaszczuci. Bezpieka potrafiła to wykorzystać. „Regina” podej-

mowała kolejne manipulacje, namawiając m.in. „Zeusa” czy „Leszka” do ujawnienia się w ramach amnestii ogłoszonej na początku 1947 roku. Stawką było ich życie lub – jak w przypadku „Zeusa” – życie najbliższych (chcąc ratować aresztowaną w 1947 roku „Jachnę”, Smoleński podjął krótkotrwałą grę z bezpieką, godząc się na współpracę).

Tragiczny bilans

W 1950 roku UB zerwał kontakt z „Reginą”. Powodem była dekonspiracja, do której przyczynił się m.in. udział agentki jako głównego świadka oskarżenia w procesach towarzyszy z partyzantki. Jednak przez kolejne lata Mordas pełniła rolę dorywczej konsultantki bezpieki w sprawach związanych z konspiracją wileńską. „Podczas tych spotkań – jak zanotowano w raporcie SB z 1957 roku – wymieniona sama wyrażała chęci, ażeby zlecić jej nawiązanie kontaktu z b. działaczami bandy »Łupaszk«, twierdząc, że chociaż została zdekonspirowana, lecz z tymi ludźmi potrafi się jeszcze domówić”. Jak czytamy we wspomnianym dokumencie, bilans jej agenturalnej działalności do 1950 roku to rozbicie 120 punktów konspiracyjnych, dostarczenie 121 nazwisk i danych osób zaangażowanych w konspirację wileńską, aresztowanie licznych działaczy

ze szczebla kierowniczego partyzantki, a także wielu żołnierzy AK/WiN z ówczesnych województw szczecińskiego, gdańskiego, olsztyńskiego, białostockiego i pomorskiego.

Czy „Regina” zdawała sobie sprawę z ogromu wyrządzonych krzywd? Na pewno wiedziała, co spotkało jej ofiary. Niekiedy w kolejnych donosach, przy pojawiających się nazwiskach, zapisywała w nawiasie: „ja go wsypałam”. Z kolei zarzut zdrady ze strony kolegów przekuła w żal, że rosnący ostracyzm środowiska utrudniał zdobycie kolejnych informacji. Będąc narzędziem w rękach bezpieki, przyczyniła się do kilku wyroków śmierci i wielu kar długoletniego więzienia. Czasami w doniesieniach uderzała na oślep, wymieniała członków rodzin partyzantów, ich sąsiadów i znajomych. Tak, jakby się bała, że lista nazwisk za chwilę się skończy. A może tak, jakby chciała wymazać całą przeszłość, pozbyć się ostatniego świadka.

Zjawy z przeszłości

Przeszłość jednak do niej powróciła. W 1957 roku Regina mieszkała w Szczecinie i prowadziła sklep sieci Miejskiego Handlu Detalicznego. Założyła rodzinę i zmieniła nazwisko na Żylińska. Czaasy były już inne. W wyniku amnestii do domów wracali ci, którym złamała życie. Kobieta zaczęła prześladować dawno niewidziane, znajome twarze. Któregoś dnia czterech byłych partyzantów wileńskich odwiedziło ją w domu i zażądało pieniędzy w ramach rekompensaty za lata spędzone w więzieniu. Żylińska wydała im 6 tys. zł. Rok później w sklepie, w którym pracowała, pojawiły się kolejne osoby – kolejne zjawy z przeszłości. Kobieta zaczęła obawiać się o swoje życie i poprosiła o pomoc SB. Była gotowa zapłacić, bo – jak napisał jeden z funkcjonariuszy w raporcie – „Wobec tych ludzi czuje się zobowiązana moralnie i może oni potrzebują pomocy, bo szereg z nich powychodziło z więzień, są bez pracy, dużo z nich przyjechało ze Związku Radzieckiego i obozów”.

Regina Żylińska załapała się pracownikiem Wydziału III Komendy Wojewódzkiej

Milicji Obywatelskiej, mówiąc, że „[...] szereg ludzi od »Łupaszki« było dobrych i jak na nią był wydany wyrok śmierci, to ją uprzedzili o tym. Za wydanie im pieniędzy najwyżej posiedzi rok czasu, nadmieniając przy tym, że po co jej to wszystko było potrzebne (jej współpraca z organami BP). Za te [tak w oryginale] uprzednie przestępstwo otrzymałaby 15 lat, ale do tego czasu by wyszła na wolność i byłaby czysta i miałaby spokój”. Odtąd żyła w strachu. Przez kilka dni nie pojawiała się w pracy, odbierała anonimowe telefony, szukała adresu teściowej „Łupaszki”, żeby się wytłumaczyć. Twierdziła, że została zatrzymana na ulicy przez dwóch mężczyzn, którym pod groźbą szantażu oddała kolejne 20 tys. zł utargu. Część tych zdarzeń funkcjonariusze SB zinterpretują niebawem jako wytwór wyobraźni Żylińskiej. Akta nie rozstrzygają, czy próby wyłudzenia pieniędzy faktycznie miały miejsce, czy też były psychiczną szamotaniną kobiety z przeszłości. „Kiedy wyszłam z więzienia w 1956 roku, spotkałam ją na ulicy – mówiła »Jachna« – szła naprzeciwko mnie, ale choć była osobą o niezwykłym tupecie – na mój widok szybko przebiegła na drugą stronę”.

Ostatnia gra z SB

Uciekając przed przeszłością, Żylińska rozpaczliwie domagała się uwagi SB. Funkcjonariusze Wydziału „B” KWMO w Szczecinie prowadzili stałą obserwację kobiety, ponieważ podczas jednej z wizyt na komendzie obiecała wyjechać na teren Litwy i wskazać miejsce, w którym partyzanci zakopali niegdyś archiwum brygady. Jak sama przyznała, mjr „Łupaszka” prosił ją o zachowanie tej tajemnicy w pamięci, mówiąc: „[...] ty masz zawsze cholerne szczęście i ze wszystkich opresji wychodzisz cało. W razie gdybyśmy wszyscy gryzli ziemię, to wiedz, gdzie jest zachowana historia brygady”.

Prawdopodobnie był to haczyk, który na kilka miesięcy pozwolił kobiecie poczuć zainteresowanie ze strony służb. Tak jak wówczas, gdy była im potrzebna. Jednak tym razem rozmowy z SB przypominały raczej pokorne dopraszanie się uwagi przez natrętą petentkę. Żylińska

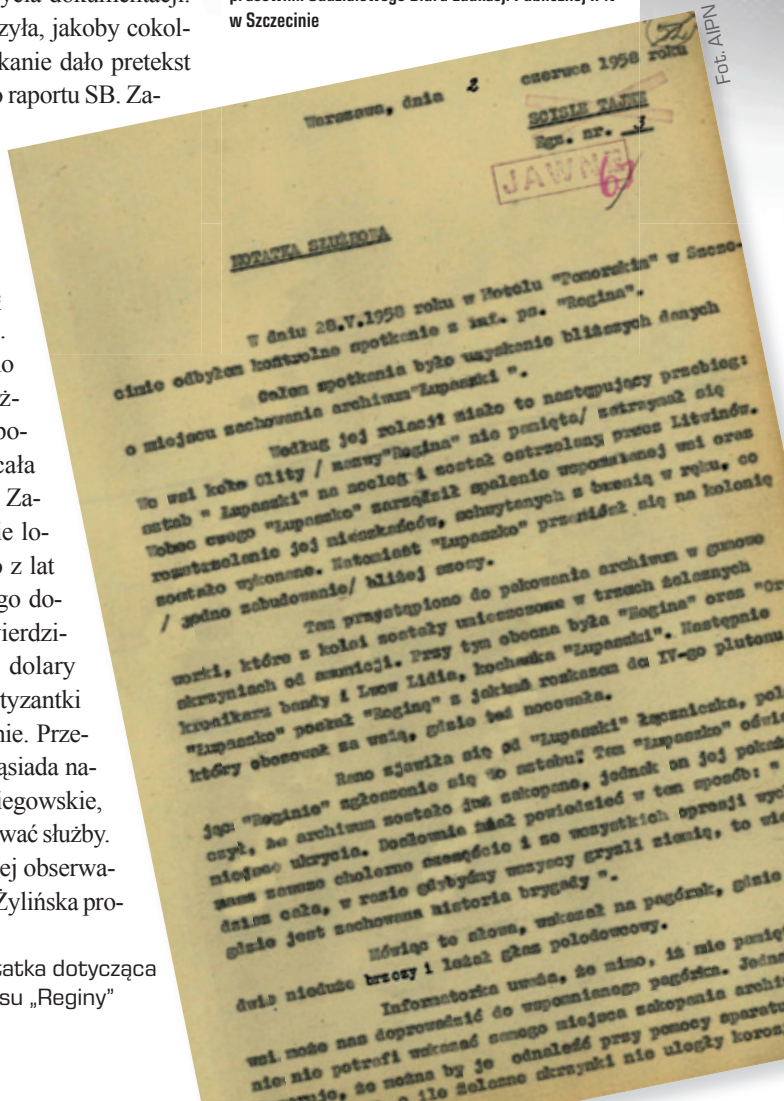
miała się, płatała, była rozemocjonowana. Funkcjonariusze stracili cierpliwość, wypomnieli jej długi finansowe, które próbowała zasłonić wymysłami o szantażystach. Odpowiedziała, że „ma wobec kogoś długi, których żadnymi pieniędzmi nie spłaci do końca życia”. Podobne refleksje pojawiły się jeszcze kilka razy, niczym uporczywe obrazy z przeszłości, z którą musiała żyć i której się bała. Funkcjonariusze zinterpretowali je jako przykład „psychicznego niezrównoważenia” kobiety. Któregoś razu, wspominając żołnierzy Bojowego Oddziału Armii, rzuciła, że „siedząc w więzieniu, za porcję lodów wydała 8-osobową bojówkę, która w całości została zlikwidowana przez UB”. W podobny sposób dała upust wyrzutom sumienia, ale też toczyła grę, której stawką było cenne archiwum „Łupaszki”.

W 1958 roku Żylińska odwiedziła w Warszawie Lidę Lwow-Eberle, od której próbowała wyciągnąć potwierdzenie dotyczące ukrycia dokumentacji. Choć „Lala” zaprzeczyła, jakoby cokolwiek wiedziała, spotkanie dało pretekst do złożenia kolejnego raportu SB. Zachowanie Żylińskiej stawalo się coraz dziwniejsze. Wciąż szukała kontaktu z bezpieczeńką i bombardowała siedzibę KWMO telefonami. Tam jednak przestano traktować ją poważnie, więc – niczym pokerzystka – dorzucała coraz więcej do puli. Zaproponowała wydanie lokalu konspiracyjnego z lat czterdziestych, którego dotąd nie ujawniła. Twierdziła, że otrzymywała dolary od kierownictwa partyzantki wileńskiej za milczenie. Przekonywała, że przez sąsiada nawiązała kontakty szpiegowskie, które mogą zainteresować służby.

Jednak wyniki tajnej obserwacji nie wskazują, aby Żylińska pro-

wadziła ciekawe życie lub utrzymywała kontakty przydatne funkcjonariuszom. Ostatecznie – gdy po weryfikacji przez KGB Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej danych dotyczących ukrytego archiwum „Łupaszki”, plan jego odnalezienia okazał się niewiarygodny – „petentka” przestała być potrzebna. Materiały szczecińskiej SB złożono do archiwum w lutym 1960 roku z adnotacją: „»Regina« nie prowadzi obecnie żadnej działalności”. Bezpieka nie miała już żadnego interesu w tym, aby utrzymywać kontakt z kobietą, która kiedyś tak bardzo jej się przysłużyła, wręcz przeciwnie – aby ostatecznie pogrzyźć „Reginę”, powiadomiono prokuraturę o manku, które powstało w jej sklepie. Zwolniona z pracy, została sama ze swoją przeszłością. Jedna z najsukeczniejszych niegdyś agentek zmarła w 1970 roku w wieku 46 lat. ■

dr Magdalena Senczyszyn – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Szczecinie



► Notatka dotycząca donosu „Reginy”

Jeniec ratusza

Damian Kwiek



► Julian Spitosław Kulski
w 1919 roku

– Jak się wchodziło do gabinetu prezydenta, byli tam i gestapowcy, i Armia Krajowa – wspomina kadrze swojej wczesnej młodości nastoletni wtedy warszawiak. W gabinecie urzędował jego ojciec, przez wielu uważany za zdrajcę, za niemieckiego kolaboranta.

W sobotę 28 października 1939 roku Julian Spitosław Kulski spotkał się w Pałacu Blanka z Alfredem Ottem (w niektórych opracowaniach występuje jako Helmut), hitlerowskim komisarzem Rzeszy dla miasta Warszawy. Dzień wcześniej gestapo aresztowało prezydenta stolicy Stefana Starzyńskiego. Kulski był jego zastępcą od 1935 roku. Zależało

mu na rozmowie z komisarzem, w której trakcie chciał interweniować w sprawie prezydenta. Okazało się, że i Ottowi zależy na spotkaniu z Kulskim, ale z innego powodu.

Przedwojennego wiceprezydenta okupacyjny komisarz przyjął w towarzystwie dwóch innych Niemców – ale zaczął Polak. Zapytał o Starzyńskiego, usłyszał krótką odpowiedź: „Nic zrobić nie mogę, nie wiem nawet, czy Starzyński jeszcze żyje”. Otto szybko przeszedł do swojej kwestii. Poinformował Kulskiego, że ten ma objąć kierownictwo miejskiego zarządu, czyli zostać burmistrzem Warszawy, podległym okupantowi. Wręczył gościowi podpisane przez siebie pismo, zawierające trzy zdania: „Z mocą od 27 października r.b. rozkazem Pana Generała Gubernatora zostałem zamianowany Komisarzycznym Prezydentem Miasta. Niniejszym powierzam Panu odpowiedzialne kierownictwo spraw miejskich pod moim kierunkiem. Pana tytuł służbowy brzmi od dzisiaj: Komisarzyczny Burmistrz Miasta Warszawy”.

Julian Kulski przyjął stanowisko. Kiedy wychodził, Alfred Otto zapytał jeszcze: „A czy będę mógł liczyć na Pańską lojalność?”. Kulski odparł: „Gdy będzie to miało na względzie dobro ludności”. Tak początek swojej misji urzędnik opisuje we wspomnieniach *Z minionych lat życia 1892–1945*.

Stąpienie po linie

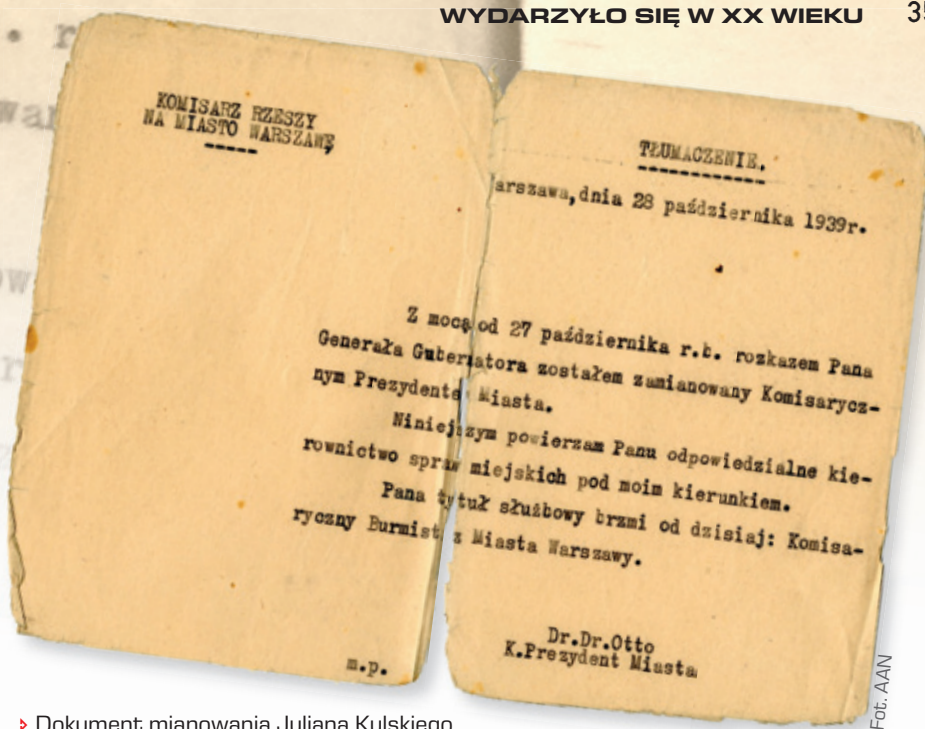
Ale na spotkanie w Pałacu Blanka, sąsiadującym z ratuszem, szedł już przygotowany. I nie chodzi tylko o skazaną na niepowodzenie interwencję w sprawie Starzyńskiego – wcześniej Kulski uzgodnił z polskim podziemiem, że będzie zastępował aresztowanego prezydenta do czasu jego powrotu. O rozmowie z Ottem zawczasu wiedziała Komisja Ogólna Komitetu Obywatelskiego (gremium składające się z działaczy społecznych, opiniodawcze względem polskich władz podziemnych, ale bez uprawnień politycznych), a po spotkaniu zaakceptowała Kulskiego jako burmistrza, zaznaczając tymczasowość tej

funkcji. O okolicznościach nowej pracy opowiada syn urzędnika, Julian Eugeniusz Kulski: – Ojciec był oficerem wywiadu w czasie wojny polsko-bolszewickiej, więc w ratuszu miał wokół siebie też wywiad podziemia, kontakty zostały. Ale oczywiście było tam równocześnie gestapo – przypomina Kulski junior. – Wszystko, co robił na tym urzędzie, choć nominowany przez Niemców, robił za wiedzą państwa podziemnego, któremu zależało, żeby przeznaczał z miejskiej kasy jak największe fundusze na rzecz konspiracyjnej armii.

Historyk Mariusz Olczak podkreśla, że Kulski senior, poza pomocą finansową, wydawał też karty żywieniowe i dokumenty o zatrudnieniu, z których korzystali akowcy i przedstawiciele Delegatury Rządu na Kraj. Ratusz współpracował potajemnie ze środowiskiem niepodległościowym w sprawach meldunkowych, które z czasem stały się decydujące dla ludzkich losów. Chodziło o to, że Niemcy, sprawdzając dokumenty zatrzymywanych mieszkańców, zaczęli weryfikować je w miejskich archiwach. Sprawdzali, czy pod danym adresem konkretna osoba rzeczywiście jest zameldowana, i w ten sposób mogli wyłapywać fałszerstwa. Ratusz dbał o to, żeby fałszywki miały urzędowe pokrycie.

Kulski utrzymywał też kontakty ze środowiskiem żydowskim. – W swoich domach podwarszawskich ukrywał dwie rodziny – zaznacza historyk dr Tadeusz Krawczak. – Na co dzień współpracował z Adamem Czerniakowem, prezesem Rady Żydowskiej w getcie warszawskim.

Tłumaczem burmistrza był Emil Kipa, przed wojną polski konsul generalny w Hamburgu. – Kipa mówił świetnie po niemiecku – wyjaśnia Julian Eugeniusz Kulski. – Ojciec znał niemiecki, ale nie przyznawał się do tego. W ten sposób mógł zachować konspirację w rozmowach z przedstawicielami Rzeszy, m.in. z gen. [Ludwigiem] Leistem [starostą Warszawy], a nawet z tym okropnym zbrodniarzem [Ludwigiem] Fischerem [gubernatorem dys-



► Dokument mianowania Juliana Kulskiego na komisarycznego burmistrza Warszawy

tryktu warszawskiego Generalnego Gubernatorstwa].

Sam burmistrz wyjaśniał, że ta „konspiracja” była użyteczną strategią, zastosowaną z rozmysłem. W swoich wspomnieniach opisał spotkanie z zastępcą (a później następcą) Alfreda Otta – Oskarem Denglem, który wezwał go, instruując Emila Kipę, że Kulski ma przyjść na rozmowę sam. Burmistrz wykonał polecenie i prowadził potem konwersację swoją łamaną niemieczyną. Po krótkim czasie zniecierpliwiony Niemiec musiał wezwać tłumaczkę. Kulski w ten sposób utrzymał zwyczaj porozumiewania się z urzędnikami niemieckimi przez pośrednika. We wspomnieniach uzasadnił, dlaczego było to potrzebne: „Ja całkiem świadomie prowadziłem z Niemcami rozmowy po polsku i czekałem potem na przełożenie swoich słów na niemiecki. Tłumaczenie oświadczeń niemieckich dawało mi cenne chwile czasu do zastanowienia się i nie pozwalało dawać się zaskoczyć. Faktem zaś było, że Niemców dość dobrze i z czasem coraz lepiej rozumiałem, nie przyznając się jednak do tego”. Dodał przy tym szczerze, że z pomocą w tej sztuczce przychodziła mu... pewna ułomność: nauka języków obcych w ogóle szła mu opornie i bardzo powoli przyswajał właściwą wymowę.

Bez przesady można powiedzieć, że rola, którą odgrywał Kulski, przypominała chodzenie po linie. Musiał zachowywać równowagę pomiędzy wrażeniem lojalności wobec Niemców a faktyczną wiernością podziemiu. – Znajomi nazywali go więźniem ratusza – opowiada Kulski junior. – Bo wiedzieli, że po prostu był wykończony przez te pięć lat.

Burmistrz spotykał się z delegatami rządu na kraj – Cyrylem Ratajskim i Janem Jankowskim, z szefami departamentów (podziemnych „ministerstw”), a także z przedstawicielami Armii Krajowej. Z Ratajskim konsultował swoje wątpliwości dotyczące dalszego pozostawiania na stanowisku. Kiedy Niemcy zaczęli ignorować miejski zarząd, na którego czele stał, Kulski podejrzewał, że chodzi o sprowadzenie polskiej administracji do roli parawanu dla hitlerowskich działań wobec ludności. Liczył na doradztwo delegata, którego uważał za znawcę niemieckiej mentalności. Ratajski stwierdził, że sytuacja nie uzasadnia rezygnacji, a dalsze pełnienie funkcji może być wartościowe i użyteczne dla polskiej sprawy. Burmistrz pracował więc dalej. W konsekwencji wytycznych przedstawiciela emigracyjnego rządu odrzucił potem propozycję Kazimierza Tadeusza Szpotańskiego, działacza konspiracyjnego, który ►



Fot. AAN

► Po wojnie Kulski nie narzekał na brak zatrudnienia

oferował mu tajny przelot do Londynu. Dla rządu na uchodźstwie opiniował dokumentację opisującą niemiecki terror w kraju. O tę recenzję poprosił go Antoni Olszewski, przedwojenny minister przemysłu i handlu.

Zdrajca czy szpieg?

Mieszkańcy Warszawy nie mogli wtedy być świadomi tych niuansów – wiedzieli natomiast, że Kulski jest urzędnikiem współpracującym z Niemcami. Jego syn podkreśla, że burmistrz nosił niesprawiedliwe piętno zdrajcy: – Przez ogół społeczeństwa Warszawy mój ojciec i cały ratusz byli uważani za kolaborantów. To była okropna praca dla człowieka, który poświęcił całe życie, żeby pomóc krajowi odzyskać niepodległość.

Sam szef zarządu miejskiego przyznawał, że atakowały go niektóre pisma podziemne. Kulski wymieniał publikacje w organie warszawskim Polskiej Partii Robotniczej i w „Rzeczpospolitej Polskiej”, miesięczniku Delegatury Rządu na Kraj. Interweniował w tej sprawie w strukturach konspiracyjnych za pośrednictwem pracownika ratusza i równocześnie głównego łącznika z podziemiem – Henryka Pawłowicza. „Zjawiali się wtedy u mnie »panowie w czarnych garniturach«, aby usprawiedliwić pomyłki. Przyjmowałem ich wizyty bez zbędnej goryczy” – skwitował we wspomnieniach.

„Koegzystencja” z Niemcami miała groźniejsze zakrety: trzykrotnie go aresztowano. Pierwszy raz był jednym z zakładników uwięzionych na krótko

w Pałacu Sprawiedliwości – 11 listopada 1939 roku. W dniu święta obchodzonego w Polsce przed wojną Niemcy obawiali się demonstracji niepodległościowych. Precyzyjnie Kulskiemu powód zatrzymania wyjaśnił żandarm, który „mówił łamaną polszczyzną o akcencie śląskim”: „Jeśli coś się stanie w Warszawie, będziesz zastrzelony”.

W lipcu 1940 roku Kulski padł ofiarą wielkiej obławy urządzonej przez Niemców. Żołnierze weszli do jego mieszkania w czasie, kiedy był w łazience, i od razu rozpoczęli rewizję. W szafie szybko znaleźli ukryte w bieliźnie amerykańskie czasopismo. Gestapowcy zwrócili uwagę, że to egzemplarz wydany już po wkroczeniu armii niemieckiej do Polski – i uznali, że złapali zachodniego szpiega. W magazynie były relacje korespondenta wojennego Juliana Bryana opisujące bombardowania Warszawy z września poprzedniego roku. Kulski trafił na Pawiak, potem na Szucha.

Za trzecim razem opóźnił powiadomienie policji o włamaniu do miejskiej drukarni. Nocą ktoś próbował wyrabiać karty żywnościowe. Kulski musiał poinformować policję o incydencie, ale chciał dać czas uciekinierom na ukrycie się. W konsekwencji trafił do więzienia przy Daniłowiczowskiej, podejrzany o „pomoc kryminalistom”. Zatrzymania, które go spotykały, trwały od kilku godzin do kilku dni. Dopisywało mu szczęście, pomagały znajomości i spryt. W aresztach był traktowany dość dobrze, odyskiwał wolność bez uszczerbku na zdrowiu.

Powstanie – koniec misji

Misja Juliana Kulskiego miała być tymczasowym zastępstwem Starzyńskiego, które jednak przeciągało się na kolejne miesiące i lata. Przyszedł wreszcie rok 1944. W lipcu Kulski wiedział o pogotowiu zarządzonym w Armii Krajowej, obserwował też oznaki wyraźnego niepokoju wśród Niemców. Na dzień lub dwa przed 1 sierpnia burmistrza wezwał niemiecki gubernator. Kulski zapamiętał, że Fischer był błąd, a Pałac Brühla, gdzie urzędował Niemiec, przypominał

Julian Spitosław Kulski działał w organizacjach niepodległościowych przed rokiem 1914, był żołnierzem Legionów Polskich w I wojnie światowej, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. W okresie międzywojennym został zatrudniony jako dyrektor departamentu w Ministerstwie Skarbu, szefował Państwowemu Monopolowi Spirytusowemu, następnie objął stanowisko wiceprezydenta Warszawy.

obleżoną twierdzą – z licznymi karabinami maszynowymi i strażami. Burmistrz Warszawy okresu okupacji zapamiętał, że 1 sierpnia przed 17.00 wyszedł na balkon swojego gabinetu w urzędzie miasta: „Plac Teatralny był zupełnie pusty. Jedynie wysunięty na kraniec trotuaru trwał w oczekiwaniu na pierwsze strzały i ofiary polski dwuosobowy patrol sanitarny z opaskami czerwonego krzyża na ramionach. Od strony sąsiedniego Pałacu Blanka – siedziby władzy hitlerowskiej miejskiej – było cicho. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy wiedzą, co ma nastąpić, i oczekują tego w skupieniu, tak przyjaciele, jak wrogowie”.

W pierwszych dniach Powstania Warszawskiego Kulski i jego najbliżsi współpracownicy szybko zauważyli, że ich praca w ratuszu straciła jakikolwiek sens. „Ja i mój zastępca [Stanisław] Podwiński już 4 sierpnia doszliśmy do wniosku, że nie mamy uzasadnienia do trwania w biernej, czysto nominalnej służbie – wyjaśniał Julian Spitosław Kulski w powojennym odczycie. – Podaliśmy się więc do dymisji, przyjętej przez ministra Jankowskiego”.

W rzeczywistości burmistrz złożył urząd na ręce Marceliego Porowskiego, delegata rządu RP na Warszawę (i od następnego dnia – powstańczego prezydenta stolicy). Kulski zrobił to wbrew woli Jana Jankowskiego, delegata rządu na Kraj, który oczekiwał, że burmistrz zostanie na stanowisku do „pomyślnego końca Powstania”. Ostatecznie jednak państwo podziemne przyjęło wniosek rezygnacyjny.

Powstanie Warszawskie Kulski spędził w mieście jako cywil, nie biorąc udziału w walkach. Dostał jednak od przedstawiciela Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK legitymację korespondenta wojennego, dzięki której mógł pozostać na Starym Mieście i swobodnie poruszać się po tere-

▶ Protest przeciwko wpisaniu do konstytucji zasady przyjaźni z ZSRR

nie opanowanym przez powstańców. Na Żoliborzu walczył jego piętnastoletni syn – Julian Eugeniusz Kulski. Był w 9. Kompanii Dywersji Bojowej „Żniwiarz”. Po zakończeniu walk przedstawiciel pokolenia „dorosłych nastolatków” trafił do niemieckiego obozu, potem szczęśliwie udało mu się uciec na Zachód. Uważał, że w Polsce kontrolowanej przez Sowietów grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

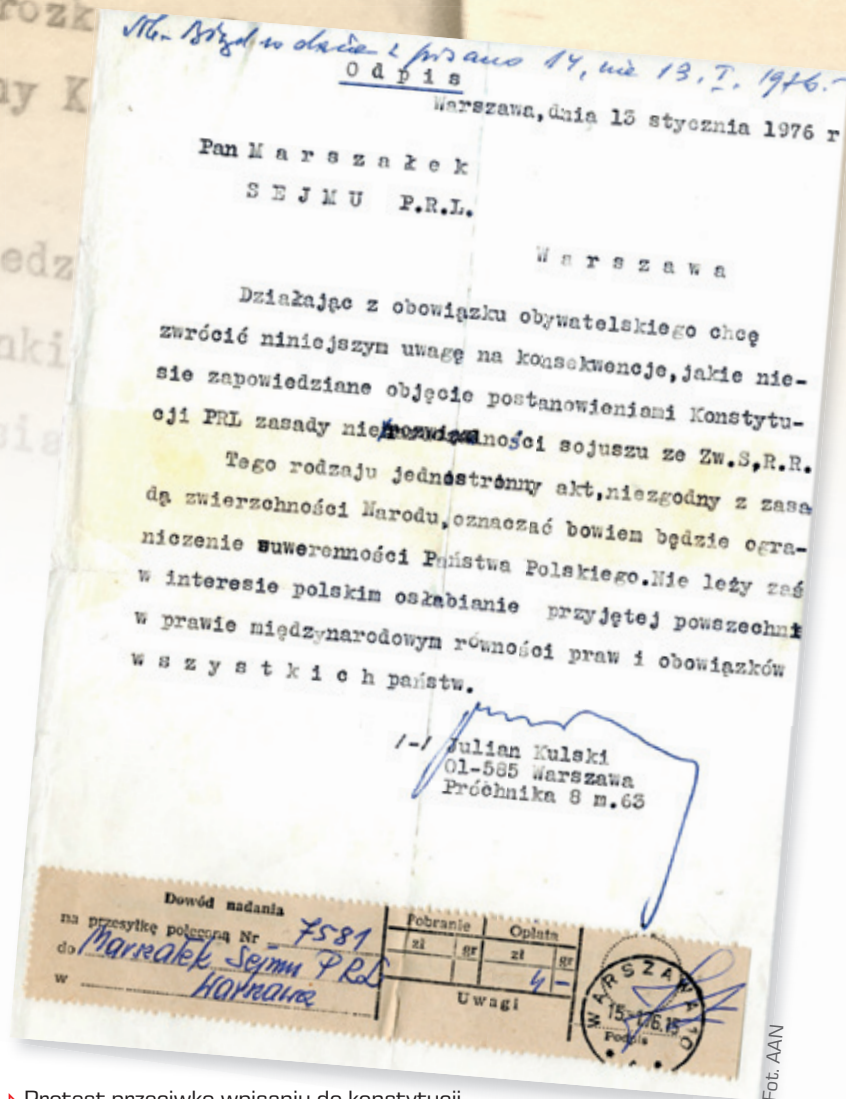
Ojciec dokonał innego wyboru. „Co będzie, to będzie [...] wszyscy nie mogą opuścić kraju. Polska jest jednak tu, a nie

gdzie indziej” – uzasadniał swą decyzję we wspomnieniach.

Zagadki czasu PRL

Pod koniec wojny, u progu rodzącej się Polski Ludowej, rozpoczął się najmniej znany dziś okres życia Kulskiego. Burmistrz współpracujący z niemiecką administracją, uważany przez wielu za kolaboranta, równocześnie działający w porozumieniu z AK, z przeszłością w przedwojennych elitach, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej – nie przeszkadzał nowym władzom. I Sowietci, i polscy komuniści musieli znać te wszystkie aspekty biografii Kulskiego. Hitlerowscy kolaboranci byli ścigani, osoby związane z AK Moskwa traktowała jako zasadnicze zagrożenie dla systemu, który wprowadzała w Polsce. ▶

W 2013 roku **Julian Eugeniusz Kulski** przekazał prywatne dokumenty i pamiętki po ojcu do Archiwum Akt Nowych. Wśród nich jest kilka nagrań magnetofonowych, m.in. odczyt o Stefanie Starzyńskim wygłoszony na Lesznie.



Fot. AAN

Wyroki śmierci dostawali nawet ludzie, którzy po wojnie nie angażowali się już w działalność niepodległościową – sama przeszłość w AK wystarczała za akt oskarżenia. A Julian Spitosław Kulski przetrwał. Co więcej, pracował w powojennych latach w instytucjach i przedsiębiorstwach państwowych, obejmując stanowiska średniego szczebla. Bezpośrednio po wojnie znalazł zatrudnienie w archiwum miejskim i dokumentował działalność zarządu z czasu okupacji. W 1946 roku został wicedyrektorem stołecznej Dyrekcji Osiedli Robotniczych. Rok później trafił do Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego, a w 1951 roku mianowano go dyrektorem w Dyrekcji Osiedli Robotniczych. Na tym stanowisku przepracował osiem lat, do emerytury. Nie piastował wysokich funkcji państwowych, ale przydzielenie tych, które obejmował, było w oczywisty sposób w gestii władz.

– Nie wiemy, jaką dokładnie postawę przyjął Kulski po wojnie – przyznaje historyk Mariusz Olczak. – Do zbadania pozostaje to, na jakie warunki się zgodził, obejmując stanowiska w przedsiębiorstwach państwowych. Na razie możemy wyciągać wnioski z tego, co nie jest napisane, z relacji międzyludzkich – kontynuuje badacz z Archiwum Akt Nowych. – Jeżeli Kulski straciłby zdolność honorową, to na pewno wiele osób znanych mu



Fot. AAN

► Julian Spitosław Kulski – zdjęcie zrobione prawdopodobnie w okresie okupacji lub tuż przed wojną

z okresu konspiracji po wojnie nie chciałoby mieć z nim do czynienia – ocenia Olczak. Uważa, że tak by się stało, gdyby przedwojenny wiceprezydent wszedł zbyt głęboko w kontakty z komunistami. Tymczasem Kulskiego nadal szanowały osoby cieszące się autorytetem, m.in. w środowisku emigracyjnym. Analogiczny wniosek historyk wyciąga w odniesieniu do okupacyjnej służby burmistrza. Jego zdaniem, gdyby podziemie uznało, że jest lojalny nie wobec sił polskich, lecz wobec Niemców, dostałby wyrok śmierci.

Wskazówką tłumaczącą, jak osobie z takim życiorysem udało się przetrwać

w komunistycznej Polsce, mogą też być trzy zdania ze wspomnień burmistrza, nawiązujące do działań legalizacyjnych (czyli wyrabiania fałszywych dokumentów) w okresie okupacji. Kulski umieszcza je już we wstępie swojej książki, wydanej pośmiertnie – zaznaczymy – w 1982 roku: „Służby miejskie skupiały w 1943–1944 około trzydziestu tysięcy pracowników. Dawały one schronienie wybitnym ludziom wszystkich nurtów Polski podziemnej. Legitymacje pracowników miejskich posiadali m.in. Stefan Rowecki »Grot«, Marian Sychalski, Bolesław Bierut [sic! – D.K.], Stanisław Dubois, Jan Stanisław Jankowski i setki innych organizatorów ruchu oporu”. Być może kontakty i długi wdzięczności z tamtego czasu, wiążące burmistrza i z przegranymi, i wygranymi, po 1945 roku okazały się skuteczną polisą na życie? Tropem być może również wartym przebadania są związki Kulskiego z wolnomularstwem. Według wielu źródeł, burmistrz był masonem, związanym m.in. z lożą Kopernik. Wolnomularzem miał być też jego tłumacz z okresu okupacji, Emil Kipa. Nie chodzi tu jednak o rozpowszechnione interpretacje spiskowe wobec wolnomularstwa, ale raczej o przesłedzenie kontaktów, znajomości Kulskiego, które mogły pomóc mu odnaleźć się w nowych czasach.

Aktualna wiedza na temat Juliana Spitosława Kulskiego, co trzeba mocno podkreślić, nie daje podstaw do podejrzeń. Wątpliwości wynikają z niepełnych, jak dotąd, danych dotyczących jego biografii. Bardzo potrzebne jest dogłębne opracowanie całości tego życiorysu: ze względu na białe plamy w odniesieniu do czasów powojennych, ale jeszcze bardziej w związku z tym, że mamy do czynienia z bardzo ważnym współtwórcą polskiej historii w XX wieku, w którego życiu odbija się prawie całe stulecie – od końca zaborów aż do późnego PRL.

Julian Spitosław Kulski zmarł 18 sierpnia 1976 roku w Warszawie. Jest patronem ulicy na stołecznym Mokotowie. 🇵🇱

Damian Kwiek – dziennikarz Programu Trzeciego Polskiego Radia

Inwigilowany

W latach pięćdziesiątych Julian Spitosław Kulski był rozpracowywany przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa – wynika z zachowanych w IPN materiałów archiwalnych.

Przyglądano się m.in. przeszłości byłego wiceprezydenta Warszawy i komisarzycznego burmistrza z czasów niemieckiej okupacji. Nie natrafiono jednak na informacje, które byłyby dla niego kompromitujące. „Po wyzwoleniu, chcąc uniknąć represji ze strony władz i ewentualnie zemsty społeczeństwa Warszawy, [Kulski] przeniósł się do Gdyni, pracując w f-mie przewozowej »Hartwig« [...]” – czytamy w jednym z dokumentów. Były wiceprezydent wrócił do stolicy w 1947 roku. Bezpieka prowadziła wobec niego obserwację uliczną, korzystała też z doniesień otaczającej go agentury. „Niezwykle inteligentny, elokwentny, bardzo energiczny, o wysokim poziomie intelektualnym – scharakteryzował Kulskiego jeden ze współpracowników. – Na tematy polityczne lub społeczne bardzo powściągliwy w mowie. Obecny na uroczystościach, nie śpiewa *Międzynarodówki*. [...] Obecnie bezpartyjny, ale w bardzo umiejętny sposób zbiera wokół siebie byłych AK-owców”. Z czasem Kulski podupadł na zdrowiu, a pod koniec lat pięćdziesiątych przeszedł na emeryturę. Bezpieka przestała się nim interesować.

fg

Różne twarze Kościuszki

Tomasz Leszkowicz

Nowego panteonu tworzonego na potrzeby Polski Ludowej nie można było wypełnić samymi działaczami Międzynarodówki, Komunistycznej Partii Polski i Polskiej Partii Robotniczej. Komuniści musieli szukać postaci, które – niczym socrealizm – byłyby „narodowe w formie i socjalistyczne w treści”. Któż nadawał się do tego lepiej niż Naczelnik w sukmanie?



Fot. ze zbiorów Macieja Foksa

Gdy w 1983 roku pracownicy odpowiedzialnego za propagandę Wydziału Ideologicznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przygotowywali zestawienie „pomników zasłużonych Polaków”, czyli indywidualnych upamiętnień wybitnych postaci z historii (bez tablic czy rzeźb cmentarnych), jego wyniki były bardzo znaczące. Okazało się, że Mikołaja Kopernika i Fryderyka Chopina (po 13 pomników), komunistycznego generała Karola Świerczewskiego „Waltera” (14) i narodowego wieszcza Adama Mickiewicza (18) wyprzedzał właśnie Tadeusz Kościuszko, który w całej Polsce miał aż 35 monumentów. Większość z nich ustawiono najprawdopodobniej tuż po odzyskaniu niepodległości (jak pomnik wawelski czy ten na łódzkim pl. Wolności), a w PRL głównie rekonstruowano rzeźby niszczone w czasie wojny przez Niemców. Co nie mniej istotne, obok pomników w wielkich miastach odnaleźć można było Kościuszkę również w mniejszych miejscowościach.

Zestawienie przygotowane na potrzeby „Białego Domu” – jak nazywano siedzibę KC – pokazuje, jak mocno tradycja kościuszkowska była osadzona w polskiej pamięci. Insurekcja 1794 roku,

jako tragiczna próba powstrzymania upadku Rzeczypospolitej, była ważnym elementem opowieści o powstaniach przeciw zaborcom, które wciąż stanowią jeden z najważniejszych składników narracji o historii Polski czasu rozbioru. Kościuszko inspirował kolejnych bojowników o niepodległość, ale również młodzież wychowującą się w Polsce międzywojennej, która chętnie czciła tego bohatera i zryw, któremu przewodził. Warto dodać chociażby, że w 1938 roku na ekrany polskich kin wszedł film Józefa Lejtesa *Kościuszko pod Racławicami* z Tadeuszem Białoszczyńskim w roli tytułowej.

Patrioci pod czerwonym sztandarem

Roli Kościuszki w mitologii narodowej świadomi byli również komuniści, którzy w czasie II wojny światowej rozpoczęli marsz ku władzy. Środowisko to szybko zaczęło przyswajać sobie hasła narodowe, które próbowano wykorzystać do poprawy wizerunku własnej formacji, przede wszystkim do ukazania siebie jako wyraziciela interesów Polski w wojnie z Niemcami. W pierwszej odezwie propagandowej PPR, napisanej w ZSRR, znalazło się m.in. zdanie: „Jesteśmy krwią z krwi i kością z kości Pułaskiego, Kościuszki, Traugutta, Henryka i Jarosława Dąbrowskich, Ludwika Waryńskiego i innych sławnych bojowników o wolność narodu polskiego”. Oznaką nowego podejścia do spraw narodowych była również nazwa instytucji, która powstała jako

▶ Chociaż *Panoramę Racławicką* sprowadzono do Polski w 1946 roku, to została udostępniona publiczności dopiero w 1985; na zdjęciu: konserwacja malowidła, Wrocław, czerwiec 1984 roku

reprezentacja polskich komunistów w ZSRR po zerwaniu stosunków tego państwa z rządem RP na uchodźstwie: Związek Patriotów Polskich. W tej nowej ideologiczno-propagandowej odsłonie zaczęto ukazywać także Kościuszkę. Jego imieniem nazwano polskojęzyczną radiostację nadającą z Moskwy na teren okupowanego kraju (w ostatnich dniach lipca 1944 roku wzywającą mieszkańców Warszawy do rozpoczęcia powstania przeciw Niemcom), a Roman Werfel, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych jeden z głównych ideologów PPR i PZPR, poświęcił Naczelnikowi niewielką broszurę.

Najważniejszym punktem budowania nowej tradycji stało się jednak sformowanie przez komunistów w maju 1943 roku w Sielcach nad Oką 1. Dywizji Piechoty, której dowództwo objął płk Zygmunt Berling. Był to projekt w dużo większym stopniu polityczny niż wojskowy (co pokazała bitwa pod Lenino). ZPP chciał udowodnić, że wystawił własne oddziały do walki z Niemcami, jednocześnie zaś prezentowano berlingowców jako wojsko ściśle polskie. Sielce zamieniły się w oazę polskości, żołnierze nosili mundury przypominające przedwojenne oraz tzw. orzelki piastowskie (bez korony, wzorowane na wizerunku orła z nagrobka Władysława Hermana). Dywizja miała swojego kapełana, jej przysięga zaś odbyła się 15 lipca, w rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem. To właśnie podczas tej uroczystości wręczono dywizji sztandar, na którym znalazły się hasła „Honor i Ojczyzna” oraz „Za naszą i waszą wolność”, a także wizerunek Tadeusza Kościuszki. Wybranie go na patrona dywizji wchodzącej w skład wojska formowanego przez komunistów wydawało się oczywiste. Szukano przede wszystkim dowódcy i bohatera, postaci powszechnie znanej, która mogłaby jednoczyć, a nie dzielić. Prawdopodobnie trudniej byłoby znaleźć lepiej nadającą się do tego osobę, która jednocześnie spełniałaby minimalne warunki ideologiczne (Józef Piłsudski i inni bohaterowie II RP czy monarchowie byli z oczywistych względów zdyskwalifikowani na wstępie – za bardzo kłóciliby się



Fot. PAP / Jerzy Baranowski

► Popiersie Kościuszki zdobiło wnętrze Belwederu, zajmowanego przez komunistycznego prezydenta Bolesława Bierutą; Warszawa, 1946 rok

z komunistyczną wizją państwa). Warto przypomnieć, że do postaci Kościuszki nawiązywał wówczas również Dywizjon 303, rozstrawiony walkami nad Anglią.

Żołnierz demokrata

Tadeusz Kościuszko stał się pierwszym z bohaterów 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych i 1. Armii Wojska Polskiego. Wkrótce patronami kolejnych jednostek zostali: Jan Henryk Dąbrowski, Romuald Traugutt i Jan Kiliński (dywizje piechoty), Józef Bem (brygada artylerii) oraz Emilia Plater (batalion kobiecy). Reprezentowali oni z reguły polską tradycję powstańczą, w większości słabo kojarzyli się z lewicowością, wszyscy zaś walczyli „za naszą i waszą wolność”. Lucjan Szenwald, żołnierz, a także poeta i kronikarz Dywizji Kościuszkowskiej, w 1943 roku w wierszu *Józef Nadzieja pisze z Azji Środkowej* krzychał: „»Za wolność waszą i naszą« Polak/ Z giwem stał na szańcu bratnim/ I w sztandar go spowijano, gdy poległ/ I chowano go dzwonem armatnim./ Gdzie my teraz? Gdzie ci wędrowcy?/ Przed nami, jak tęcza, ich szabel blaski./ Gdzie Jarosław i Jan Dąbrowscy?/ Kościuszko? Bem? Kazimierz Pułaski?/ O, dajcie karabin! Sama się zmierza/ Do strzału ręka, krew uderza/ Do skroni, i serca pierś za wąska.../ Proszę przyjąć mnie na żołnierza/

Narodowego Polskiego Wojska!”. Jeszcze w ZSRR doszło do zawłaszczenia przez komunistów sporego kawałka polskiej historii, co miało służyć podkreśleniu, że „komunistyczne” równa się jak najbardziej „narodowemu”.

Podobnie jak całość propagandy komunistów w czasie wojny i tuż po niej, wizerunek Kościuszki dopasowywany był do narracji „demokratycznej” i „ludowej” (o socjalizmie mówiono wtedy niewiele, o komunizmie prawie wcale). W artykule opublikowanym w grudniu 1943 roku w „Żołnierzu Wolności”, gazetce 1. Dywizji, pisano m.in.: „Jesteśmy zaczątkiem nowej armii polskiej. Nie będzie ona terenem intryg politycznych, odskocznią dla politycznej kariery, narzędziem antyludowej polityki. Zwiążemy armię z narodem więzami uczuć gorących i mocnych. Demokracja w państwie znajdzie swój wyraz w armii. Nie będzie w niej starych przesądów, kastowości, monopolów. Do korpusu oficerskiego wejdą najlepsi synowie ludu bez względu na pochodzenie, majątek, wyznanie. Drogę do najwyższych szczytów będzie otwierał każdemu własny rzetelny wysiłek i wierna służba Ojczyźnie [...]. Nowa armia polska stać będzie czujnie na straży interesów ludu polskiego. Połączy ona najlepsze tradycje oręża polskiego z duchem postępu, który będzie w niej panować. Będzie ona tą armią, o której

marzył Tadeusz Kościuszko – będzie armią narodową”. Ludowa „armia nowego typu” miała dziedziczyć to, co najlepsze w historii polskiego wojska, a jednocześnie naprawiać jego wady. W 1946 roku marsz. Michał Rola-Żymierski na uroczystościach z okazji dwusetlecia urodzin Kościuszki w Krakowie przywoływał inną postać związaną z sylwetką Naczelnika – chłopca Wojciecha Bartosza, bohatera spod Racławic, awansowanego za te zasługi na stopień oficerski i uhonorowanego nazwiskiem Głowacki. „Z ducha Bartosza Głowackiego wyrosły dziś kadry nowych oficerów Odrodzonego Wojska Polskiego, dziesiątki tysięcy Bartoszków, synów chłopskich i robotniczych” – stwierdzał głównodowodzący Wojska Polskiego.

Rewolucjonista – obrońca chłopów

Wkrótce po zakończeniu wojny nastąpił drugi krok w budowaniu propagandowego wizerunku Kościuszki, polegający na jego głębokiej ideologizacji. Punkt kulminacyjny osiągnęła ona w stalinizmie. Wizja Naczelnika demokracji i wodza narodowego zrywu stawała się już niewystarczająca. Do opisu insurekcji należało wprowadzić dominującą perspektywę walki klas, z jej przywódcy zaś zrobić stuprocentowego rewolucjonistę.

Podkreślano przede wszystkim niedolę polskiej ludności wiejskiej, wyzyskiwanej przez szlachtę w warunkach pańszczyzny i gospodarki folwarcznej. Wizji tej przeciwstawiano ideały Kościuszki, który chciał wydanym przez siebie uniwersałem połanieckim wpłynąć na losy chłopstwa, poprowadzić je do walki za ojczyznę i tym samym włączyć w obręb narodowej wspólnoty. Czytelnik artykułu w „Trybunie Ludu”, zatytułowanego *Kościuszkowskie drogi* i napisanego w 1952 roku z okazji 135. rocznicy śmierci Naczelnika, mógł odnieść wrażenie, że do powstańczej walki stanęły w zasadzie tylko warstwy niższe: „Lecz ruch chłopski o charakterze masowym musiał się załamać, rozbiły przez egoizm i tchórzo-

stwo szlachty. Szlachta, poza drobną, małąrolną, nie tylko w swej przewadze zbojkotowała powstanie, ale przeprowadziła szeroko zakreśloną akcję sabotażu i czynnej walki z postępowymi zarządzeniami Kościuszki. Tragiczny los rodzin chłopskich żołnierzy Kościuszki, ściganych powinnościami pańszczyznianymi i prześladowanych na wszelki sposób, był jaskrawym przykładem klasowej walki i zdrady obszarników. Nacisk szlachty ostudził zapal patriotyczny chłopów. Mimo tego kosynierzy walczyli do ostatka w szeregach powstańców i obronę Warszawy, obok mas plebsu miejskiego, rzemieślników, służby pańskiej i ludzi luźnych, prowadzili też chłopcy”.

Drugim fundamentem szukania walki klas w powstaniu kościuszkowskim był opis insurekcji warszawskiej, przypominający wręcz rewolucję. Jego głównym bohaterem była oczywiście trzecia z wielkich postaci opowieści o powstaniu kościuszkowskim – Jan Kiliński (przypomnijmy, że on również został patronem jednej z pierwszych jednostek ludowego Wojska Polskiego). Analogicznie do opisów walki chłopów, na wydarzenia w stolicy też patrzono dwubiegunowo – proletariatu miejskiego i rzemieślników przeciwstawiano pasywnej burżuazji miejskiej.

Życiorys Kościuszki prezentowany w oficjalnym przekazie był wręcz idealnym przykładem biografii rewolucjonisty – odważnego, kompetentnego, czulego na

los słabszych i zaangażowanego ideowo. Chętnie podkreślano związki polskiego generała z francuskimi jakobinami, przede wszystkim zaś jego udział w rewolucji amerykańskiej – w końcu jedną z naczelnych powinności komunistycznego bohatera był internacjonalizm i walka „za naszą i waszą wolność”. Stalinowscy propagandyści mieli jednak pewien problem z tym wątkiem, gdyż lata pięćdziesiąte to okres najbardziej intensywnej walki z „imperializmem amerykańskim”,

posądzanym o wszelkie zło świata. W popularnej mini-biografii autorstwa Macieja Gruszczyńskiego, wydanej w 1953 roku przez Wydawnictwo MON, widać dobrze wahania autora co do sposobu przedstawiania amerykańskiego rozdziału życia Kościuszki. Oczywiście, podkreślił zapal rewolucyjny Naczelnika oraz jego wzorową służbę za Atlantykiem, jednocześnie jednak zauważył, że Waszyngton miał do niego chłodny stosunek, głównym problemem Amerykanów były zaś warstwy posiadające, niechętnie walce z Anglikami (porównał je wprost do polskiej Targowicy!). Pojawił się też dyżurny w tym czasie wątek ludności czarnoskórej: „Tu też, na południu, Kościuszko obserwuje niesłychany ucisk Murzynów dręczonych nadmierną pracą pod batem białych plantatorów. Ucisk ten przypomina mu pańszczyźnianą niewolę chłopca polskiego i Kościuszko przysięga sobie, że gdy po skończonej wojnie wróci do Ojczyzny, zrobi wszystko, by ulżyć chłopu w niedoli”.



Fot. ze zbiorów Macieja Foksa

► Kopiec Kościuszki w Krakowie posłużył za miejsce obchodów piątej rocznicy bitwy pod Lenino; październik 1948 roku



Fot. PAP

Kościusko byłby bohaterem idealnym, gdyby nie to, że walczył nie z tym państwem, co trzeba, a to można było wykorzystać przeciwko komunistom. Propaganda próbowała więc zmienić sens powstania. Przekonywano, że Naczelnik nie walczył z Rosjanami, lecz z reakcją – rodzimą (magnaci, Targowica) oraz obcą (carat). Powielano tu więc klisze wykorzystywane na przykład w charakterystyce Adama Mickiewicza, Powstania Styczniowego czy rewolucjonistów z przełomu XIX i XX wieku. „Nie mają prawa przywłaszczać sobie postaci Kościuszki wrogo wie ludu, przeciwnicy ludowej demokracji, usiłujący podkopać grunt pod gmachem państwa ludowego, który z takim trudem i maziem wznosimy. Kościusko był, jest i będzie zawsze sztandarem polskiej, ludowej demokracji, jest naszym historycznym sztandarem” – grzniał na wspomnianych już uroczystościach w 1946 roku marsz. Rola-Zymierski. W innym miejscu swojego przemówienia dodawał: „Myśmy podnieśli wysoko sztandar demokracji i postępu, który jest równocześnie sztandarem niepodległości i wielkości państwa polskiego. I jeżeli dane nam było osiągnąć zwycięstwo, to właśnie dlatego, że Kościuszkowską linię polityczno-społeczną, przedłużoną o wymiar 150 lat, potrafiliśmy zrealizować w całej pełni”.

Dyktator i mąż stanu

Tadeusz Kościusko był jednym z bohaterów PRL aż do 1989 roku: w 1967 roku w Krakowie zorganizowano wielkie obchody 150. rocznicy jego śmierci, w latach siedemdziesiątych zaś jego wizerunek trafił na banknot pięćsetzłotowy wyemitowany w serii „Wielcy Polacy”.

Na oficjalny kult Naczelnika cień kładła jednak sprawa monumentalnej *Panoramy Racławickiej*. Obraz Wojciecha Kossaka i Jana Styki przewieziono ze Lwowa do Wrocławia już w 1946 roku. Dwukrotnie (w 1947 i 1956 roku) powoływano komitet obywatelski postulujący ponowną ekspozycję malowidła. Władze jednak nie godziły się na rekonstrukcję *Panoramy*, bojąc się prawdopodobnie, że przedsięwzięcie zostanie przypisa-

na antyradziecka wymowa. Ponadstymetrowe płótno leżało więc w magazynie wrocławskiego Muzeum Śląskiego (później: Narodowego). O wahaniach i sporach wokół sprawy świadczy to, że w latach sześćdziesiątych wybudowano okrągły budynek z przeznaczeniem na ekspozycję panoramy, od 1967 roku stał on jednak pusty. W 1980 roku malowidło wywieziono do Warszawy. Sytuacja zmieniła się jednak po powstaniu Solidarności – nowy komitet obywatelski wymógł na władzy zgodę na odtworzenie *Panoramy*. Do decyzji tej dojrzała chyba nawet PZPR, gdyż postulat przywrócenia dzieła pojawił się w 1982 roku na Ogólnopolskiej Partyjnej Konferencji Ideologiczno-Teoretycznej. Ostatecznie



Fot. ze zbiorów Macieja Foksza

jednak wrocławski obiekt otwarto dopiero 14 czerwca 1985 roku, przy czym ani słowem nie wspomniano o prawie czterdziestoletnim okresie przymusowego zamknięcia tego tak ważnego dla polskiej kultury i tożsamości malowidła.

Lata osiemdziesiąte to znów okres świetności tradycji kościuszkowskiej w PRL. Rządy gen. Jaruzelskiego, podczas których wykorzystywano na każdym kroku zagrywki patriotyczne, chętnie odwoływały się do dziedzictwa roku 1794 (tym też pewnie należy m.in. tłumaczyć odtworzenie *Panoramy Racławickiej*). Co istotne, znowu dostosowywały je do swoich potrzeb, zgodnych z linią interpretacyjną stanu wojennego. Historyk z Wojskowej Akademii Politycznej pisał przy okazji otwarcia wrocławskiego obiektu: „Dla Kościuszki nadrzędnym celem było ratowanie państwowości polskiej – stąd wynikała konieczność kompromisów.

Łączenie racji różnych klas w interesie narodowym, utożsamianym z interesem państwowym, skupienie wokół idei państwowości różnych sił, nie było i nie jest sztuką łatwą. T. Kościusko nie pierwszy i nie ostatni doznał w tych próbach niepowodzeń i rozczarowań”. Zamiast walki klas – idea porozumienia narodowego. Inny publicysta podkreślał natomiast, że Kościusko zdecydował się dla dobra państwa wprowadzić dyktaturę. Podtekst propagandowy był wyraźny: podobnie postąpił gen. Jaruzelski 13 grudnia 1981 roku.

Parafrazując znane powiedzenie, można by rzec, że każda władza nagina historię do swoich potrzeb, władza absolutna nagina ją jednak w sposób absolutny. Stosunek polskich komunistów do postaci Tadeusza Kościuszki jest dobrym tego przykładem.

Konsekwentnie, krok po kroku, zawłaszczali oni postać dobrze zakorzenioną w polskiej pamięci zbiorowej, dopasowując przekaz z nią związany do aktualnych potrzeb – pokazywania własnego patriotyzmu, szukanania własnych tradycji czy udowadniania istnienia odwiecznej walki klas. Można zapytać, w jakim stopniu udało im się stworzyć wrażenie, że naczelnik insurekcji był polskim protokomunistą. Pamięć płata jednak różne figle i bardzo możliwe, że społeczeństwo z oficjalnego PRL-owskiego wizerunku wioda przyswoiło sobie to, co uważało za stosowne – jego bohaterstwo i patriotyzm, nie zaś walkę z reakcją.

A o tym, jak bardzo absurdalne mogło być odwoływanie się władz do postaci sprzed prawie dwóch wieków, świadczyć może epizod z okresu stanu wojennego. Po ogłoszeniu przez prezydenta USA Ronalda Reagana embargo na handel z Polską (obejmującego m.in. zakup pasz), na afiszu propagandowym na Dolnym Śląsku pojawiło się hasło: „Myśmy dali im Kościuszkę, oni odebrali nam kukurydzę”.

Tomasz Leszkowicz – historyk, dziennikarz, redaktor portalu Histmag.org

Osaczony

Jakub Gołębiewski

Trzydzieści lat temu, 19 października 1984 roku, został porwany ks. Jerzy Popiełuszko, duszpasterz ludzi pracy, organizator mszy za ojczyznę, jeden z kapelanów Solidarności. Przez ostatnie dwa lata pracy w kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu musiał się zmagać z osaczającą go Służbą Bezpieczeństwa.

Odnaleziona w Sądzie Okręgowym w Warszawie i przekazana do Instytutu Pamięci Narodowej teczka sprawy operacyjnego rozpracowania (SOR) o kryptonimie „Popiel” jest jednym z niewielu zachowanych materialnych dowodów inwigilacji ks. Jerzego Popiełuszki przez Służbę Bezpieczeństwa. Bardzo wyraźnie pokazuje ona to, w jaki sposób komuniści postrzegali działalność żoliborskiego kapłana. Widzieli oni w ks. Jerzym nie zaangażowanego w sprawy publiczne i pomagającego potrzebującym duszpasterza, lecz politykiera podburzającego ludzi do zmiany ustroju.

Pierwszym dokumentem zawartym w teczkę jest wniosek z 26 lipca 1982 roku o rozpoczęcie operacji przeciwko ks. Popiełuszcze, w którym oprócz danych figuranta, czyli osoby rozpracowywanej – Jerzego Popiełuszki – jego adresu, zajmowanego stanowiska i informacji dotyczących jego rodziny, umieszczono także powody, dla których SB rozpoczęła inwigilację, oraz cele, które zamierzano przez to osiągnąć. Jak zapisano, powodem zainteresowania ks. Popiełuszką było utrzymywanie przez niego kontaktów z działaczami NSZZ „Solidarność”, a także to, że „wykorzystując kościelną akcję charytatywną dotyczącą rozdawania lekarstw otrzymywanych z zagranicy, prowadzi

działalność antysocjalistyczną”. Celem nękania ks. Popiełuszki było doprowadzenie do przerwania jego współpracy „z organizacjami i środowiskami wrogo nastawionymi do ustroju PRL”, a także neutralizacja jego „wrogiej działalności w środowiskach kleru i osób z najbliższego otoczenia”. Oficer, który wypełniał wniosek, zaznaczył, że ks. Jerzy Popiełuszko prowadzi również nabożeństwa z udziałem aktorów scen warszawskich „poświęcone różnym rocznicom”, nadając im „wydźwięk polityczny”. Były to słynne msze za ojczyznę.

Msze za ojczyznę

27 lipca 1982 roku do Urzędu do Spraw Wyznań (instytucji stworzonej w 1950 roku po to, by utrudniała Kościołowi życie) wpłynęło pismo Józefa Paliwody, mieszkańca Warszawy, w którym donosił, że w parafii św. Stanisława Kostki na Żoliborzu dwa dni wcześniej podczas mszy miały miejsce „występy artystycz-

ne o wybitnie antypaństwowym i antysocjalistycznym charakterze”. Autor donosu pisał, że „produkujący się” w kościele św. Stanisława Kostki artyści „specjalnie spreparowanymi tekstami pieśni i zmodyfikowanymi deklamacjami znanych utworów siali nienawiść do władzy ludowej i podburzali do wrogich przeciw niej wystąpień”. Msza miała się odbyć w odpowiednio przygotowanej, antykomunistycznej scenerii: wystawione flagi państwowe były okryte kirem, na honorowym miejscu „błyszczał” orzeł z koroną. Wszystko to, zdaniem obywatela Paliwody, miało wydźwięk „na wskroś poniżający ustrój Polski Ludowej”.

W rzeczywistości msze św. odprawiane przez ks. Popiełuszkę były nie tylko okazją do modlitwy za Polskę. Stawały się oazą wolności w zniewolonym kraju. „Odczułem, że jestem w innym świecie, że to nie jest kraj straszliwego stanu wojennego” – wspominał ks. Jan Sikorski, również związany z Solidarnością. ➤

Pierwszą mszę za ojczyznę w kościele św. Stanisława Kostki odprawił proboszcz parafii, ks. Teofil Bogucki, 22 lutego 1981 roku. Ksiądz Jerzy Popiełuszko przejął ich odprawianie w czasie stanu wojennego.

SB w akcji

Pierwszą mszę w intencji ofiar stanu wojennego ks. Popiełuszko odprawił 17 stycznia 1982 roku. O jej oprawę artystyczną zadbał aktorzy: Danuta Szaflarska, Damian Damięcki, Andrzej Fedorowicz, Andrzej Zaorski, Maja Komorowska, Marian Opania, Daniel Olbrychski i Zofia Mrozowska. Tydzień później, 23 stycznia, warszawski biskup pomocniczy Jerzy Modzelewski został wezwany na rozmowę z prezydentem Warszawy Jerzym Majewskim i dyrektorem Wydziału ds. Wyznań Jerzym Śliwińskim. Podczas spotkania przedstawiono zarzuty wobec ks. Popiełuszki – opisano jako niepokojące władze fakty z działalności „niektórych jednostek kościelnych i poszczególnych księży”. Księdzu Popiełuszcze zarzucano, że msza św. odprawiona 17 stycznia została przez

niego wyreżyserowana, jak to określono, „w celu uzyskania nastroju niezwykłości, grozy, poczucia krzywdy”, a także „atmosfery wrogiej wobec władz”. Skrupulatnie wyliczono aktorów, którzy wzięli udział w nabożeństwie i recytowali przygotowane utwory. Władze dokładnie znały przebieg mszy dzięki obserwacji prowadzonej przez SB. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa nagrywali mszę, w notatkach i informacjach opisywali zachowania uczestników. Fakt, że już 23 stycznia w rozmowie z biskupem Modzelewskim wykorzystano informacje pochodzące z inwigilacji prowadzonej w kościele św. Stanisława Kostki, świadczy także o tym, że od samego początku odprawiania przez ks. Jerzego mszy za ojczyznę SB prowadziła ich obserwację – nawet przed formalnym rozpoczęciem sprawy o kryptonimie „Popiel”.

Dwie godziny wolnej Polski, o których mówił ks. Sikorski, dla władz starających się utrzymać społeczeństwo w przekonaniu, że przeciwstawienie się porządkom panującym po 13 grudnia jest nierealne i skazane na porażkę, były dużym zagrożeniem. Kiedy 29 sierpnia 1982 roku w kościele św. Stanisława Kostki miało dojść do kolejnej już mszy za ojczyznę, bezpieka wezwła wcześniej na rozmowy (tzw. rozmowy ostrzegawcze) artystów, którzy mieli współtworzyć oprawę mszy świętej. Według zachowanej w tecze kryptonim „Popiel” informacji SB, Katarzyna Łaniewska, Kazimierz Kaczor, Bronisław Pawlik i Piotr Szczepanik mimo próby zastraszenia oświadczyli, że nie zrezygnują z udziału we mszy. Na jej zakończenie wszy-

scy przedstawili przygotowane wcześniej przez ks. Popiełuszkę modlitwy i poezję.

SB uważnie obserwowała uczestników mszy świętej i jej przebieg; 29 sierpnia odnotowano udział ok. 5 tys. osób. Szczególne zainteresowanie bezpieki wzbudziła dekoracja kościoła transparentami Solidarności i flagami narodowymi – w ten sposób upamiętniono drugą rocznicę podpisania porozumień gdańskich, 31 sierpnia 1980 roku. W dokumentach SB odnotowano również, że centralnym elementem wystroju kościoła był plakat przedstawiający chłopca w koszulce Solidarności z napisem „Mam już dwa lata”. W homilii ks. Popiełuszko wykorzystał fragmenty wystąpień i kazań prymasa Stefana Wyszyńskiego, papieża Jana Pawła II i prymasa Józefa Glempa. Mówił, że władza powinna być służbą, co zostało odczytane jako jednoznaczna aluzja do sytuacji w kraju. Zaznaczył, że w Polsce potrzebne jest poszanowanie praw i godności ludzi. Podkreślił, że mimo stanu wojennego „naród ciągle jeszcze gotowy jest do ofiarnej pracy dla dobra swojej ojczyzny”. Charakterystyczne było przeciwstawienie narodu, który dąży do wolności i jest odpowiedzialny za ojczyznę – władzy komunistycznej, która nie jest władzą sprawiedliwą, nie wprowadza pokoju i tę samą ojczyznę zniewala. Naród, jak powiedział ks. Jerzy, nie może „żyć jak w zorganizowanym więzieniu”. Popiełuszko nawiązał również do brutalnej pacyfikacji buntu internowanych w zakładzie karnym w Kwidzynie. Znamienne były odczytane w czasie mszy intencje modlitw – za więzionych, za internowanych i ich rodziny, ukrywających się oraz za aktorów w związku z prowadzonym przez środowisko bojkotem państwowych mediów. Ksiądz Popiełuszko apelował na

KWESTIONARIUSZ
osoby rozpracowywanej - sprawdzanej

1. Nazwisko i imię: **POPIELUSZKO Jerzy**

2. Imiona rodziców i nazwisko panieńskie matki: **Władysław i Maria Gładyszko**

3. Data urodzenia: **25.IV.1947r.** i Miejsce urodzenia: **Osopy**

4. Narodowość: **polska** 5. Obywatelstwo: **polskie**

7. Rysunek wizerunku: **czarna i biała** 8. Włosy: **ciemne** 9. Zawód: **wykonujący księży**

10. Wykształcenie: **średnie** 11. Stan: **wypisany**

12. Nr dowodu osobistego i przez kogo wydany: **Wydano w Wydziale ds. Wyznań**

13. Miejsce pracy, najdłuższe stażowo: **par. w Ząbkach**

14. Poprzednie miejsca pracy i zajmowane stanowiska:

Lp.	Czasokres pracy	Nazwa stacji pracy	Stanowisko
1.	1965 - 1972	par. w Ząbkach	wikariusz
2.	1972 - 1976	par. w Aninie	wikariusz
3.	1976 - 1980	par. Ps. Jesus	wikariusz
4.	1980 -	par. St. Kostki	wikariusz

„Zawód wyuczony – duchowny, wykonywany – ksiądz” – opis ks. Jerzego w kwestionariuszu osoby rozpracowywanej przez SB

zakończenie do zebranych, by rozeszli się w spokoju i unikali prowokacji ze strony milicji. Jak wspomina w jednym z wywiadów Katarzyna Soborak, wówczas uczestniczka mszy za ojczyznę, dziś kierowniczka Ośrodka Dokumentacji Życia i Kultu Błogosławionego Jerzego Popiełuszki, ks. Jerzy na zakończenie każdej mszy zwracał się do wszystkich z prośbą o niepodnoszenie ulotek i niewznoszenie haseł antykomunistycznych. To dlatego, że po mszach za ojczyznę milicja i SB zatrzymywały, a czasami były uczestników nabożeństwa.

Reakcja władz na słowa ks. Popiełuszki z 29 sierpnia przyszła bardzo szybko – już następnego dnia minister Adam Łopata, kierownik Urzędu do Spraw Wyznań, wysłał list do abp. Bronisława Dąbrowskiego, sekretarza episkopatu Polski. Łopata twierdził, że zgromadzenie religijne przekształciło się z winy ks. Popiełuszki w manifestację polityczną „niosącą zagrożenie dla ładu, bezpieczeństwa i porządku”. Nie do przyjęcia dla komunistów były zwłaszcza te fragmenty kazania ks. Popiełuszki, w których wskazywał on na niesprawiedliwość rządzących i wzywał do poszanowania przez nich prawa. W liście Urzędu do Spraw Wyznań do kurii warszawskiej cytowano wypowiedź ks. Popiełuszki: „Staliśmy się świadkami działania państw tyrańskich, gdzie mowa do obywatela wyraża się w tonie prokuratorsko-policyjnym”. Księdzu zarzucano także, że wciąż odwołuje się do Solidarności, zdelegalizowanej 13 grudnia 1981 roku. Jak podkreślono, ks. Popiełuszko użył w czasie kazania słów: „była, jest, będzie i zwycięży Solidarność”. Dla władz msze za ojczyznę były „starannie wyreżyserowanymi spektaklami”, podczas których „manipuluje się uczuciami wiernych, wywołując nastroj grozy i niepotrzebnego podniecenia”.

Naciski na Kościół

Początkowo komuniści stosowali wobec ks. Popiełuszki taktykę oczerniania go przed przełożonymi – przedstawiali zarzuty, przysyłając biskupom kolejne pisma i żądania. Takich listów w teczce SOR „Popiel” jest aż siedem. Stronie kościelnej postawiono w ten sposób ul-



Fot. BStU

► Ksiądz Jerzy Popiełuszko był nieformalnym kapłanem Solidarności, po beatyfikacji w 2010 roku został uznany za jej patrona; na zdjęciu: ks. Popiełuszko z Lechem Wałęsą, Gdańsk, 1983 rok

timatum: albo Kościół „spowoduje za-przestanie działalności” ks. Popiełuszki i innych duchownych „przyczyniających się do pogłębienia napięć społecznych”, albo będzie w przyszłości współodpowiedzialny „za możliwe następstwa zakłóceń porządku i bezpieczeństwa publicznego”. Komuniści straszili przedstawicieli Kościoła użyciem siły wobec uczestniczących w mszach za ojczyznę – duchowni byłiby współodpowiedzialni za metody represji stosowane przez państwo, również za szykanowanie wiernych, bicie wychodzących z kościoła, zatrzymania. Władze kościelne nie uległy jednak żądaniom „zdyscyplinowania” ks. Popiełuszki.

Jesienią 1982 roku sytuacja wokół ks. Jerzego Popiełuszki stawała się coraz bardziej napięta. Władze zmieniły taktykę wobec księdza – zaczęto formułować groźby pociągnięcia go do odpowiedzialności karnej za organizowanie mszy za ojczyznę i „nielegalną działalność”. Powoływano się na dekret o wprowadzeniu stanu wojennego. 11 listopada 1982 roku ks. Zdzisław Król, kanclerz kurii warszawskiej, ostrzegł ks. Jerzego, że władze mają zamiar go internować. Wiadomość ta miała pochodzić od bp. Jerzego Dąbrowskiego, zastępcy sekretarza episkopatu Polski, zaangażowanego w rozmowy z władzami komunistycznymi. Bezpieka uaktywniła tymczasem agencję wokół ks. Popiełuszki, nie tylko

po to, aby go lepiej kontrolować, lecz także po to, by zdyskredytować go wśród duchowieństwa. W ten sposób działał tajny współpracownik „Jankowski”, duchowny, który Służbie Bezpieczeństwa donosił o przebiegu mszy za ojczyznę, a prymasowi Glempowi – zgodnie z poleceniem SB – przedstawiał ks. Popiełuszkę w złym świetle. Mnożyły się szykany wobec księdza i osób z jego otoczenia: milicja w Suchowoli wezwwała na przesłuchania braci ks. Jerzego, w grudniu zaś „nieznani sprawcy” pomalowali na białego jego samochód, a do mieszkania wrzucili cegłę z materiałem wybuchowym. Informację o groźbie aresztowania przekazał Popiełuszcze również bp Władysław Miziołek. Wśród dokumentów zgromadzonych w teczce SOR „Popiel” brak oczywiście wzmianki o podobnych incydentach.

Oskarżony Popiełuszko

Skoro ani naciski na zwierzchników kościelnych, ani próby zdyscyplinowania niepokornego księdza z żoliborskiej parafii przez działania „nieznanych sprawców” nie odniosły zamierzonego przez władze skutku, jesienią 1983 roku zdecydowano się wszcząć przeciwko ks. Popiełuszcze postępowanie karne. Z formalnym rozpoczęciem śledztwa zwlekano zapewne ze względu na pielgrzymkę papieża do Polski (czerwiec 1983) – aby nie





► Patriotyczny wydzwitek odprawianych przez ks. Jerzego mszy za ojczyznę rozwścieczył władze komunistyczne; na zdjęciu: liturgia z 25 września 1983 roku

Fot. AIPN

prowokować opinii publicznej. Ksiądz Popiełuszko, który przez cały rok 1983 odprawiał msze za ojczyznę, według SB nadal „nadużywał praktyk religijnych do wystąpień antypaństwowych”, a „jego wypowiedzi wyczerpywały znamiona przestępstwa z art. 194 kk”. Według tego artykułu, „kto przy wykonywaniu obrzędów lub innych funkcji religijnych nadużywa wolności sumienia i wyznania na szkodę interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, podlega karze pozbawienia wolności od roku do 10 lat”. Przepis ten był właściwie zaprzeczeniem wolności

religijnej w PRL i stosowano go jedynie w postępowaniu karnym przeciwko ludziom Kościoła. Kazania ks. Jerzego poddano analizie w Głównym Urzędzie Kontroli Publikacji i Widowisk. W opinii cenzorskiej uznano, że wypowiedzi ks. Popiełuszki są „zagrożeniem dla ładu i bezpieczeństwa publicznego”. 22 września 1983 roku prokurator Anna Jackowska z Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie, znana z oskarżania w procesach politycznych, formalnie wszczęła śledztwo przeciwko ks. Jerzemu. Prowadzenie śledztwa zlecono Wydziałowi Śledczemu Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych – specjalnej jednostce, której zadaniem było przygotowywanie postępowań karnych w sprawach politycznych przeciwko działaczom opozycji. SB nagrała na taśmach magnetofonowych m.in. siedemnaście kazań wygłoszonych przez ks. Popiełuszkę – od 29 sierpnia 1982 roku do 11 października 1983 roku.

2 grudnia 1983 roku na plebanii kościoła św. Stanisława Kostki pojawiło się aż dwunastu funkcjonariuszy bezpieki, aby wręczyć ks. Popiełuszcze wezwanie do prokuratury. Ksiądz Jerzy nie przyjął go – w ten sposób nie zgodził się z postawionymi mu zarzutami. Był to znany w środowisku opozycji sposób obrony przed niesprawiedliwymi działaniami prokuratury. Oficerowie SB próbowali wdrzeć się siłą do mieszkania księdza, jednak dzięki pomocy zgromadzonych ludzi, którzy bronili wstępu na plebanie, nie udało im się doręczyć wezwania. Ksiądz Jerzy stawiał się w prokuraturze dopiero 12 grudnia (ostatecznie wezwanie przekazał mu abp Bronisław Dąbrowski). Popiełuszcze przedstawiono wówczas zarzut nagminnego nadużywania wolności sumienia. Według prokuratury, duchowny miał także „nadużywać miejsca kultu religijnego i funkcji kapłana do kształtowa-

nia u osób wierzących postaw wrogich organom władzy państwowej, podrywania jej wiarygodności i autorytetu”, ponadto „pomawiał” władze państwowe, że pozbawiają społeczeństwo swobody myśli i działania. Po wielogodzinnym przesłuchaniu ks. Jerzy został przewieziony na przeszukanie jego prywatnego mieszkania przy ul. Chłodnej 15 w Warszawie. Przeszukanie to było prowokacją SB, zainscenizowaną po to, by skompromitować ks. Popiełuszkę przed przełożonymi i uzyskać pretekst do zatrzymania go w więzieniu. „Na rewizję jechałem spokojny, bo nie miałem tam nawet ulotki sprzed stanu wojennego” – zanotował ksiądz w prywatnych zapiskach. „Jakim było zaskoczeniem, gdy jeden z czterech oficerów śledczych w obecności prokuratora, Waldka [Waldemara Chrostowskiego – przyjaciela i kierowcy ks. Jerzego] i mojej przez 3 minuty nawycinał stos obciążających materiałów”. Według relacji księdza, funkcjonariusz SB znalazł ponad 15 tys. egzemplarzy nielegalnych pism, a także naboje i materiały wybuchowe. „Przyjąłem to spokojnie. [...] Do protokołu [...] dałem adnotację: »Zwracam uwagę na fakt, że jeden oficer po wejściu do mieszkania kierował kroki bezpośrednio w miejsca, z których wyciągał obciążające mnie materiały, jakby wiedział, że one tam są«” – zapisał ks. Popiełuszko. Wszystkie materiały dowodowe zostały wcześniej podrzucone do mieszkania księdza przez bezpiekę. Po przeszukaniu postawiono mu zarzuty dużo cięższe niż dotychczas: o przechowywanie amunicji i materiałów wybuchowych oraz nielegalnych wydawnictw. Ksiądz Jerzy został zatrzymany w areszcie w pałacu Mostowskich na dobie; zwolniono go w wyniku presji ze strony władz kościelnych. Na pytanie filozofa Klemensa Szaniawskiego, jak przeżył pobyt w więzieniu, odpowie-



Fot. AIPN

dział z radością: „Wyspowiadałem czterech morderców”.

Fizycznie dokuczyć

Jednym z funkcjonariuszy SB biorących udział w prowokacji w mieszkaniu przy ul. Chłodnej był Leszek Pękala, który 19 października 1984 roku razem z Grzegorzem Piotrowskim i Waldemarem Chmielewskim uczestniczył w porwaniu i zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki. W złożonych w śledztwie wyjaśnieniach trzech sprawcy utrzymywali, że celem ich działań przeciwko księdzu nie była chęć zabójstwa, lecz „mocnego, fizycznego dokuczenia mu”. Grzegorz Piotrowski tłumaczył się, że chciał jedynie zastraszyć niepokornego duchownego. W rzeczywistości w użytym wyrażeniu „fizyczne dokuczenie” kryły się prawdziwe działania trzech sprawców: okrutne bicie, znęcanie się i ostatecznie zabójstwo. W czasie prowadzonego śledztwa wyszło na jaw, że sprawcy działali z premedytacją i że ich zamiarem było nie tylko torturowanie księdza i jego zastraszanie, lecz także pozbawienie go życia. Dowodziły tego fragmenty wyjaśnień, w których oskarżeni przyznali, że do porwania szykowali się bardzo starannie: przygotowali pałki wykorzystane później do bicia i worki z kamieniami, które przywiązali do nóg księdza, oraz poszukiwali miejsca, w którym można by porzucić ks. Popiełuszkę, tak by nie został odnaleziony. Dodatkowym dowodem była przeprowadzona przez oskarżonych 13 października 1984 roku próba zamachu na ks. Jerzego wracającego samochodem z Gdańska do Warszawy – Grzegorz Piotrowski rzucił kamieniem w jadący samochód i w ten sposób chciał spowodować wypadek. Zamach nie udał się tylko dlatego, że Piotrowski chybił.

W śledztwie ustalono, że działania przeciwko ks. Jerzemu Popiełuszcze były prowadzone za wiedzą zwierzchnika oskarżonych, Adama Pietruszki. Zabójcy nie działali sami; próba zamachu nie była jedynym wystąpieniem przeciwko ks. Jerzemu podjętym przez funkcjonariuszy Departamentu IV MSW – jednostki odpowiedzialnej za walkę z Kościo-



Fot. AIPN

► Chociaż wnętrze kościoła św. Stanisława Kostki jest spore, to uczestników mszy za ojczyznę było tak wielu, że duża ich część musiała stać na dziedzińcu; na zdjęciu liturgia z sierpnia 1984 roku

łem. Na zebraniach w MSW podnoszono problem „całkowitej bezkarności” księdza Popiełuszki. Piotrowski mówił w czasie śledztwa, że pomysł porwania powstał z powodu bezsilności organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości, które nie mogły sobie poradzić z niewygodnym duchownym. Wyjaśnił również, że koncepcja „fizycznego dokuczenia” księdzu Popiełuszcze pojawiła się już w czasie narad kierownictwa Departamentu IV MSW. W czasie jednej z nich jeden z oficerów zobowiązał się przedstawić konkretny plan działań wobec księdza Popiełuszki – wówczas Adam Pietruszka stwierdził: „nie planować, ale działać”; miał również mówić, że ksiądz „może wypaść z pociągu”. Te słowa odczytano jako zachętę do prześladowania ks. Jerzego.

W teczce SOR „Popiel” brakuje dokumentów, które powinny znajdować się w teczkach spraw tego typu – planów śledzenia księdza, nękania go, materiałów pochodzących z podsłuchu założonego w jego mieszkaniu itp. W teczce SOR „Popiel”, oprócz wspomnianych pism kierowanych do dostojników kościelnych, zachowały się jedynie nieliczne materiały

archiwalne MSW. Jest to zaledwie kilka notatek SB dotyczących wystąpień ks. Popiełuszki, spisanych przez funkcjonariuszy Wydziału IV Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Teczka, w której powinny zachować się dowody osaczania księdza Jerzego, wygląda, jakby została wyczyszczona ze wszystkich śladów działalności bezpieki skierowanej przeciwko niemu. W teczce znajdują się jednak protokoły brakowania (czyli niszczenia) materiałów archiwalnych. Wynika z nich, że w sierpniu 1989 roku, tuż przed utratą władzy przez komunistów, wiele dokumentów zostało komisyjnie zniszczonych przez funkcjonariuszy SB. Zlikwidowano wówczas ponad pięćset dokumentów dotyczących najprawdopodobniej działań wymierzonych w ks. Jerzego Popiełuszkę. W ten sposób przepadły dowody zbrodniczych poczynań bezpieki. We wniosku o zakończenie sprawy o kryptonimie „Popiel” zapisano: „19 października 1984 roku figurant sprawy zginął w tragicznych okolicznościach”.

Jakub Gołębiowski – redaktor miesięcznika „Pamięć.pl”, redaktor zbioru dokumentów *Aparat represji wobec ks. Jerzego Popiełuszki. Tom II*

Męczyzna z tatuażem

Magdalena Dźwigał, Filip Gańczak

Co najmniej 138 osób zginęło w czasie zimnej wojny w strefie granicznej wokół muru berlińskiego. Na liście ofiar jest młody Polak Franciszek Piesik.

Wzrost średni, oczy niebieskie, włosy ciemne, zaczesane do góry, kręcone. Twarz szczupła. Znaki szczególne – na lewej ręce na przedramieniu miał wytatuowany wizerunek długowłosej dziewczyny”. Tak zapamiętała Franciszka Piesika osiemnastoletnia Maria Słowik. Była jedną z ostatnich osób, które miały z nim kontakt. W jej domu spędził przedostatnią noc przed ucieczką z Polski.

Gen ryzyka

Mur, którym w 1961 roku komunistyczna Niemiecka Republika Demokratyczna odgrodziła swoich obywateli od Berlina Zachodniego, nie wszędzie miał formę ceglanej lub betonowej ściany. Granica biegła bowiem częściowo wzdłuż kanałów, rzek i jezior. Także i te odcinki patrolowali wschodnioniemieccy pogranicznicy z bronią gotową do strzału. Każda próba przedostania się z NRD do wolnego świata była więc ogromnie ryzykowna. W styczniu 1967 roku podczas ucieczki przez kanał Teltow utonął trzydziestosiemioletni Max Sahmland, trafiony przez wschodnioniemieckich żoł-



Fot. Filip Gańczak

nierzy kilkoma kulami. Zaledwie parę miesięcy później podobną próbę podjął śmiałek z Polski.

Franciszek Piesik, rocznik 1942, dobrze znał specyfikę strefy nadgranicznej i od dziecka był związany z wodą. Wychował się w wielodzietnej rodzinie w Widuchowej nad Odrą. Na początku lat sześćdziesiątych pływał na barkach żeglugi śródlądowej. Pracował też m.in. na pogłębiarce i przy spławie drzewa. Z czasem zamieszkał w Bydgoszczy, ożenił się i miał córkę.

Nie brakowało mu uroku osobistego, a także pewności siebie i skłonności do podejmowania ryzyka. Dwukrotnie był skazywany na więzienie – najpierw za samodzielne oddalenie się z jednostki

wojskowej, a później za włamanie do baru. Mogło się jednak wydawać, że ułoży sobie życie. Po powtórным wyjściu na wolność podjął pracę jako spawacz i lakiernik w Bydgoskich Zakładach Metalowych Przemysłu Terenowego.

30 września 1967 roku wyjechał z Bydgoszczy autobusem PKS. Żonę Elżbietę powiedział, że chce odwiedzić chorą matkę w Widuchowej. W rodzinnym domu zabawił jednak krótko. 2 października zgłosił się do Inspektoratu PGR Gryfino, pokazując podrobione świadectwo ukończenia czwartej klasy technikum rolniczego. Na tej podstawie został skierowany do pracy w Państwowym Gospodarstwie Rolnym Żarczyn. Półtora tygodnia później stawiał się w Inspektoracie PGR w Dębnie – i w podobny sposób został oddelegowany do gospodarstwa Golice.

W czasie krótkiego pobytu w pegeerach Piesik odwiedzał braci Leona i Ryszarda, pracujących na pogłębiarce „Neptun” w Bielinku nad Odrą – rzeką wyznaczającą granicę Polski z ówczesną NRD. Pracownikom pogłębiarki przedstawiał się jako inspektor kontrolujący pegeery.

Trudno powiedzieć, czemu służyły te jego działania. Być może szukał dogodnego miejsca do przeprowadzenia się przez Odrę. A może – z góry zakładając, że na drugą stronę rzeki przepłynie z Bielinka – potrzebował jedynie czasu, by zjednać sobie załogę pogłębiarki.

► W Miejscu Pamięci Muru Berlińskiego w stolicy Niemiec znajdziemy portrety ofiar podziału miasta, w tym Franciszka Piesika



Fot. Filip Gańczak

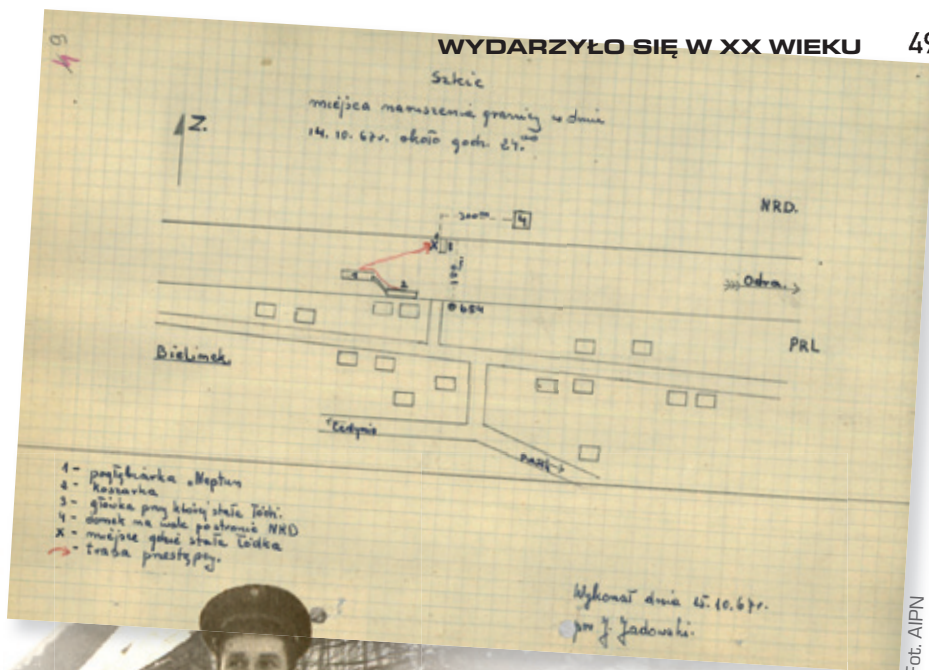
Każdy, kto przybył do strefy nadgranicznej, był zobowiązany do zameldowania się w ciągu 24 godzin. Piesik zignorował ten przepis. Nikt też nie doniósł pogranicznikom o jego pobycie, choć miejscowa ludność miała obowiązek informować ich o pojawieniu się obcych osób. Najwyraźniej Piesika nie potraktowano jako potencjalnego uciekiniera, zwłaszcza że kilka lat wcześniej sam pracował w Bielinku.

Łódź z „Neptuna”

W sobotni wieczór 14 października Franciszek Piesik znów bawił na pogłębiarce „Neptun” i połączonej z nią rurociągiem koszarce „Matylda”. Tam, razem z kilkoma pracownikami, wziął udział w imprezie zakrapianej alkoholem. Braci Piesika już nie było, bo – jak zwykle w sobotnie popołudnie – odjechali pekaesem do rodzinnej Widuchowej.

Krótko przed północą Piesik razem z jednym z robotników – Janem Bednarkiem – podpłynął łodzią na pogłębiarkę „Neptun”, żeby napić się wody sodowej. Bednarek wrócił na koszarkę rurociągiem, który w godzinach pracy służył do wyprowadzania urobku. Piesik oznajmił, że zostanie na noc na pogłębiarce.

Gdy wkrótce na „Neptunie” pojawił się inny pracownik, nie było tam już ani Piesika, ani łodzi. Poszukiwania na polskim brzegu Odry okazały się bezskuteczne. Piesika nie było też u rodziny Słowików w Bielinku, gdzie spędził poprzednią noc. Pracownicy pogłębiarki uznali, że mógł się utopić, a łódź być może sama odpłynęła z prądem rzeki. Nie udało się jednak znaleźć sołtysa ani żołnierzy Wojsk Ochrony Pogranicza. Postanowiono więc poczekać do rana.



Fot. ze zbiorów rodziny

Z nastaniem świtu okazało się, że łódź znajduje się na drugim brzegu – po stronie ęnerdowskiej. Dlaczego Piesik przycumował ją tam, sprowadzając tym samym na siebie podejrzenie ucieczki

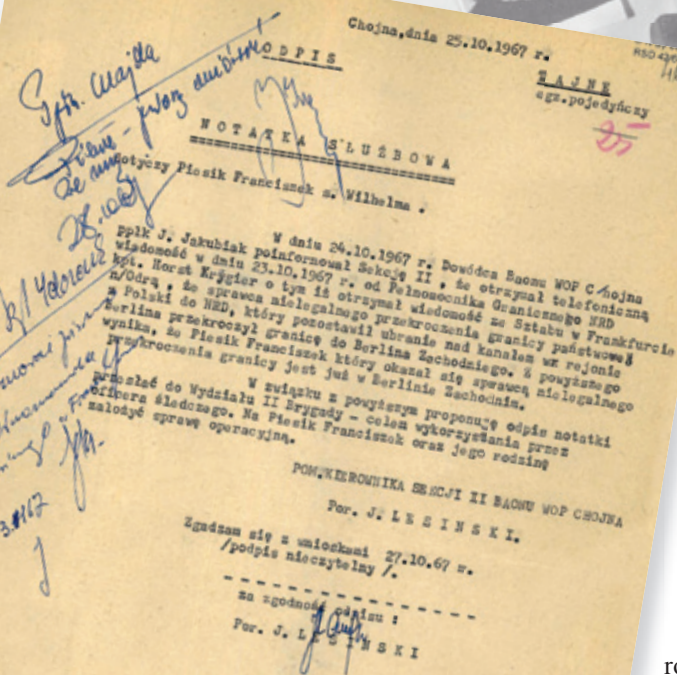
z kraju? Na to pytanie trudno dziś odpowiedzieć. Być może chciał w ten sposób pozostawić sobie otwartą furtkę, by – w razie niesprzyjających okoliczności po niemieckiej stronie – móc bezpiecznie powrócić na pogłębiarkę jeszcze pod osłoną nocy. To jednak podsunęło trop zaalarmowanym służbom.

Rankiem 15 października sołtys Roman Ignar zawiadomił batalion Wojsk Ochrony Pogranicza w pobliskiej Chojnie. Jeszcze tego samego dnia pracownicy pogłębiarki i Maria Słowik zostali przesłuchani. Nazajutrz w Pomorskiej Brygadzie WOP w Szczecinie wszczęto dochodzenie w sprawie nielegalnego przekroczenia granicy. Powiadomiono stronę wschodnioniemiecką, przekazując dane personalne, rysopis i dwa zdjęcia Piesika.

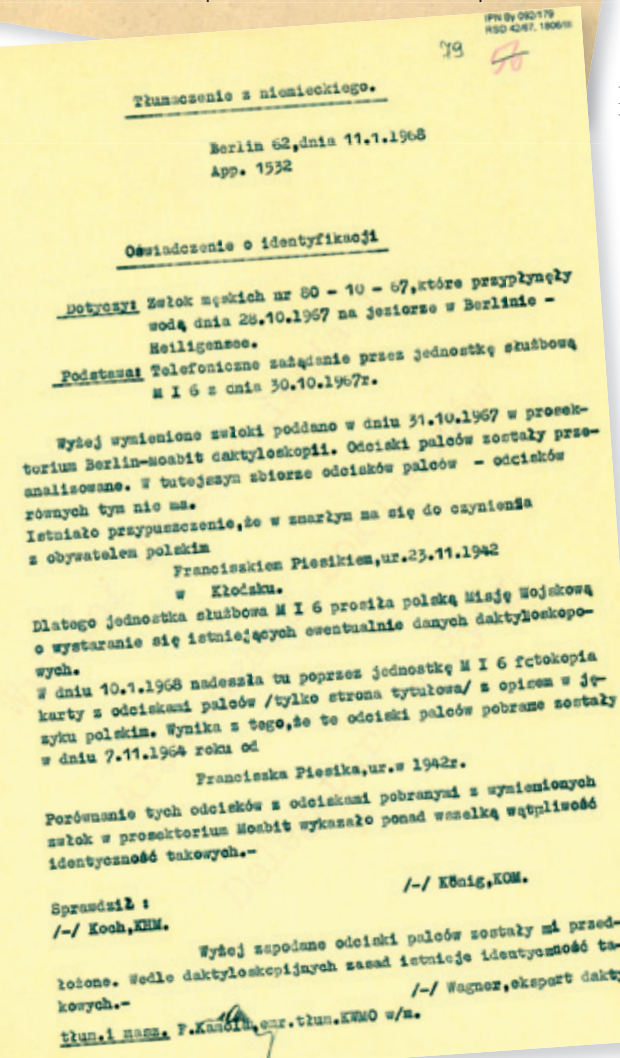
Służby NRD szybko ustaliły, że rano 15 października Piesik pojawił się na stacji kolejowej Lüdersdorf, skąd odjechał pociągiem w kierunku Bad Freienwalde. Stamtąd zaś kolej kursowała do Berlina i Frankfurtu nad Odrą.



► Do przeprawy się na wschodnioniemiecki brzeg Odry Piesik wykorzystał łódź należącą do pogłębiarki „Neptun”



- ▶ Wschodnioniemieccy pogranicznicy zakadali początkowo, że Piesik dotarł do Berlina Zachodniego
- ▶ Dopiero porównanie odcisków palców ostatecznie potwierdziło tożsamość topielca



Nie wiadomo, w jaki sposób Piesik dotarł niepostrzeżenie w rejon Berlina, niemal 100 kilometrów od Bielinka. W policyjnym państwie, którym była NRD, graniczyło to z cudem. W każdym razie po dwóch dniach uciekinier z Polski, zakładając drogi, znalazł się w okolicy Hennigsdorf na północno-zachodnich obrzeżach berlińskiej metropolii. Miał przy sobie nie tylko kombinarki, lecz także szkice przebiegu granicy w tym rejonie.

Z zebranych przez nas relacji rodzinnych i dokumentów wynika, że do momentu ucieczki Piesik nigdy nie był poza Polską. Gdy jednak pracował w żegludze śródlądowej, miał styczność z marynarzami, którzy kanałem Haweli pływali z PRL do RFN i innych krajów zachodniej Europy. Można przypuszczać, że to od tych osób zdobył informacje, które wykorzystał do opracowania planu przeprawienia się do Berlina Zachodniego.

Topielec NN

W późne wtorkowe popołudnie 17 października Piesik podjął próbę przedostania się do wolnego świata. Z przystani w pobliżu Hennigsdorf ukradł łódź motorową używaną w przeszłości przez pograniczników, a w tamtym czasie przez zakładowy klub sportowy współpracujący ze służbą graniczną. Prawdopodobnie dlatego obserwujący granicę żołnierze enerdowscy nie zwrócili na niego uwagi.

Kierując się na południe kanałem Haweli, Piesik chciał zapewne ominąć półwysep dzielący kanał i jezioro Nieder Neuendorfer. Pośrodku szerokiego na kilkaset metrów jeziora biegła granica między NRD a Berlinem Zachodnim. Kawałek dalej była już zachodniobерlińska dzielnica Heiligensee.

W którymś momencie Piesik został jednak rozpoznany jako uciekinier. „Wezwany do zatrzymania, [...] wyskoczył z łodzi do wody, pozostawiając [...] garderobę i inne drobne przedmioty” – zapisał później, powołując się na relację strony wschodnioniemieckiej, oficer WOP. Z innej notatki wynika, że Piesik dotarł do bagnistego półwyspu, który leżał jeszcze w granicach NRD, i tam pozostawił **swoje rzeczy**.

Tak czy inaczej, wbrew pierwotnym planom, jezioro Nieder Neuendorfer musiał przepłynąć wpław. Dla wychowanego nad brzegiem Odry młodego mężczyzny pokonanie tego kilkusetmetrowego odcinka nie powinno być problemem. Trzeba jednak pamiętać, że ucieczka trwała już trzecią dobę, w obcym środowisku i niesprzyjających warunkach atmosferycznych. O tej porze roku woda raczej nie miała więcej niż 10 stopni Celsjusza. Czy zatem Piesik, płynąc przez jezioro, utonął wskutek wyziębienia? A może skrył się przed pościgiem w bagnistym sitowiu i tam stracił życie?

Służby NRD początkowo poinformowały stronę polską, że pogranicznicy użyli broni. Wkrótce jednak zdementowały tę informację. W jednym z wewnętrznych dokumentów Narodowej Armii Ludowej NRD zganiono uczestników pościgu za nieużycie broni – i ta wersja wydarzeń wydaje się najbardziej prawdopodobna. Strzałów nie słyszała też policja zachodniobерlińska.

Strona wschodnioniemiecka zakładała początkowo, że ucieczka się powiodła. Po jedenastu dniach, 28 października, ciało Piesika wyłowiono jednak z jeziora Nieder Neuendorfer po zachodniobерlińskiej stronie granicy. Sekcja zwłok wykazała dużą ilość szlamu w drogach oddechowych. Nie stwierdzono śladów ingerencji osób trzecich.

Znaleziona w ubraniu książeczka żeglarska pozwoliła na wstępną identyfikację ciała. Dodatkową wskazówką mógł być tatuaż na lewym przedramieniu denata. Dopiero jednak w styczniu 1968 roku, gdy z Polski dotarły odciski palców Piesika, ostatecznie potwierdzono tożsamość topielca.

Piekło urzędów

Skandaliczne – ale typowe dla krajów bloku wschodniego – było zachowanie polskich władz wobec rodziny uciekiniera. Bliscy Piesika wspominają, że byli często nachodzeni przez funkcjonariuszy WOP. Członków rodziny przesłuchiowano w atmosferze zastraszenia, przeszukano drobniaczko ich mieszkania. Nie informowano przy tym o postępach w śledztwie – ani wówczas, gdy polskie władze otrzymały wstępną wiadomość o identyfikacji zwłok na podstawie książeczki żeglarskiej, ani później, gdy porównanie odcisków palców rozwiało ostatnie wątpliwości.

Żonie Piesika, która zwróciła się do Pomorskiej Brygady WOP z prośbą o udzielenie informacji o mężu lub przesłanie aktu zgonu, jeszcze wiosną 1968 roku odpowiadano jedynie, że nielegalnie przekroczył granicę Polski z NRD i jego dalsze losy nie są znane. Nawet oficjalne umorzenie dochodzenia we wrześniu 1968 roku nie zmieniło postępowania wobec rodziny. Z relacji Elżbiety Piesik wynika, że o losie męża dowiedziała się dopiero później – z korespondencji otrzymanej bezpośrednio z Berlina Zachodniego. Siostry tragicznie zmarłego utrzymują, że podobna informacja nigdy nie dotarła do ich rodziców – umierali więc z nadzieją, że syn żyje gdzieś na Zachodzie.

Polska administracja zwlekała też z reakcją na wiadomość, że prokurator w Berlinie Zachodnim zgadza się na sprowadzenie zwłok do PRL. W rezultacie, niemal pół roku po śmierci, Piesik został pochowany na cmentarzu w Heiligensee – w dzielnicy Berlina, do której nie zdołał dotrzeć. Z czasem nieopłacany grób został zlikwidowany.

Wciąż nie jest jasne, dlaczego Piesik zdecydował się na nielegalne opuszczenie kraju. Według ustaleń dochodzenia prowadzonego w PRL, utrzymywał kontakt korespondencyjny z osobami zamieszkającymi w Essen i Düsseldorfie w RFN. Z zebranych przez nas relacji wynika, że Piesikowie mieli w Essen krewnych i otrzymywali od nich paczki. Można się domyślać, że to właśnie tam Franciszek Piesik zamierzał skierować swoje pierwsze kroki na Zachodzie. Dla-

▶ Latem mieszkańcy Berlina Zachodniego chętnie korzystali z jezior na granicy z NRD; w połowie października, gdy próbę ucieczki na Zachód podjął Franciszek Piesik, woda nie miała więcej niż 10 stopni Celsjusza; na zdjęciu Glienicker Lake, 1969 rok (w tle motorówki patrolowe służb granicznych)

czego jednak pozostawił w Bydgoszczy żonę i kilkuletnią córkę? Czy chodziło o problemy małżeńskie, o których wspomina dziś jego rodzeństwo, czy może o ciężką chorobę ukochanej matki, wymagającej terapii, która wówczas była niedostępna w kraju? A może po prostu wybrał wolność? Rodzina, niewtajemniczona w plany ucieczki, do dziś nie potrafi udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Non omnis moriar?

Po zjednoczeniu Niemiec okolicznościom śmierci Franciszka Piesika przyglądała się prokuratura w Berlinie. W 1996 roku zrezygnowała jednak z wszczęcia postępowania w tej sprawie, bo nie było dowodów bezpośredniej winy osób trzecich.

W miejscu tragedii sprzed lat znajduje się dziś skromna tablica informacyjna. Zdjęcie Franciszka Piesika umieszczono też w Miejscu Pamięci Muru Berlińskiego przy Bernauer Straße – pośród fotografii innych ofiar zimnej wojny. Notkę biograficzną o pechowym uciekinie-



Infografika na podstawie szkicu sporządzonego przez zachodniobерlińską policję

rze z PRL znajdziemy zaś w niemieckojęzycznej publikacji *Die Todesopfer der Berliner Mauer 1961–1989* (Ofiary śmiertelne muru berlińskiego 1961–1989). W Polsce – paradoksalnie – prawie nikt nie słyszał o tym, co wydarzyło się 17 października 1967 roku. 📖

Magdalena Dźwigal – archiwistka, historyczka, pracowniczka Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Szczecinie

Filip Gańczak – redaktor miesięcznika „Pamięć.pl”

Więcej o murze berlińskim i jego ofiarach napiszemy w listopadowej „Pamięci.pl”

Mąż swojej żony

Jerzy Eisler

► W roli tytułowej pary wystąpili Aleksandra Zawierusanka i Bronisław Pawlik

Zanim Stanisław Bareja stał się satyrycznym kronikarzem PRL, kręcił głównie komedie romantyczne. Jedną z nich to *Mąż swojej żony* – niezastąpiona dokumentacja Warszawy z czasów małej stabilizacji.

Film *Mąż swojej żony*, mający premierę 4 kwietnia 1961 roku, był debiutem fabularnym Stanisława Barei, który w przyszłości miał się stać jednym z mistrzów polskiej komedii, a z czasem – jak to się dzisiaj często podkreśla – reżyserem „kultowym” i nieformalnym satyrycznym kronikarzem PRL. Jest to jednak konsekwencja przede wszystkim jego późniejszych dokonań. Stanisław Bareja zapracował na to głównie w latach siedemdziesiątych, realizując kolejno takie komedie jak: *Poszukiwany, poszukiwana*, *Nie ma róży bez ognia*, *Brunet wieczorową porą*, *Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz* i wreszcie najsławniejszą z nich *Miś* (premiera: 1981), oraz w latach osiemdziesiątych, przygotowując dwa niezwykle popularne seriale: *Alternatywy 4* (9 odcinków) i *Zmiennicy* (15 odcinków).

Kulturalna, lekka, sensowna

Nie pamięta się jednak na ogół, że zanim do tego doszło, dość długo, w latach sześćdziesiątych, Bareja realizował filmy, które – choć na ogół cieszyły się sporą popularnością u widzów – były zwykle nie najlepiej przyjmowane przez krytyków filmowych. Obok *Męża swojej żony* były to komedie: *Żona dla Australijczyka*, *Małżeństwo z rozsądku* i – nie tylko moim zdaniem – zdecydowanie najsłabsza z nich *Przygoda z piosenką* oraz kryminały: *Dotknięcie nocy* i ośmioodcinkowy serial *Kapitan Sowa na tropie*. O ile odwołujące się często i chętnie do purnonsensu późniejsze dzieła Stanisława Barei na miarę cenzuralnych możliwości ukazywały ówczesną rzeczywistość w krzywym zwierciadle, o tyle te wcześniejsze swoim charakterem nawią-

zywały do – niezbyt cenionych przez krytykę – przedwojennych polskich komedii filmowych. Nierzadko miały one w sobie coś z wodewilu czy komedii muzycznej. Muzyka i piosenki odgrywały też znaczną rolę w pierwszych komediach Barei, w tym także w filmie *Mąż swojej żony*. Powstał on bowiem na podstawie grywanej w latach trzydziestych w teatrze, popularnej przedwojennej sztuki Jerzego Jurandota *Mąż Foltasiówny*.

Akcja została jednak przeniesiona na polskie realia z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a więc w okres tzw. małej stabilizacji, kiedy to już w zasadzie wygasły w społeczeństwie – rozbudzone w październiku 1956 roku – nadzieje na to, że w kraju może być lepiej, uczciwiej, sprawiedliwiej i mądrzej. Polacy – chcąc nie chcąc – zdecydowali się wtedy w swej masie na prywatność, na zamknięcie się w kręgu rodzinnym, nieformalne kontakty przyjacielskie, oddanie się rozmaitym hobby i tym podobne zachowania przystosowawcze.

Doskonale nawiązując do tego stanu serca i umysłu słowa piosenki będącej muzycznym motywem przewodnim filmu, granej i śpiewanej przez tytułowego bohatera, kompozytora Michała Karca (Bronisław Pawlik): „Co nas obchodzi, co nas obchodzi wszystko, co nie jest tobą i mną”. Autor książki *Miś, czyli świat według Barei*, Maciej Łuczak, napisał, że słowa te można by uznać „za hymn sporej części pokolenia, które mając do wyboru gloryfikację systemu bądź ucieczkę od podejmowania aktualnej problematyki społecznej, wybierało to drugie rozwiązanie”. Nie wiadomo, czy Bareja od początku był w pełni tego wszystkiego świadomy. Z czasem przyznawał jednak samokrytycznie: „Moje pierwsze filmy były słodkimi komediami, aż w końcu zaczęło mnie od tego mdlić i postanowiłem dodać trochę goryczy”. W końcu lat siedemdziesiątych – już po dodaniu tej goryczy – w rozmowie ze Zdzisławem Pietrasikiem mówił na ten temat: „Ja powiem szczerze: za pewną grupę filmów byłem słusznie bity. W latach sześćdziesiątych znalazłem się w grupie produkcyjnej, która była nastawiona na robienie filmów komercyjnych”.

Wydaje się jednak, że Bareja zbyt surowo oceniał swoje pierwsze (przynajmniej niektóre) dzieła. Cytowany już Maciej Łuczak przypomniał, że *Mąż swojej żony* w ankiecie Ośrodka Badania Opinii Publicznej został uznany przez widzów za trzeci pod względem popularności film roku 1961. Również głosy krytyki były umiarkowanie przychylne reżyserowi. Bohdan Ziółkowski w tygodniku „Film” uznał debiut Barei za udany. Na łamach „Trybuny Ludu” – organu prasowego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – autorytatywnie stwierdzono zaś, że jest to „kulturalnie zrobiona, lekka i sensowna [...] rozrywka w dobrym guście i smaku”.

Tym, co łączyło wczesne i późniejsze filmy Barei, było angażowanie przez niego nawet w rolach trzecioplanowych i niewielkich epizodach aktorów wybitnych lub przynajmniej tych najpopularniejszych w danym momencie. Pozostawał im zresztą wierny i w zasadzie – w miarę możliwości – stale angażował te same osoby. W *Mężu swojej żony* pojawili się na planie zdjęciowym aktorzy, którym jeszcze nie raz miał powierzać role w swoich komediach. Obok wspomnianego już Bronisława Pawlika, któremu w roli żony – sławnej lekkoatletki Jadwigi Fołtasiówny – partnerowała pełna uroku i niezwykle popularna w latach sześćdziesiątych Aleksandra Zawierusanka, byli to między innymi: Elżbieta Czyżewska, Jerzy Duszyński, Mieczysław Czechowicz, Wiesław Gołas, Lech Ordon i Wojciech Pokora.

Artysta w cieniu sportsmenki

Mąż swojej żony ma dość bląhą fabułę, wraz z upływem lat zresztą coraz mniej zrozumiałą. W epoce feminizmu – także tego agresywnego i ekspansywnego – chyba coraz mniej współczesnych nam osób jest w stanie zrozumieć perypetie

bohaterów. Akcja filmu jest bowiem umiejscowiona w świecie ciągle jeszcze wyraźnie zdominowanym przez mężczyzn i ich sprawy, w którym wiele problemów kobiet starano się minimalizować lub wręcz zupełnie bagatelizować. Nawet potocznie, a z czasem już tylko ironicznie, mężczyzn nazywano „panami domu”. Kobiętom w tamtym świecie („przedfeministycznym”) przypisywano raczej role drugoplanowe. Oprócz wypełniania treścią starego niemieckiego hasła, sprowadzającego się do „trzech K” (*Kinder, Küche, Kirche*), czyli zajmowania się dziećmi, gotowaniem i praktykami religijnymi, przedstawicielkom płci pięknej pozostawiono co najwyżej obowiązki reprezentacyjne. Na marginesie warto może zwrócić uwagę na to, że współcześnie niemieckie feministki „podmieniły” ostatnią literę „K” – w miejsce *Kirche* (kościół) pojawił się niewymagający tłumaczenia nowy rzeczownik: *Karriere*.

Wracając jednak do filmu, wypada przypomnieć, że *Mąż swojej żony* jest satyryczną komedią obyczajową, opowiadającą o swoistej rywalizacji młodych, zakochanych w sobie małżonków. Ona, Jadwiga Fołtasiówna, jest wybitną sportsmenką, uprawiającą wyczynowo biegi krótko- i średniodystansowe, uwielbianą przez kibiców, której życie – także to prywatne, rodzinne – jest przedmiotem zainteresowania mediów. On, Michał Karcz, a raczej „mąż Fołtasiówny” – jak konsekwentnie przedstawiają go środki masowego przekazu – jest młodym, zdolnym kompozytorem, który odnosi swój pierwszy międzynarodowy sukces (wygrywa konkurs kompozytorski i w nagrodę wyjeżdża do Edynburga na festiwal muzyczny). Długo godzi się na pozostawanie w cieniu żony sportsmenki, co więcej – wyraźnie stara się interesować jej osiągnięciami i żyć jej sukcesami. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że także i ona maksymalnie stara się wykazywać zainteresowanie pracą i osiągnięciami męża. Społiwem tego niecodziennego związku – tak bardzo w końcu różnych od siebie ludzi – jest miłość, której film jest jedną

wielką apoteozą. Bohaterowie nie żyją jednak zawieszeni w próżni. Otacza ich grono bardzo różnych ludzi, którzy – niezależnie od dobrych intencji – nie przyczyniają się do cementowania ich związku. Nie miejsce tutaj na szczegółowe opisywanie ich perypetii. Wiadomo zresztą nie od dziś, że filmy tego typu zawsze mają happy end. ➤

➤ Trzydzieste piętro Pałacu Kultury – panorama Warszawy jeszcze bez krat; na zdjęciu Wiesław Gołas i Elżbieta Czyżewska



Portret gomulkowskiej Warszawy

Warto natomiast zatrzymać się chwilę nad paradoksalną wartością filmu Barei. Podobnie jak wcześniej komedia *Skarb* – niezależnie od ukazywania perypetii bohaterów – dokumentowała pierwszą fazę odbudowy zrujnowanej przez wojnę Warszawy, a *Przygoda na Mariensztacie* kolejny etap procesu odbudowy stolicy, tak *Mąż swojej żony* w wyjątkowo atrakcyjny sposób ukazuje Warszawę w okresie wczesnego Gomułki. Widzimy w filmie, że tym, z czego wówczas warszawiacy byli najbardziej chyba dumni i co najchętniej pokazywali przybyszom z innych części kraju, był oddany do użytku pięć lat wcześniej Pałac Kultury i Nauki. Stanisław Bareja ukazuje go jeszcze w sposób – powiedziałbym – patetyczny, a nie ironiczny, jak uczynił to dwadzieścia lat później w *Misiu*. Co więcej, mamy rzadką dzisiaj okazję zobaczyć taras widokowy na trzydziestym piętrze, jeszcze bez kraty uniemożliwiającej tragiczny wypadek lub samobójczy skok.

Drugim obiektem architektonicznym, który – także z racji tego, że główna bohaterka jest lekkoatletką – odgrywa w tym filmie ważną rolę, jest rówieśnik Pałacu Kultury i Nauki, również oddany do użytku w lipcu 1955 roku Stadion Dziesięciolecia. Widać, że zarówno dla ówczesnych warszawiaków, jak i przyjezdnych gości był on wtedy taką samą albo bardzo podobną atrakcją, jaką dzisiaj jest – znajdujący się w tym samym miejscu – Stadion Narodowy. Tylko „mocno średnie” oraz starsze i najstarsze pokolenie

Polaków pamięta Stadion Dziesięciolecia z dni jego świetności, gdy na ważne mecze piłkarskie lub lekkoatletyczne oraz finały Wyścigu Pokoju przychodziło po sto tysięcy ludzi. Tymczasem osobom urodzonym po 1970 roku miejsce to kojarzy się tylko z nieprawdopodobnym brudem i równie gigantycznym bazarem w centrum europejskiej stolicy.

Nie można przy tym zapominać, że ten dawny Stadion Dziesięciolecia łączył się także z sukcesami legendarnego polskiego lekkoatletycznego *wunderteamu*. W *Mężu swojej żony* miłośnicy sportu mogą zobaczyć jego przedstawicieli, na czele z rekordzistą świata i mistrzem olimpijskim z Rzymu (w przyszłości również z Tokio) w trójskoku – Józefem Szmidttem. Gratką dla miłośników sportu jest także możliwość popatrzenia w tym filmie chociaż przez chwilę na dwie legendarne postaci: prowadzącego transmisję radiowo-telewizyjną wybitnego komentatora i redaktora Bohdana Tomaszewskiego oraz najsławniejszego polskiego trenera bokserskiego Feliksa Stamma, który osobiście pokazuje jednemu z bohaterów, jak walczyć skutecznie. I choćby dla tych kilku minut sportowych wzruszeń, tych kadrów jakże innej niż dzisiejsza Warszawy z początku lat sześćdziesiątych oraz podziwiania kunsztu aktorskiego wybitnych artystów, z których wielu nie ma już wśród nas, na pewno warto obejrzeć ten film. 🍷

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. książek *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008), *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)

► W filmie uwieczniony został Stadion Dziesięciolecia w czasach swej świetności; na zdjęciu: Bronisław Pawlik, Mieczysław Czechowicz, Jerzy Duszyński, Elżbieta Czyżewska, Wiesław Gołas



Francuska „siedemdziesiątka piątka”

Michał Mackiewicz

Gdybyśmy chcieli stworzyć ranking dziesięciu najsłynniejszych typów broni XX wieku, bez wątpienia nie mogłoby w nim zabraknąć francuskiej armaty polowej wz. 1897 kal. 75 mm. Działo to otworzyło nowy rozdział w historii artylerii i odegrało olbrzymią rolę podczas I wojny światowej. Okazało się najdłużej użytkowaną nowoczesną armatą w dziejach wojskowości. Broń ta nierozdzielnie związana jest także z Polską. Słynna „siedemdziesiątka piątka” pomogła w 1920 roku odeprzeć spod Warszawy bolszewików, a we wrześniu 1939 roku stanowiła podstawowy sprzęt naszych pułków artylerii lekkiej.

Artyleię do rangi trzech głównych rodzajów broni (wraz z piechotą i kawalerią) podniósł Napoleon, którego tzw. wielkie baterie demolały przeciwników na polach bitew całej Europy. Rozwój technologiczny w XIX wieku wpłynął na istotne unowocześnienie tej broni – nowe gatunki stali, z których wykonywano lufy, coraz doskonalsza amunicja i wreszcie bruzdowanie przewodów luf sprawiły, że niszczycielska siła artylerii uległa zwielokrotnieniu.

Pionierska konstrukcja

Wciąż jednak problemem była niska szybkostrzelność związana ze znacznym przemieszczeniem się działa po oddanym strzale (odrzut). Za każdym razem obsługa musiała ponownie wtoczyć je na



► Działo na pozycji, mal. Wojciech Kossak

pozycję i ustawić w odpowiednim położeniu. Oczywiście wpływało to także na obniżenie precyzji strzału. Starano się temu zaradzić, konstruując tzw. łoża elastyczne (sprężynujące), przy czym liczba rozmaitych oryginalnych rozwiązań przyprawiała o zawrót głowy. Pomimo wieloletnich wysiłków skutek był daleki od zadowalającego.

Przełom nastąpił dopiero w latach dwudziestych we Francji, za sprawą zespołu konstruktorów z państwowych zakładów zbrojeniowych w Puteaux pod Paryżem (L'Atelier de Construction de Pu-

teaux). Zazwyczaj wymienia się ich kierownika – Josepha-Alberta Deporta – ale wybitny wkład w ostateczny sukces projektu wniósł Henri Sainte-Claire Deville. Owocem długoletnich starań była pierwsza na świecie szybkostrzelna armata o długim odrzucie lufy, zaopatrzona w prawdziwie efektywny oporopowrotnik hydrauliczno-pneumatyczny (jego cylindry znajdowały się w kołosce lufy); największy dopuszczalny odrzut wynosił 125 cm. U dołu przedniej części stałowej lufy znajdowały się rolki wylotowe, prowadzące lufę przy odrzucie. Armata ►

Fot. ze zbiorów MWMP



► Ćwiczenia artylerii, lata trzydzieste

była wyposażona w zamek typu śrubowo-mimośrodkowego, jednoogonowe łożo oraz tarczę ochronną o grubości 8 mm. Stosowano amunicję zespoloną – granaty i szrapnele oraz naboje specjalne (wskaźnikowe, smugowe, zapalające). Po pierwszych kilku strzałach łożo zagłębiało się w ziemię, unieruchamiając armatę. Można było więc prowadzić precyzyjny ogień, oddając kilkanaście strzałów w ciągu minuty (w trakcie testów poligonowych oddano dwadzieścia strzałów w minutę i to bez żadnego wpływu na poprawne funkcjonowanie działa). Działo zostało wprowadzone do uzbrojenia armii francuskiej w 1897 roku pod oznaczeniem *le Canon de 75 Modèle 1897*.

Oto jak francuską polówkę charakteryzował nieoceniony Aleksander Kiersnowski w swym wiekopomnym dziele *Historia rozwoju artylerii* (Toruń 1925): „Szybkostrzelne armaty Schneidera [zakłady Schneider były jednym z głównych

producentów tego wzoru] działają doskonale; już po pierwszych dwóch–trzech strzałach, gdy łożo i klocki zagłębiają się w ziemię, całe łożo staje się nieruchomym, prawie że nie drgnie, tak że moneta położona na obręczy koła nie spada przy strzale; linia wizowania prawie że nie zmienia zasadniczego kierunku; obsługa siedzi spokojnie podczas strzelania na swoich siedzeniach, a szybkość strzelania może być doprowadzona do 16 i nawet więcej na minutę. Jednakże w końcu XIX wieku żadne z mocarstw, oprócz Francji, nie zaryzykowało wprowadzić podobnego wzoru, z obawy, że skomplikowana budowa, zwłaszcza opornika pneumatycznego powrotnika, będą za delikatne i łatwo mogą być uszkodzone, a na wojnie trudno je będzie naprawiać itd.”.

„Cudowna” armata

Chociaż jeszcze przed 1914 rokiem wiele krajów przekonało się ostatecznie do szybkostrzelnych armat (rosyj-

ska wz. 1902 kal. 7,62 mm, austro-węgierska wz. 1905 kal. 76,5 mm oraz niemiecka wz. 1896 n.A. kal. 77 mm), żadna z nich nie mogła się równać francuskiemu pierwowzorowi. Było to widoczne zwłaszcza w przypadku niemieckiej „siedemdziesiątki siódemki”, wprowadzonej co prawda do uzbrojenia w 1896 roku, ale kilka lat później zmodyfikowanej na wzór *le Canon 75* (opropowrotnik). „Siedemdziesiątka piątka” miała większą szybkostrzelność, górowała zasięgiem i precyzją strzału, a ponadto stosowano do niej lepszą amunicję.

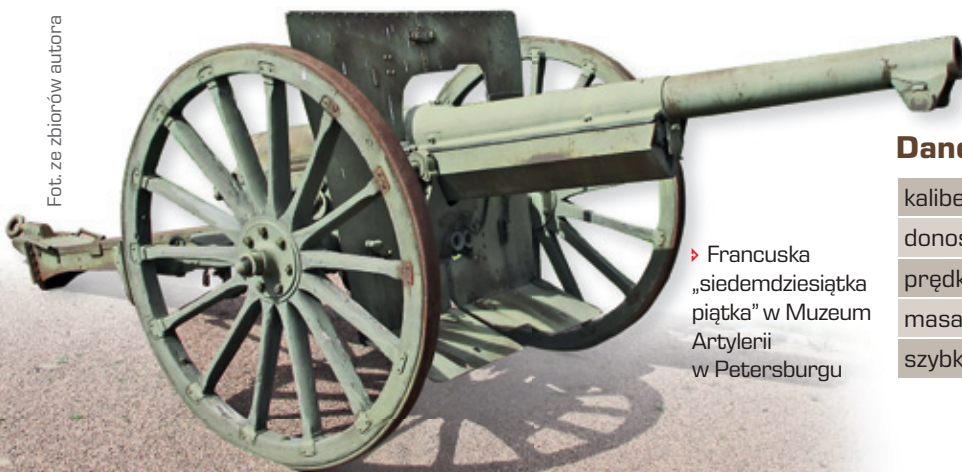
W 1914 roku Francuzi mieli ponad 4 tys. armat wz. 97, które grupowano w pułkach artylerii przydzielanych do dywizji piechoty (36 armat). W początkowym, manewrowym okresie Wielkiej Wojny armata wz. 97 była niekwestionowanym królem pola walki, a w licznych relacjach mowa jest o unicestwianiu całych niemieckich pułków wystawionych na morderczy ogień pocisków 75 mm. „19 sierpnia na wschód od Miluzy dwa dywizyjony 5. pułku artylerii polowej ostrzelały dywizjon niemiecki na odległość 3200 metrów. 20 sierpnia na pobojowisku zebrano cały sprzęt w pełnym komplecie: 18-cie 77-ek i 63 żywe jeszcze konie wśród stosów trupów ludzkich i końskich” (relacja gen. F. Gascouine’a). Bez „siedemdziesiątki piątki” nie byłoby zapewne „cudu nad Marną”, to właśnie tej armacie zawdzięcza swoje ocalenie stolica Francji.

Armaty wz. 97 trafiły do odrodzonej Polski w 1919 roku wraz z Błękitną Armią gen. Józefa Hallera (180 sztuk). Liczba dział dość szybko się zwiększyła dzięki zakupom we Francji. W wojnie 1920 roku „siedemdziesiątka piątka” była już podstawowym sprzętem w pułkach artylerii polowej i – mimo zużycia

Dane taktyczno-techniczne:

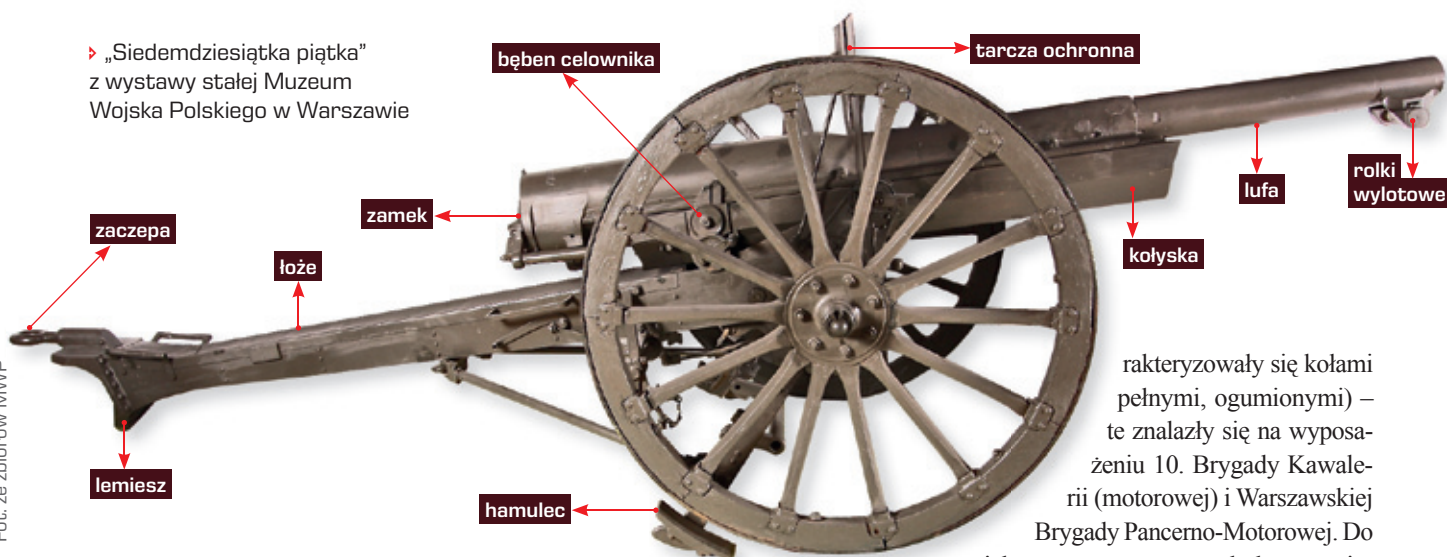
kaliber	75 mm
donośność	11 200 m
prędkość początkowa pocisku	525–577 m/s
masa w położeniu bojowym	1190 kg
szybkostrzelność teoretyczna	12 strz./min

Fot. ze zbiorów autora



► Francuska „siedemdziesiątka piątka” w Muzeum Artylerii w Petersburgu

► „Siedemdziesiątka piątka” z wystawy stałej Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie



Fot. ze zbiorów MWMP

frontowego znacznej części armat – odegrała niebagatelną rolę w kolejnym „cudzie” – tym razem nad Wisłą.

W dwudziestoleciu międzywojennym armaty wz. 97 nie były w Polsce produkowane, ale rodzime zakłady naprawiały je, remontowały i robiły drobne modernizacje. W chwili wybuchu II wojny światowej Wojsko Polskie miało łącznie około 1300 tych dział, przy czym *gros* z nich zgrupowano w pułkach artylerii lekkiej. Większość PAL-ów miała po dwa dywizjony armat 75 mm (łącznie 24 działa) i dywizjon 100 mm haubic wz. 14/19 (12 dział), część jednak miała odmienną organizację – dwa dywizjony haubic i jeden armat. Bezpośrednia obsługa armaty składała się z sześciu ludzi: działonowego, celowniczego, zamkowego, amunicyjnego i dwóch wręczycieli, jednak cały działon (czyli podstawowa jednostka w strukturze PAL-u) liczył 14 żołnierzy i 14 koni (dwa sześciokonne zaprzęgi – do działa i jaszczu amunicyjnego – oraz dwa dodatkowe – dla działonowego i jaszczowego). Część dział przystosowano do trakcji motorowej (cha-

cieli, jednak cały działon (czyli podstawowa jednostka w strukturze PAL-u) liczył 14 żołnierzy i 14 koni (dwa sześciokonne zaprzęgi – do działa i jaszczu amunicyjnego – oraz dwa dodatkowe – dla działonowego i jaszczowego). Część dział przystosowano do trakcji motorowej (cha-

rakteryzowały się kołami pełnymi, ogumionymi) – te znalazły się na wyposażeniu 10. Brygady Kawalerii (motorowej) i Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej. Do ich transportu używano kołowo-gąsienicowych ciągników C4P. Po kampanii w Polsce, w której armaty wz. 97, choć mocno już zużyte, spisały się bez zarzutu (niejednokrotnie zwalczając m.in. niemiecką broń pancerną), nasi żołnierze zetknęli się z nimi ponownie we Francji.

Tak licznie niegdyś reprezentowana w naszym wojsku, armata wz. 97 uchodzi dzisiaj za prawdziwy unikat. W Polsce zachowały się zaledwie dwa kompletne, oryginalne działa – jedno jest eksponowane na wystawie stałej w warszawskim Muzeum Wojska Polskiego, drugie stanowi ozdobę kolekcji Muzeum Czynu Zbrojnego w Lipcach Reymontowskich. 🇵🇱



Fot. ze zbiorów MWMP

► Armata wz. 97 w trakcie wojny 1920 roku

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kirchholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)



► Armaty wz. 97 przystosowane do trakcji motorowej

Fot. ze zbiorów MWMP

Kompas ukryty pod orłem

Tomasz Zawistowski

Nie był polskim wynalazkiem, lecz adaptacją rozwiązania brytyjskiego. Niewiele egzemplarzy kompasów ucieczkowych, zakamuflowanych w guzikach Polskich Sił Powietrznych, przetrwało do naszych czasów. Świadomi kolekcjonerzy oglądają czujnie każdy guzik z nadzieją, że w jego wnętrzu odkryją mały skarb.



Fot. ze zbiorów autora

► Guzik Polskich Sił Powietrznych z ukrytym wewnątrz kompasem

Od najdawniejszych czasów dostanie się do niewoli nieprzyjacielskiej było uznawane przez wojowników za taką samą hańbę, jak odniesienie rany w plecy. Ten punkt widzenia ulegał zmianie, gdy upowszechniło się stosowanie pocisków i bomb odłamkowych. Rana pleców przestała być znamięm tchórze. Podobnie rozwój techniki wojennej i wzrost intensywności strat sprawiły, że niewola stała się rzeczą zwyczajną, akceptowaną i rozumianą. Obowiązkiem jeńca była ucieczka – po to, żeby powrócić do szeregów. Powinność ta jednak dopiero w czasie II wojny światowej została określona rozkazami.

Ewolucja sposobu prowadzenia walki sprawiła, że konflikty

drugiej połowy XIX wieku owocowały ciągłym wzrostem liczby jeńców. Efekt ten był jeszcze silniej zauważalny w czasie I wojny światowej. Z czasem większość krajów walczących uznała, że dostanie się do niewoli nie jest wystarczającym powodem do uznania żołnierza za winnego tego zdarzenia, choć jeszcze w czasie następnej wojny światowej wyjątek od tej reguły stanowiły ZSRR i Japonia. Sprawa winy bądź jej braku była w wielu przypadkach dyskusyjna, bo zależna od subiektywnej oceny okoliczności, w których jeńiec wpadł w ręce

wroga. Sytuacja definitywnie się zmieniła dopiero podczas II wojny na skutek masowego prowadzenia operacji lotniczych głęboko nad terytorium wroga. Załogi zestrzelonych samolotów często dostawały

się do niewoli i z pewnością nie można było ich za to winić.

Sławne ucieczki

Tradycja ucieczek z niewoli sięga głęboko w przeszłość. Z czasów nowożytnych dość wymienić słynne ucieczki Napoleona w 1815 roku z Elby, Winstona Churchilla w 1899 roku z Preterrii czy więzionego przez carat Józefa Piłsudskiego w 1901 roku z petersburskiego szpitala. Charles de Gaulle podczas I wojny światowej uciekał z niemieckiej niewoli trzykrotnie i za każdym razem zostawał schwytany. Opisane przypadki przyniosły sławę ich bohaterom i są dzisiaj chwalebnyymi elementami ich życiorysów.

Ogrom skali operacji prowadzonych podczas II wojny światowej przez lotnictwo sprzymierzonych był naturalną przyczyną znacznych strat w personelu. Dzisiejsi historycy brytyjscy i amerykańscy postrzegają to zagadnienie jako osobny temat, który z racji swych rozmiarów jest znacznie lepiej zbadany i opisany z ich punktu widzenia niż z polskiej perspektywy. Jednym z aspektów tej sprawy jest utworzenie bogatszej terminologii, która na przykład w języku angielskim wyraźnie rozróżnia słowo *escaper*, czyli uciekinier z obozu jenieckiego, od *evader* – żołnierza, który znalazłszy się na wroгим terytorium, nie dostał się jednak do niewoli. Aby uprzytomnić sobie skalę zagadnienia, warto przyrzeć się choćby sumarycznym liczbom. W czasie całej wojny zza linii frontu powróciło łącznie blisko 34 tys. alianckich żołnierzy, z których co dziesiąty był lotnikiem. Powracający personel latający był szczególnie cenny z racji wysokich kosztów szkolenia.

MI9 i Clayton Hutton

Sposoby przedzierania się przez terytorium znajdujące się w rękach wroga są znane z licznych wspomnień żołnie-



► Kompas widoczny po odkręceniu maskującego wieczka; fosforyzująca kropka wskazuje północ



rzy Września dążących na Zachód. Pomoc oficjalna, na którą mogli liczyć, była minimalna w stosunku do potrzeb. Prawdziwe paszporty na fałszywe nazwiska, niekiedy pieniądze, a przede wszystkim dobre rady – taki obraz wyłania się z większości autobiograficznych notatek. Nie było ani czasu, ani możliwości, aby przygotować dla żołnierzy coś więcej.

Odmienny był zakres możliwości Brytyjczyków. Już w grudniu 1939 roku powołali oni do życia sekcję 9 wywiadu wojskowego (MI9), która miała się zająć kwestią jeńców wojennych. Jednym z oficerów wywiadu skierowanych do MI9, człowiekiem zdecydowanie w sekcji najoryginalniejszym, nazywanym przez jednych ekscentrykiem, a przez innych geniuszem, był Christopher Clayton Hutton. Lektura jego wspomnień nieodmiennie przychodzi na myśl ekranową postać „Q” z serii przygód agenta 007 – Jamesa Bonda.

Hutton, zwany przez przyjaciół „Clutty”, dziennikarz i wynalazca, miłośnik sztuki prestidigitatorskiej i eskapologii, I wojnę światową zakończył jako pilot Royal Flying Corps, podczas drugiej zaś zgłosił się ochotniczo do wojska i został zatrudniony w brytyjskim wywiadzie w stopniu porucznika. Pracę rozpoczął od przestudiowania wszystkich dostępnych relacji uciekinierów z poprzedniej wojny i wyciągnięcia z nich wniosków praktycznych.

Kompas dla każdego

Dwa przedmioty najważniejsze dla powodzenia ucieczki to mapa i kompas. Właśnie na kompasach skoncentrował swoje pierwsze działania Clayton Hutton. Na wykonawcę wybrał przedsiębiorstwo braci Blunt, mieszczące się przy Old Kent Road w Londynie, działające w branży mechaniki precyzyjnej i zatrudniające 2 tys. osób. Znalazł tam nie tyl-

ko odpowiednie zaplecze techniczne, lecz także doskonałych współpracowników. Po zdobyciu zapasu ferromagnetycznej blachy stalowej rozpoczęto produkcję miniaturowych igieł kompasowych, zakładając początkową wydajność 5 tys. sztuk tygodniowo. Pierwszy model miał postać wąskiego paska stali, długości poniżej jednego cala, z otworem w połowie długości, opatrzonego dwoma luminescencyjnymi punktami na jednym końcu. Zawieszona na nici igła wskazywała końcem z dwoma punktami kierunek północny. W błyskawicznym tempie wdrożono produkcję jeszcze mniejszych igieł, które umieszczano w miniaturowych, cylindrycznych obudowach o średnicy poniżej ćwierci cala. Problem z zapewnieniem odpowiedniej liczby osi podtrzymujących rozwiązano, używając obcinanych szczytów igieł gramofonowych, dostępnych w każdym sklepie. Stwierdziwszy, jak małe są rozmiary nowego kompasu, Hutton wpadł na kolejny pomysł – umieszczenia igły wewnątrz specjalnie przygotowanej, rozkręcanej obudowy guzika mundurowego.

Produkcja kompasów w kilku asortymentach ruszyła pełną parą. Obok powyższych wspomnianych modeli przy Old Kent Road wytwarzano kompasy wyglądające jak guziki do spodni, okucia wiecznych piór, stalówki, guziki oraz elementy sprzęczek battle-dressów i wiele, wiele innych niewinnych przedmiotów, początkowo w tysiącach, później – w milionach sztuk. Założeniem Huttona było dostarczenie potencjalnym uciekinierom kompasów w maksymalnej możliwej liczbie asortymentów i egzemplarzy. Jak wspominał, starano się namagnesować wszystko, co tylko namagnesować się dało. Przedsięwzięciem największej skali okazało się zaproponowane przez Dicka Richardsa, pracownika firmy przy Old Kent Road, przekonanie dwóch największych brytyjskich producentów żyletek, firm Gillette i Myatt, do namagnesowania całości ich produkcji przeznaczonej dla wojska i odpowiedniego oznaczenia kierunku północnego na wyrobach. Od tego momentu każda paczka z przyborami toaletowymi wysyłana do obozów zawierała ukryte kompas, którymi oprócz odnajdywania ▶

▶ Christopher Clayton Hutton, oficer sekcji MI9, pozuje do zdjęcia z niektórymi spośród swoich licznych wynalazków



Fot. ze zbiorów Tomasa Rohma



► Namagnesowane guziki do spodni; luminescencyjne kropki wskazują kierunek północny

drogi do domu można się też było gościć. Pierwsze relacje o wykorzystaniu kompasów Huttona pochodzą od Brytyjczyków indywidualnie uchodzących spod Dunkierki.

Mimo znalezienia tak prostego i skutecznego rozwiązania jak kompasy-żyłki zespół Huttona nie zaniechał produkcji innych typów kompasów. Założeniem było zalanie obozów jenieckich taką ilością ekwipunku ucieczkowego, aby Niemcy nie byli w stanie skonfiskować wszystkiego. Jak wiadomo, każda tajemnica jest tajemnicą jedynie do czasu. Po wysłaniu około 70 tys. kompasów ukrytych w guzikach Niemcy odkryli ich istnienie. Dowiedziawszy się o tym, Brytyjczycy zrobili wrogom kolejną niespodziankę, zmieniając kierunek biegu gwintu obudowy z prawoskrętnego na lewoskrętny.



Fot. ze zbiorów autora

Argument ten, sam w sobie słuszny, nie był jednak prawdziwy z punktu widzenia całokształtu zagadnienia. Niemcy musieliby bowiem pozabawiać jeńców literalnie wszystkiego – w lotniczych butach ukrywano kompletne zestawy ucieczkowe z piłami i mapami,

a w mundurach jedwabne, nieszeleszczące mapy. Niektóre mundury były przystosowane do przerobienia na ubrania cywilne, inne na mundury Wehrmachtu i Luftwaffe.

W cukierkach i fajkach były kompasy, w rozkręcanych piersiówkach – zestawy żywieniowe, w kartach do gry – mapy. Najmniejsze kompasy o czteromilimetrowej średnicy mieściły się w papierosach.

Wyposażenie ucieczkowe wysyłano w sprzęcie sportowym, wiecznych piórach i ołówkach, w szachach i innych grach planszowych, wreszcie w podwójnych ściankach konserw i opakowaniach paczek. Co ciekawe, Brytyjczycy nie wysyłali niedopuszczalnego wyposażenia paczkami Czerwonego Krzyża, ale

ograniczali się do paczek prywatnych. Tak czy inaczej trudno byłoby znaleźć element umundurowania albo zawartości paczki przeznaczonej dla jeńca, w którym MI9 nie umieściłby czegoś od siebie. A z kolei załogi niemieckich obozów zbyt doceniały smak brytyjskiego tytoniu i amerykańskiej czekolady, by z paczek jenieckich zrezygnować. Tak więc tym kanałem płynęła istna powódź ukrytego sprzętu ucieczkowego.

Ekwipunek bywał też dostarczany drogą zrzutów lotniczych. Na ten temat zachowała się m.in. relacja plutonowego 13. pułku piechoty Stanisława Żołnierza, leśniczego ze wsi Borsuki pod Puławami. Trafiwszy w 1939 roku do niewoli, uciekł z niej i wrócił z obozu do Polski właśnie dzięki jedwabnym mapom i miniaturowemu kompasowi, zrzuconym przez alianckie lotnictwo na terenie obozu jenieckiego.

Kompas w guziku Polskich Sił Powietrznych

Kompasy ukrywano w guzikach różnych wielkości i z różnymi emblematami. Najczęściej spotykane są guziki z godłami RAF, lotnictwa Kanady i Nowej Zelandii, a także ogólnowojskowe z godłem imperium, Royal Navy, Royal Artillery i Reconnaissance Corps, zazwyczaj z sygnaturami londyńskich firm Gaunt i Firmin oraz Buttons Ltd. z Birmingham. W za-

ledwie kilku egzemplarzach zachował się guzik dla nas najbardziej interesujący, a przeznaczony dla personelu Polskich Sił Powietrznych.

Prezentowany tutaj egzemplarz jest pamiątką po F/Sgt Stanisławie Mamaku, strzelcu pokładowym lancastera PB171 BH-K z 300.

Dywizjonu Bombowego. Mamak, który poległ w nocy z 18 na 19 lipca 1944 roku w nalocie na Zagłębie Ruhry, nie zabrał kompasu na feralny dla siebie lot, lecz pozostawił go w rzeczach osobistych, przekazanych później wdowie. Można przypuszczać, że poleciał w battle-dressie, przy którym na guzik z godłem nie

Fot. Przedruk za: Clayton Hutton, Official secret



► Sposób użycia kompasu zakamuflowanego w postaci skuwki do ołówka



Fot. ze zbiorów autora

było miejsca. Guzik, zgodny z wyglądem zewnętrznym wzoru obowiązującego od września 1940 roku, mający 17,5 mm średnicy i służący do zapinania kieszeni kurtki mundurowej, nosi na odwrocie sygnaturę „J.R. GAUNT & SON LONDON”. Drobnoszwojny gwint lewoskrętny pozwala na rozebranie guzika na dwie części, z których dolna stanowi podstawę kompasu. Konstrukcja samego kompasu jest identyczna jak w przypadku małych guzików RAF pochodzących z firmy Gaunta. Okrągły element magnetyczny z luminescencyjną kropką wskazującą północ luźno spoczywa na igle osadzonej w podstawie, a pierwotnie był zabezpieczony klejonym szkiełkiem o średnicy 6,5 mm. Sposób dopasowania elementów korpusu jest wręcz perfekcyjny – po dokręceniu gwintu linia łączenia jest prawie niedostrzegalna.

Guziki mundurowe PSP o średnicy 17 mm były wytwarzane przez dwa zakłady: Gaunt i Firmin. Zarówno jedno, jak i drugie mają identyczny w szczególności rysunek orła na awersie, co świadczy o użyciu do ich produkcji tego samego narzędzia. Występuje natomiast wiele odmian napisów na rewersach. Guzik z kompasem ma awers identyczny jak wyroby wspomnianych firm, rewers zaś wytoczono z mosiądzu i opatrzone sygnaturą Gaunta, różniącą się od standardo-

wych. Wszystko wskazuje na to, że guzik został wykonany w zakładzie przy Old Kent Road, a przy produkcji wykorzystano standardową blaszkę awersu nabytą od producenta typowych guzików.

Opisywany egzemplarz nie pochodzi z początkowych miesięcy wojny, o czym świadczą wymiary (początkowo ukrywano kompas w większych guzikach, później dopiero zminiaturyzowano je jeszcze bardziej) oraz zastosowanie lewoskrętnego gwintu. Pozostałe znane obecnie guziki PSP są identyczne. Brakuje danych co do liczby wykonanych i wydanych do użytku guzików Polskich Sił Powietrznych z kompasami. W dotychczas opublikowanych wspomnieniach lotników PSP nie ma niestety żadnych informacji o posiadaniu bądź użytkowaniu kompasów ucieczkowych.

Dwa miliony kompasów

W czasie II wojny światowej na zlecenie MI9 wyprodukowano 2 358 853 kompasów różnych typów, w tym 1 301 937 mosiężnych o średnicy pół cala; 500 sztuk z tej liczby zostało ręcznie zaszytych w kołnierzach koszul i pasach żołnierzy brytyjskiej 1. Dywizji Powietrznodesantowej, słynnej „Red Devils”, przed operacją Market Garden. Ponadto wykonano nieznaną liczbę namagnesowanych żyłek, spinek kołnierзовych, skuwek,



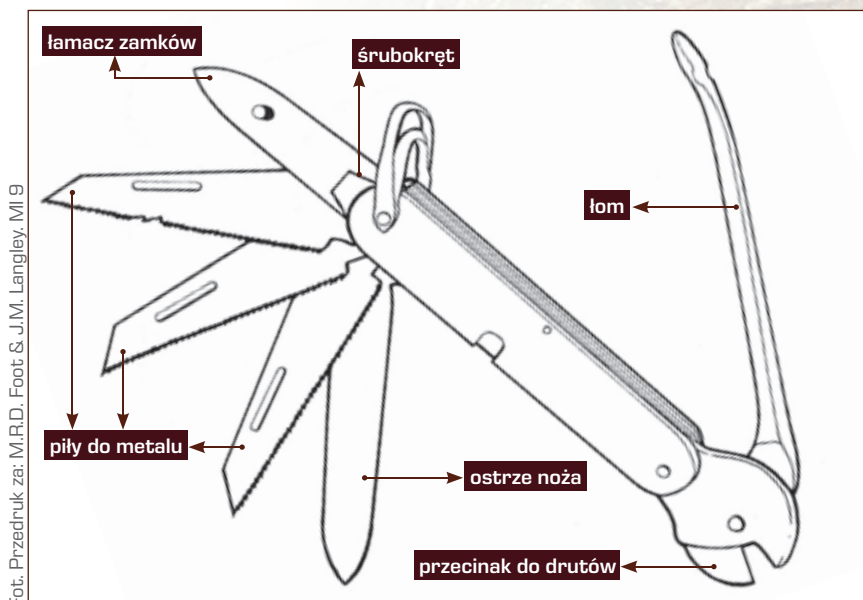
► Guzik od battle-dressu z namagnesowanym wkładem; po powieszeniu na nitce wskazywał kierunek północny

stalówek i innych elementów pełniących funkcję igły kompasowej.

MI9, starając się maksymalnie zakamuflować ekwipunek ucieczkowy, a zarazem dysponując dużą liczbą jego wariantów, dbał o różnorodność dystrybuowania. Sir Basil Embry, późniejszy marszałek lotnictwa, zestrzelony w maju 1940 roku i schwytany przez Niemców, wspominał, że podczas ucieczki dotkliwie odczuwał brak sprzętu. Przez resztę wojny latał wyposażony w cały ekwipunek ucieczkowy, jaki był dostępny, niektóre elementy miał wręcz zdublowane. O zróżnicowaniu sposobów maskowania kompasów mówi też relacja Donalda Nicholsona, byłego sierżanta RAF. Wspominał on o tym, że sam nosił kompas zakamuflowany jako guzik od spodni, a jako pamiątkę po swym poległym przyjacielu przechowywał do dziś guzik z kompasem noszony przy furażerce. Obie relacje potwierdzają duży wpływ indywidualnego podejścia żołnierza do zaopatrzenia się w środki mające pomóc w ewentualnej ucieczce. Podobnie wyglądała sytuacja w lotnictwie amerykańskim. W ankiecie, którą po powrocie wypełniał każdy zestrzelony członek USAAF, figurowało pytanie o to, który z siedmiu typów kompasu ucieczkowego był w jego posiadaniu. 🇺🇸

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego Polskie orły do czapek w latach 1900–1945

Dużą część przytoczonych informacji pochodzi z pamiętników mjr. Claytona Huttona zatytułowanych *Official secret* oraz z pracy *MI9* autorstwa M.R.D. Foota i J.M. Langleya. Z pierwszej z wymienionych pozycji pochodzą niektóre ilustracje, z drugiej zaś dane liczbowe.



Fot. Przedruk za: M.R.D. Foot & J.M. Langley, MI9

► Nóż ucieczkowy projektu Huttona

Głosowanie bez skreśleń

Michał Siedziako

Cykliczne wolne wybory do organów władzy różnego szczebla są jednym z fundamentów państwa demokratycznego. O miejsca w parlamencie i samorządzie rywalizują kandydaci reprezentujący różne partie i programy. Zupełnie inaczej przebiegały wybory w państwach bloku wschodniego.

Socjalistyczne spektakle wyborcze służyły celom zupełnie innym niż wyłonienie reprezentacji społeczeństwa. Chodziło przede wszystkim o stworzenie pozorów legalności władzy, propagandową indoktrynację („upowszechnianie programów partii”) w kampanii wyborczej i powszechną mobilizację w dniu głosowania. Nawet jeżeli w danym kraju działało legalnie kilka ugrupowań politycznych, pod głosowanie była poddawana zawsze tylko jedna lista kandydatów, o której kształcie decydowano w kierowniczych gremiach rządzącej partii komunistycznej.

W PRL początkowo była to lista Frontu Narodowego, przekształcone-

go w 1956 roku we Front Jedności Narodu (FJN), a w latach osiemdziesiątych w Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego (PRON). W 1952 roku, podczas pierwszych wyborów do Sejmu PRL, na liście tej zamieszczono tylko tylu kandydatów, ilu posłów było do wybrania w każdym z okręgów wyborczych. Odpowiadało to sowieckiemu modelowi wyborów „plebiscytarnych” (stosowanemu także w Czechosłowacji i w Bułgarii) i wytworzyło kuriozalną sytuację, w której wszyscy kandydaci zostali „wybrani”. Od 1957 roku listy FJN, a następnie PRON, zawierały już większą liczbę nazwisk kandydatów niż liczba mandatów do obsadzenia. Podobną praktykę stosowano także w niektó-

rych innych krajach ówczesnego bloku wschodniego, np. w NRD i na Węgrzech (podczas gdy np. Czechosłowacja pozostawała przy modelu stosowanym w ZSRR). Wybory takie zwykło się nazywać wyborami „ograniczonego wyboru”, który w istocie był ograniczony do minimum. Decydowała o tym narzucona przez władze praktyka „głosowania bez skreśleń”.

W demokratycznych systemach wyborczych wrzucone do urn czyste karty do głosowania uznaje się zazwyczaj za głosy nieważne. Wyborcy, chcąc udzielić poparcia któremuś z kandydatów, powinni zaznaczyć w odpowiednim polu na otrzymanej od komisji opieczetowanej karcie wyborczej popieraną przez siebie osobę. Głosowanie w państwach tzw. demokracji ludowej było natomiast głosowaniem negatywnym: wyborca wykreślał z listy tych kandydatów, których nie popierał. Głosy niezawierające skreśleń były przyznawane kandydatom zamieszczonym na liście w pierwszej kolejności – odpowiednio do liczby posłów, którzy



mieli zostać wybrani w danym okręgu wyborczym, na tzw. miejscach mandatu. Warto zauważyć, że taki model głosowania wymagał od wyborcy znacznie mniejszego zaangażowania. Wystarczyło otrzymaną w lokalu wyborczym kartę, bez nanoszenia jakichkolwiek znaków czy choćby zapoznania się z jej treścią za kotarą, wrzucić do urny.

W historii PRL zdarzyła się sytuacja, kiedy próbowano odejść od tej praktyki. Było to związane z demokratyzacją deklarowaną w ramach tzw. odwilży w 1956 roku. W kampanii wyborczej przed wyborami do Sejmu PRL w styczniu 1957 roku początkowo zachęcano do głosowania „na najlepszych z listy”. Do partyjnego centrum zaczęły jednak spływać alarmujące meldunki o walce wyborczej między przedstawicielami różnych frakcji w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a także między kandydatami PZPR i Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Donoszono również o planach wykreślenia komunistów z list wyborczych. W tej sytuacji 7 stycznia 1957 roku Biuro Polityczne Komitetu Centralnego

PZPR podjęło decyzję o zmianie strategii i propagowaniu hasła „głosowania bez skreśleń”. Nawoływał do tego osobiście m.in. Władysław Gomułka.

Ten był sekretarz generalny Polskiej Partii Robotniczej, przymocowany instalujący komunistyczne rządy w Polsce, sam stał się ofiarą systemu, w którego budowie uczestniczył. W 1948 roku został odsunięty od realnej władzy za tzw. odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne, a w 1951 roku uwięziony. Kiedy w październiku 1956 roku powrócił do steru rządów na stanowisku I sekretarza KC PZPR, cieszył się niespotykanym wśród peerelowskich dyktatorów poparciem społecznym. Ludzie wiązali z nim nadzieje (jak się okazało, płonne) na głęboką przebudowę ustroju i naprawę liczyli się z jego zdaniem. Tymczasem, nawołując w 1957

roku do głosowania zgodnego z linią partii, stosował on wręcz swoisty szantaż emocjonalny. „Wzwanie do skreślenia kandydatów PZPR z kart wyborczych – ostrzegał w jednym z przemówień – jest równoznaczne nie tylko z wezwaniem do przekreślenia socjalizmu w Polsce. Skreślenie kandydatów naszej partii – to przekreślenie niepodległości naszego kraju, to skreślenie Polski z mapy państw europejskich”. Słowa te nabierają szczególnej wymowy, kiedy pamięta się, że zostały wypowiedziane do społeczeństwa, w którym wciąż bardzo intensywna była pamięć II wojny światowej i życia pod okupacją.



➤ Głosowanie na rozkaz: marynarze Marynarki Wojennej w lokalu wyborczym; Gdańsk, 1957 rok

Ogromne znaczenie miało także zaangażowanie w kampanię Kościoła katolickiego. Na prośbę premiera Józefa Cyrankiewicza, skierowaną do prymasa Stefana Wyszyńskiego, uwolnionego pod koniec października poprzedniego roku, 14 stycznia 1957 roku opublikowano komunikat episkopatu, głoszący, że wzięcie udziału w nadchodzącym głosowaniu jest „obowiązkiem sumienia”. „Nigdy – jak stwierdzili Antoni Dudek i Ryszard Gryz – w całym okresie istnienia PRL, Kościół nie posunął się dobrowolnie tak daleko we wspieraniu jakiegokolwiek akcji politycznej organizowanej przez władze, a tym samym w akceptacji komunistycznego systemu politycznego”. Od tego momentu głosowanie bez skreśleń stało się nieodłącznym elementem peerelowskich wyborów aż do 1985 roku.

Choć Polacy udający się do urn w tym okresie mogli teoretycznie dokonywać pewnego wyboru, skreślając niepopieranych kandydatów z jedynej rejestrowanej listy wyborczej, to korzystali z tego prawa bardzo rzadko. W latach 1957–1985 tylko raz kandydat, który w zamysle władz miał znaleźć się w sejmie, nie otrzymał odpowiednio wysokiego poparcia (ponad 50 proc. głosów) – zdarzyło się tak w 1957 roku w okręgu nr 37 w Nowym Sączu. Wybór w peerelowskich głosowaniach dotyczył więc przede wszystkim tego, czy w ogóle w nich uczestniczyć. Większość społeczeństwa decydowała się jednak na udział w wyborczej farsie. Oficjalne dane na

temat frekwencji przy urnach, choć zawyżane manipulacjami obwodowych komisji wyborczych, z wyjątkiem 1985 roku (kiedy oficjalnie ogłoszona frekwencja wyniosła 78,9 proc., według podziemnej Solidarności zaś – 66 proc.), oscylowały między 94 a 99 proc. Zazwyczaj oddawano przy tym głosy w zgodzie z partyjnymi zaleceniami, a więc jawnie i bez jakichkolwiek ingerencji na kartach wyborczych. Mogło to wynikać z poczucia obywatelskiego obowiązku i chęci faktycznego poparcia rządzących krajem komunistów. Wiele osób szło jednak na wybory pod wpływem propagandy i presji otoczenia lub z obawy przed ewentualnymi represjami.

W tej sytuacji o tym, kto znajdzie się w sejmie, decydowano już podczas układania list wyborczych. Proces ten był skrupulatnie kontrolowany przez aparat PZPR, który projektował skład sejmu zarówno pod względem politycznym, jak i społeczno-zawodowym. Kandydaci byli dokładnie weryfikowani, nie było mowy o jakiegokolwiek przypadkowości. Peerelowscy posłowie pochodzili zatem nie tyle z wyboru, ile z partyjnego mianowania. ■

Michał Siedziako – politolog, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Szczecinie, współredaktor (wraz z Sebastianem Ligarskim) pracy *Wybory i referenda w PRL*

OCENZUROWANO

Czwierć wieku bez cenzury



Czwierć wieku temu, po wyborach czerwcowych, zakończyła się w historii Polski pewna epoka. Nie tylko w wymiarze polityczno-ustrojowym czy społecznym. W wyniku przemian, które wtedy zaszły, kilka miesięcy później, w kwietniu 1990 roku – działalność zakończył Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk. Wreszcie w oficjalnym obiegu mogły zacząć się ukazywać książki opisujące prawdę o Katyniu, łagrach, przejęciu władzy przez komunistów, działalności bezpieki... Historycy uzyskali nieskrępowany dostęp do materiałów źródłowych dotyczących PZPR i jej przybudówek, aparatu represji. Zintensyfikowały się kontakty międzynarodowe. Utworzono nowe instytucje naukowe, muzealne, edukacyjne, które upowszechniają wiedzę i wpływają na kierunki badań naukowych. Na rynku ukazuje się kilkadziesiąt czasopism, a każdego roku pojawiają się tysiące książek historycznych. Często publikacje te wywołują spory, polemiki, a nawet konflikty, które wykraczają daleko poza wewnętrzny obieg środowiska naukowego.

W ćwierćwiecze wolnej Polski postanowiliśmy zapytać grono wybitnych badaczy, która z książek historycznych ostatnich 25 lat stała się – według ich subiektywnego zdania – publikacją przełomową. Która z nich zmieniła spojrzenie na historię, wniosła nowe treści i interpretacje, zmieniła warsztat współczesnych historyków, stała się wzorcem nowoczesnej książki historycznej? Która przekroczyła ramy dyskursu naukowego i wywarła wpływ na polskie społeczeństwo i jego edukację? A może ukazały się książki, które nie przebiły się do szerszego grona czytelników, a ich wartość jest znaczna? Który tytuł – i jego autora – warto w tym rocznicowym czasie przypomnieć i wyróżnić? Oddajmy głos ekspertom i praktykom.



OCENZUROWANO

dr hab. Grzegorz Motyka

profesor Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk,
przewodniczący Rady IPN

Po roku 1989 ukazało się w Polsce wiele książek zastępujących na to, by zaliczyć je do grona ważnych. Wybór tylko jednej, siłą rzeczy, musi mieć charakter subiektywny i wymaga samoograniczenia się do konkretnego pola badawczego. Szczególną popularnością wśród historyków cieszą się dziś dzieje powojennego podziemia. Lekturą obowiązkową dla tych, którzy zajmują się tą problematyką, powinna być rozprawa Rafała Wnuka *Lubelski Okręg AK, DSZ i WiN 1944–1947* (Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2000). Była to jedna z pierwszych monografii podziemia, próbująca uchwycić jego fenomen w sposób całościowy, nieskupiająca się jedynie na działaniach partyzanckich.

Wnuk pokazał, że konspirację wojenną i powojenną należy traktować jako całość: na Lubelszczyźnie wszyscy dowódcy od szczebla komendanta obwodu (powiatu) zaczęli konspirację jeszcze w czasie okupacji niemieckiej. Czytamy: „oddzielanie AK od DSZ i WiN jest równie nienaturalne, jak oddzielanie tejże AK od jej poprzedniczki SZP i ZWZ”. Pomimo ogromnych strat poniesionych w 1944 roku po powstaniu PKWN (3 tys. tylko samych wywiezionych w głąb Związku Sowieckiego) wiosną 1945 roku siły poakowskiej partyzantki w Lubelskiem były większe niż w czasie walk z niemiecką akcją osiedleńczą w 1943 roku. Organizowany opór zbrojny trwał do roku 1947. Na jego

wygaśnięcie wpływ miały nie tylko represje, ale przede wszystkim brak „perspektywy zwycięstwa”. Sfałszowanie referendum w 1946 roku i wyborów do sejmu w roku następnym nie wywołało reakcji państw zachodnich, co było czytelnym sygnałem, że Polska na długi czas będzie w orbicie panowania komunizmu. Dlatego większość członków podziemia skorzystała w 1947 roku z ogłoszonej amnestii. Od tej pory w lesie walczyli jedynie nieliczni, niewidzący innego wyjścia niż dalsza walka z bronią w ręku. O zaciętości walk z komunistami świadczy to, że w czasie wojny okręg stracił 37 oficerów, w latach 1944–1947 aż 100. Rafał Wnuk w oddzielnych rozdziałach opisał między innymi relacje AK/WiN z podziemiem narodowym (uznawanym za bojówkę partyjną), Polskim Stronnictwem Ludowym, Kościołem rzymskokatolickim, a z drugiej strony – z ukraińskim podziemiem, ludowym Wojskiem Polskim, milicją i komunistami. Podjął też problem relacji z Żydami, pokazując, że w poakowskiej partyzantce – mimo rozpowszechnionego mitu żydokomuny – ekscesy antysemickie należały do wyjątków. W książce można odnaleźć mnóstwo nieznanych faktów, np. o rozmowach podziemia z ambasadorem USA (radził, aby unikać starć zbrojnych) czy o wsparciu finansowym, udzielanym przez AK/WiN Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu (na rzecz uczelni przekazano w 1945 roku milion złotych zarekwirowanych w placówkach Rządu Tymczasowego). Ta świetna książka do dziś zachowała aktualność. Nie przypadkiem też jej autor był pomysłodawcą i głównym redaktorem monumentalnego *Atlasu polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956*. ■

prof. Jerzy Eisler

dyrektor Oddziału IPN w Warszawie, kierownik Zakładu Badań nad
Dziejami Polski po 1945 roku w Instytucie Historii PAN

Wśród publikacji ostatniego ćwierćwiecza nie brakuje oczywiście dzieł znakomitych lub choćby tylko kontrowersyjnych, które wywołują żywe dyskusje i polemiki. Książki oznaczające rzeczywisty przełom w nauce (nie tylko zresztą w historiografii) ukazują się jednak nader rzadko. Nie umiem z pełnym przekonaniem powiedzieć, czy tego typu książka z zakresu historii najnowszej ukazała się w Polsce po likwidacji cenzury. Wydaje mi się, że raczej nie, chociaż naturalnie w ciągu minionych 25 lat wydano niemało prac wybitnych i na pewno bardzo potrzebnych. Niektóre z nich stanowią osiągnięcia na skalę światową i gdyby nie bariera naszego języka, z pewnością weszłyby do międzynarodowego dyskursu naukowego. Trudno także wyobrazić sobie, że bez swobodnego dostępu do znajdujących się w Rosji archiwów poradzieckich (na co w realnie przewidywanej przyszłości się nie zanosi) można będzie na dany temat powiedzieć rzeczywiście coś istotnego i mającego walor nowości.

Poza całościowymi autorskimi syntezami najnowszych dziejów Polski (mam tutaj na myśli przede wszystkim opracowania Andrzeja Paczkowskiego i Andrzeja Friszke) chciałbym zwłaszcza wskazać na dwie bardzo wartościowe i z pewnością potrzebne książki, przy czym – co jest zupełnie zrozumiałe – wybór ów ma charakter subiektywny i związany jest w dużym stopniu z moimi zainteresowaniami badawczymi. Mam tutaj na myśli – w kolejności ich opublikowania – monografie autorstwa Andrzeja Paczkowskiego: *Droga do „mniejszego zła”. Strategia i taktyka obozu władzy, lipiec 1980 – styczeń 1982* oraz Antoniego Dudka: *Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988–1990*. Łączy je to, że obie zamykają pewien – na pewno więcej niż wstępny – etap badań i zarazem stawiają ważne pytania badawcze, które wyznaczają kierunki przyszłych studiów w tym zakresie tematycznym. Godne podkreślenia jest to, że jednocześnie – co jest może szczególnie istotne dla młodych peerelistów – wyznaczają naukowe standardy badawcze i mogą stanowić wzorzec historycznego pisania o najnowszej historii Polski. ■

Tysiące przedmiotów ukrytych pod ziemią

Tomasz Sudol, Piotr Wiejak

Przypadkowe odkrycie zapoczątkowało prace archeologiczne na terenie byłego obozu jeńców wojennych koło Olsztyńka i pozwoliło na godne upamiętnienie tego miejsca.

Kiedy rozpoczynano prace związane z budową drogi S7 na odcinku Olsztynek – Nidzica, nikt nie spodziewał się problemów. W przetargu wyłoniono wykonawców i budowa ruszyła zgodnie z planem. Na początku 2011 roku prace ziemne zostały jednak wstrzymane po interwencji archeologa sprawującego nadzór nad inwestycją. Okazało się, że maszyny budowlane naruszyły architektoniczne pozostałości Stalagu I B Hohenstein, do tej pory ukryte pod ziemią. Na hałdach znalazły się przedmioty należące niegdyś do jeńców wojennych i internowanych żołnierzy. Stało się tak, chociaż lokalizacja obozu była znana – także dzięki tablicy umieszczonej w sąsiedztwie.

Ponad sześćdziesiąt lat od likwidacji obozu jego historia powróciła. Po wstrzymaniu prac budowlanych kolejny



Fot. Henryk Domagała

► Fragment niemieckiego talerza, prawdopodobnie ze stołówki wartowników

przetarg wyłonił wykonawcę ratowniczych badań wykopaliskowych. Została nim Pracownia Archeologiczno-Konserwatorska Aliny Jaszewskiej z Zielo-

nej Góry. Prace rozpoczęły się w lipcu 2011 roku, a kierował nimi archeolog Hubert Augustyniak. Pierwszy etap obejmował obszar 27 arów, znajdujący się bezpośrednio w zasięgu planowanej drogi. Na tym terenie odsłonięto pozostałości fundamentów pomieszczeń, które przez badaczy zostały zinterpretowane jako pralnia. Nieco dalej na północny wschód zlokalizowano relikty drugiego budynku: łaźni lub pomieszczeń służą-



Fot. Piotr Wiejak

► Ampułki ze środkami medycznymi

cych do dezynfekcji. Wraz z postępem prac badacze mogli się przekonać, że był to budynek nietypowy architektonicznie (dwa bloki powiązane łącznikiem), który służył jako pomieszczenie techniczne przeznaczone na urządzenia grzewcze (odsłonięto w tym miejscu m.in. pozostałości pieców). Łącznikiem biegły dwa równoległe kanały prowadzące do bloków zachodniego i wschodniego. W tym drugim bloku wciąż można było wyróżnić piwnice (dochodzące do 2 metrów głębokości), zachowała się nawet duża część betonowej posadzki.

Obszar prac archeologicznych obfitował również w znaleziska ruchome, w tym liczne przedmioty codziennego użytku: talerze, butelki, guziki cywilne



Fot. Piotr Wiejak

► Pozostałości obozowej infrastruktury sanitarnej

Fot. Piotr Wiejak



► Przedmioty codziennego użytku wydobyte ze śmietnika

oraz wojskowe, a także żołnierskie znaki identyfikacyjne, tzw. nieśmiertelniki.

Od września 2011 roku badaniom archeologicznym podlegał pozostały teren, nielegający bezpośrednio na terenie inwestycji drogowej. Tutaj również udało się odnaleźć pozostałości obozowej infrastruktury oraz wiele przedmiotów osobistych należących do więźniów, takich jak ustniki i cybuchy fajek (głównie drewnianych), monety, guziki, obuwie (całe i we fragmentach), liczne butelki szklane – pochodzące w dużej mierze z lokalnych browarów (np. Hohenstein, Allenstein) – czy wreszcie elementy zastawy stołowej: misy, kubki, talerze opatrzone często swastyką, godłem III Rzeszy bądź znakiem Reichsarbeitsdienstu (RAD). Wśród tych prostych naczyń znalazły się także



Fot. Piotr Wiejak

► Na terenie obozu znaleziono m.in. medalik...

przedmioty bogato zdobione, co sugeruje, że pochodzą one spoza obozu. Również i tutaj odkryto nieśmiertelniki. W większości zostały one wybite na miejscu, zawierają nazwę obozu, literę oznaczającą przynależność narodową oraz numer jeńcy. Na tym tle wyróżniają się nieśmiertelniki radzieckie, mające formę ebonitowych pojemniczków ze spisanimi w środku na cienkiej karteczce danymi żołnierza. Łącznie odkryto około 12 tys. przedmiotów, które po selekcji i konserwacji przeznaczono do planowanego przez gminę Olsztynek muzeum poświęconego Stalagowi I B. Placówka będzie się mieścić w miejskim ratuszu. Prace adaptacyjne powinny zostać ukończone jeszcze w tym roku.

Dopiero nieplanowane naruszenie struktur dawnego obozu stało się impulsem do jego upamiętnienia. Sąsiedztwo obozu jenieckiego i monumentalnego mauzoleum Hindenburga (Hindenburg-Denkmal, rozebrany po wojnie) – symboli z jednej strony zniewolenia, a z drugiej niemieckiego nacjonalizmu i oręża – pokazuje bogactwo historii oraz jej

Fot. Piotr Wiejak



► ...i stalówkę wiecznego pióra

Hohenstein

Od września 1939 roku na terenie miejscowości Königsgut (dziś Królikowo), ok. 500 metrów od mauzoleum marszałka Paula von Hindenburga, działał obóz przejściowy dla jeńców wojennych (Durchgangslager K). Już w październiku tego samego roku został przekształcony w obóz jeniecki dla szeregowych (Stalag I B), nazywany też stalagiem Hohenstein – od pobliskiego miasteczka Hohenstein (obecnie Olsztyn).

Pierwsi trafili tam żołnierze Wojska Polskiego, którzy dostali się do niewoli w trakcie walk wrześniowych (m.in. obrońcy Warszawy), oraz jeńcy cywilni, zagarnięci do niewoli przez Wehrmacht. 20 października 1939 roku w obozie znajdowało się 18 276 szeregowych, 11 oficerów i 1413 jeńców cywilnych. Pierwszą zimę spędzili głównie w namiotach wojskowych. Później przenieśli się do baraków, wznoszonych własnoręcznie aż do wiosny 1941 roku. Już jesienią 1939 roku większość polskich jeńców została skierowana do oddziałów roboczych, pracujących na potrzeby rolnictwa i przemysłu. Od 1940 roku w stalagu Hohenstein przebywali także jeńcy z innych krajów. Według ustaleń historyka i archiwisty Zygmunta Lietza, w czasie II wojny światowej przez obóz przeszło 65–70 tys. jeńców francuskich, 20 tys. polskich, ponad 100 tys. radzieckich, 10 tys. belgijskich i 12 tys. internowanych żołnierzy włoskich. Hohenstein funkcjonował do stycznia 1945 roku. Ofiarami obozu były tysiące jeńców wojennych, którzy zmarli tu głównie w wyniku fatalnych warunków sanitarnych, kwatrukowych, żywnościowych oraz epidemii i innych chorób. Bliżej nieokreślona liczba jeńców padła ofiarą zbrodni wojennych popełnionych na terenie obozu (zdarzały się zabójstwa i przypadki zastrzelenia jeńców przy próbie ucieczki).

przewrotność. Kult dowódcy spod Tannenbergu z 1914 roku upadł wraz z klęską III Rzeszy. Dzięki badaniom archeologicznym powróciła na nowo pamięć o ofiarach wojennych. ■

Tomasz Sudol – historyk, pracownik Wydziału Badań Naukowych Biura Edukacji Publicznej IPN, autor książki *Poligon Wehrmachtu „Południe” 1940–1944* (2009)

Piotr Wiejak – archeolog, pracownik Sekcji Notacji i Opracowań Multimedialnych BEP IPN



Fot. Andrzej Szafranski

Ciemność w trzech językach

Sylvia Szafrńska

Czas – setna rocznica wybuchu I wojny światowej w 1914 roku. Miejsce – położony w województwie warmińsko-mazurskim Wielbark, w którego okolicach rozegrała się pierwsza z wielkich bitew tamtej wojny. Wszystko to splotło się z pomysłem i pasją artysty, by mogła powstać zapadająca w pamięć instalacja.

Prezentowana przez Krzysztofa Findzińskiego instalacja *1914 – Lazaret pamięci. Ciemność. Dunkelheit. Mpak* mieści się w nieczynnym od kilkudziesięciu lat kościele ewangelicko-augsburskim, zaprojektowanym przez Karola Fryderyka Schinkla w stylu neoromańskim. Niestety, piękno starego wnętrza jest skażone: rytm arkadowych kolumn zakłócają wzmacniające płomby i wspierające konstrukcję metalowe wsporniki, spod splekanych tynków wyziera czer-

wona cegła. Jednak zniszczone i огоłocone wnętrze dawnego kościoła, w którym podczas bitwy pod Tannenbergiem mieścił się szpital wojskowy, sprzyja intencjom artysty i czyni z dawnej świątyni ów lazaret, w którym dziś pielęgnuje się pamięć. Wnętrze wypełnia mrok, na jednym z podwieszonych do pułapu banerów powiększone do wymiarów 5x3 m zdjęcie lazaretu z 1914 roku. Z pozostałych spoglądają postaci jeńców rosyjskich uwiecznione na wydanych wówczas przez Niemców pocztówkach

propagandowych. Uzupełnione przez artystę o czerwone, krwiste tła i zamglone zarysy drzew, stawiają tych żołnierzy w swoistym apelu rannych i poległych. Obrazy te zmuszają do refleksji: uświadamiają okrucieństwo wojny, zagubienie i samotność ludzi wpłątanych w jeden z jej epizodów. Często wpłątanych wbrew swej woli i przekonaniom. Bo chociaż na obrazach w wielbarskim kościele widzimy żołnierzy w nienawistnych każdemu Polakowi mundurach zaborcy, chociaż lazaret służył żołnierzom dwóch wro-

gich armii – kajzerowskich Niemiec i carskiej Rosji, to powinniśmy pamiętać, że w szeregach obu tych armii, także w tej bitwie, znajdowali się Polacy. Podczas całej I wojny światowej w trzech armiach zaborczych (Austro-Węgier, Niemiec i Rosji) służyło ok. 3,5 mln Polaków, z czego pół miliona zginęło. Ilu w bitwie pod Tannenbergiem, w której 30 tys. żołnierzy w mundurach rosyjskich i ok. 10 tys. w niemieckich uznano za zabitych lub zaginionych?

Właśnie udział Polaków w wydarzeniach sprzed stu lat jest jednym z powodów, dla których podtytuł wystawy: *Ciemność. Dunkelheit. Mpak* jest w trzech językach. A jedną z intencji autora instalacji jest pojechanie, pokazanie, że na wojennych cmentarzach obok siebie leżą wierni katolicy, prawosławni i protestanci. Stąd też wywodzi się idea odprawienia przy okazji wernisażu nabożeństwa ekumenicznego, pomysł, którego niestety nie udało się zrealizować.

Równość w obliczu losu widzimy jednak w instalacji. Na zimnym betonie podłogi, w równych rzędach stoją wypełnione ziemią błyszczące, czarne worki na śmieci, w każdym z nich pali się świeczka. Czy ku pamięci tych, którzy odeszli? Każdego zgaszonego życia, które – tak jak polegli w bitwie, zmarli z ran w tym kościele czy wzięci do nie-



Fot. Andrzej Szafranski

► W zaprojektowanym przez Fryderyka Schinkla budynku mieścił się kościół ewangelicko-augsburski, w czasie I wojny szpital wojskowy, a od sierpnia 2014 roku można w nim oglądać instalację *Lazaret pamięci. Ciemność. Dunkelheit. Mpak*

woli – było na tej ziemi obce i porzucone? Sam autor tłumaczy, że istotą jego instalacji jest droga, która powstała z ziemi zebranej z miejsc, gdzie toczyły się walki, wsypana do śmieciowych worków, bez właściwości, dopóki się jej nie na-

zwie. Impulsem do realizacji wystawy było dla Findzińskiego – artysty, ale także miłośnika historii i militariów – wnętrze kościoła, w którym rozgrywały się wydarzenia sprzed stu lat, a który nie pełni obecnie żadnych funkcji religijnych. – Kiedy się znalazłem we wnętrzu tego kościoła, poznałem je, to poczułem, że właśnie tu trzeba to wszystko pokazać – mówi Krzysztof Findziński.

Uzupełnieniem wystawy są tablice przedstawiające nie tylko przebieg bitwy pod Tannenbergiem (26–30 sierpnia 1914 roku), lecz także wydarzenia poprzedzające ją i następujące po niej. Część merytoryczną opracował lokalny historyk, Sławomir Ambroziak. Dodatkowo instalację uzupełniają pocztówki z okresu I wojny światowej ze zbiorów Witolda Olbrysia. Wystawę zorganizowali wójt gminy Wielbark Grzegorz Zapadka i starosta szczycieński Jarosław Matłach. Otwartą 24 sierpnia instalację będzie można oglądać jeszcze przez co najmniej kilka miesięcy. 🍷

Sylvia Szafrńska – absolwentka Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie



Fot. Andrzej Michalik

► Krzysztof Findziński filmuje wydarzenia towarzyszące otwarciu wystawy



Fot. Andrzej Michalik

Kamienie pamięci: w tym roku duchowni

Karol Usakiewicz

Znajdź księży, zakonników i siostry zakonne lub inne osoby konsekrowane – bohaterów walczących o godność człowieka, wiernych idei niepodległości, w sprzeciwie wobec totalitaryzmów (1939–1989).

„Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj” – takie jest motto szóstej już edycji projektu edukacyjnego „Kamienie pamięci”. Słowa apostoła Pawła mogą okazać się cenną podpowiedzią, ułatwiającą uczestnikom wybór bohatera. W sylwetkach postaci, które na trwałe zapisały się w historii Polski – świętych Jana Pawła II, Maksymiliana Marii Kolbego, błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszki czy kard. Stefana Wyszyńskiego – bardzo wyraźnie dostrzeżemy realizację tej dewizy. Zapraszamy licealistów, gimnazjalistów i uczniów szkół podstawowych do odszukania i upamiętnienia bohaterów, których nazwisk nie odnajdziemy w opracowaniach historycznych ani podręcznikach. „Zwykły ksiądz” albo „skromna siostra zakonna”, osoby duchowne żyjące i działające w środowisku lokalnym w latach 1939–1989, mogą okazać się najlepszymi wykonawcami wezwania św. Pawła.

Każdy z bohaterów, podobnie jak w poprzednich edycjach projektu, zostanie upamiętniony wirtualnym kamieniem na mapie przygotowanej na stronie www.pamiec.pl/kamienie_pamieci.

Projekt nie ogranicza się do autorytetów wyznania rzymskokatolickiego. Pragniemy zwrócić uwagę również na przewodników duchowych innych wyznań chrześcijańskich, a także innych religii, których misja polegała na służbie lokalnym społecznościom, wierności ojczyźnie, obronie godności ludzkiej i sprzeciwie wobec totalitaryzmów.

Mamy nadzieję, że rezultatem projektu będzie odkrycie i uhonorowanie takich bohaterów oraz upowszechnienie wiedzy o nich w artykułach, filmach, na stronach internetowych, wystawach bądź tablicach pamiątkowych.

W projekcie mogą wziąć udział: młodzież szkolna, drużyny i zastępy harcerskie, koła naukowe, grupy rekonstrukcyjne lub koła kombatanatów, a także uczestnicy indywidualni – pasjonaci historii najnowszej. Zgłoszenia przyjmujemy do 30 stycznia 2015 roku. Kartę zgłoszenia, szczegółowe informacje i materiały można pobrać na stronie internetowej www.pamiec.pl/kamienie_pamieci.

Uczestnik (albo grupa uczestników) wybiera zasłużoną w walce z totalitaryzmami, związaną z regionem osobę duchowną, następnie opracowuje jej portfolio, upowszechnia wiedzę o bohaterze (forma dowolna – np. film, wystawa, strona internetowa).



Następnie należy zgłosić projekt upamiętnienia postaci lokalnym władzom samorządowym i przesłać materiały na stronę internetową oraz raport końcowy ze wskazaniem wykorzystanych źródeł.

Termin wykonania zadań przez uczestników oraz przesłanie wymaganej dokumentacji przewidujemy na koniec marca 2015 roku. Finał projektu, koordynowanego przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku, odbędzie się w maju 2015.

Uczestnicy projektu mogą liczyć na pomoc Biura Edukacji Publicznej IPN i jego oddziałów regionalnych: nasi naukowcy mogą na każdym etapie udzielić wskazówek dotyczących odnajdywania dodatkowych informacji. Umożliwimy eksponowanie prac na naszej stronie internetowej i ułatwimy dostęp do materiałów pomocniczych.

Każdy z uczestników projektu otrzyma dyplom poświadczający udział w akcji upamiętniania osób duchownych, autorytetów moralnych okresu zniewolenia totalitarnego 1939–1989. ■

Karol Usakiewicz – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku

► Siostra Barbara Kraciuk z żydowską dziewczynką Alfredą Baruszyńską, ukrywaną w czasie II wojny światowej



Dokumenty zbrodni

Instytut Pamięci Narodowej przygotował drugi tom dokumentów poświęcony okolicznościom porwania ks. Jerzego Popiełuszki i procesowi jego zabójców (tom pierwszy ukazał się w 2009 roku). Obecna publikacja składa się przede wszystkim ze 198 dokumentów, z których zdecydowana większość to protokoły przesłuchań świadków oraz oskarżonych w prowadzonym od 23 października 1984 roku przez funkcjonariuszy Biura Śledczego MSW dochodzeniu w sprawie zabójstwa żoliborskiego kapłana. W opracowaniu znajduje się również aneks, m.in. z bardzo ciekawym dokumentem – planem czynności śledczych grupy operacyjno-śledczej Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Toruniu w sprawie zaginięcia ks. Jerzego Popiełuszki. Z tego dokumentu możemy poznać treść zeznań głównego świadka, czyli Waldemara Chrostowskiego, z pierwszych godzin po uprowadzeniu ks. Jerzego. Jedynie część z tych dokumentów jest szerzej znana dzięki obszernej publikacji Petera Rainy, wydanej w 1986 roku w Londynie (*Ks. Jerzy Popiełuszko. Męczennik za wiarę i ojczyznę*). W jego pracy znalazły się jednak tylko te dokumenty ze śledztwa, które zostały włączone przez sąd toruński do przebiegu procesu zabójców kapłana z początku 1985 roku. Sąd, z powodów pozamerytorycznych, zrezygnował z przesłuchania ważnych świadków, jak np. sekretarki Grzegorza Piotrowskiego, pracującej w MSW, czy sąsiadki zmieniającej zeznania z korzystnych na niekorzystne dla głównego oskarżonego. Ponadto – w odróżnieniu od omawianej publikacji Jakuba Gołębiewskiego – praca Petera Rainy była pozbawiona aparatu naukowego, w tym przypisów tak rzeczowych, jak i osobowych.

Postać błogosławionego księdza Jerzego, gdy spojrzymy na nią z perspektywy trzydziestej rocznicy jego męczeńskiej śmierci, nie budzi dziś żadnych kontrowersji. Nikt przytomny nie próbuje kontynuować narracji o kapłanie Solidarności w stylu artykułów Jerzego Urbana (podpisującego się pseudonimem Jan Rem) czy jego konferencji prasowych z lat osiemdziesiątych. Nie spotykamy się dziś z publi-

kacjami, które czyniłyby z księdza Jerzego „polityka” prowadzącego jakąś grę z władzą i o władzę. Jednocześnie trzeba sobie powiedzieć, że o ile życie i działalność żoliborskiego kapłana zostały opracowane w sposób zadowalający, o tyle okoliczności jego męczeńskiej śmierci do dziś pobudzają do refleksji i sporów historycznych. Impulsem do dalszych poszukiwań w tej materii stały się ustalenia i hipotezy publicznie wypowiedziane przez prokuratora Andrzeja Witkowskiego oraz dziennikarza śledczego Wojciecha Sumlińskiego. Czy zatem ksiądz Jerzy został zamordowany przez funkcjonariuszy SB na czele z Grzegorzem Piotrowskim, czy też ukarani za tę zbrodnię osłaniali podczas procesu toruńskiego rzeczywistych sprawców mordu?

Publikacja IPN nie rozwiązuje tych dylematów i sporów, choć przybliżyła nas do poznania kolejnych tajemnic. Szczególnie ważne z tego punktu widzenia i przełomowe wydaje się wyjaśnienie głównego oskarżonego Grzegorza Piotrowskiego, zawarte w protokole z 3 listopada 1984 roku (dokument 73). Wyjaśnienia

Piotrowskiego, m.in. obciążające zwierzchnika, Adama Pietruszkę, spowodowały włączenie do śledztwa, a następnie do aktu oskarżenia wątku sprawstwa kierowniczego. To właśnie wówczas, podczas tego przesłuchania, padły informacje dotyczące zezwolenia przez zwierzchników Piotrowskiego na zastosowanie fizycznych represji wobec ks. Jerzego od grudnia 1983 roku, w celu jego zastraszenia lub – jak się stało – zamordowania.

Tom II tak bardzo potrzebnej publikacji o działaniach szeroko rozumianego aparatu represji wobec ks. Jerzego spełnia oczekiwania badaczy. Dzięki solidnej pracy redaktora Jakuba Gołębiewskiego otrzymujemy nie tylko kolejną porcję wiedzy dotyczącej dynamiki zmian zachodzących w toku śledztwa, lecz także – w przypisach – garść nowych informacji o ludziach tworzących komunistyczne „służby sprawiedliwości”. 📌

Jan Żaryn



Aparat represji wobec księdza Jerzego Popiełuszki 1984, t. 2: Śledztwo w sprawie uprowadzenia i zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki, wstęp i oprac. Jakub Gołębiewski, IPN, Warszawa 2014

Rusza nowy portal obozdwochtotalitaryzmow.pl

Strona internetowa dokumentuje historię **obożu w Jaworznie**. W 1943 roku Niemcy utworzyli tam **obóz Neu-Dachs**, filię KL Auschwitz. W tym samym miejscu w 1945 roku komuniści zorganizowali Centralny Obóz Pracy, w którym do 1949 roku przetrzymywano m.in. żołnierzy AK, Niemców, Ukraińców i Łemków. Dwa lata później przekształcono go w Centralne Więzienie dla Młodocianych Więźniów Politycznych. Obóz w Jaworznie funkcjonował do 1956 roku – najdłużej na ziemiach polskich.

Portal jest podzielony na trzy części, odpowiadające kolejnym etapom funkcjonowania obozu. Można w nich znaleźć film dokumentalny, wizualizacje, artykuły, wywiady z byłymi więźniami obozu, niepublikowane do tej pory zdjęcia.

Portalowi patronują prezes IPN oraz sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Przedsięwzięcie dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski w ramach programu Patriotyzm Jutra.

Galeria dyktatorów

Kiedy przed kilkoma miesiącami umawiałem się z prof. Jerzym Eislerem na dyskusję o jego najnowszej książce *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR*, zaproponowałem mu przeprowadzenie pewnego doświadczenia. Poprosiłem mianowicie, aby przygotował listę rankingową siedmiu bohaterów swojej książki, poczynając od tego, którego ocenia najwyżej. Przed debatą (jej przebieg można obejrzeć na stronie pamięć.pl w zakładce IPN TV) sporządziłem własną listę. Postanowiłem bowiem poprowadzić dyskusję wokół przyczyn dzielących nas różnic w ocenie poszczególnych przywódców Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Celowo nie sprecyzowaliśmy kryteriów oceny, uznając, że zaburzyłoby to spontaniczność naszych wyborów i kryjące się za nimi intencje. Gdy porównaliśmy nasze listy, okazało się, że są dość podobne. Obaj wystawiliśmy najwyższą ocenę Mieczysławowi Rakowskiemu, a najniższą Bolesławowi Bierutowi. Najistotniejsza różnica dotyczyła oceny dwóch najdłużej rządzących Polską przywódców PZPR, czyli Władysława Gomułki i Edwarda Gierka. Ja oceniłem wyżej „Wiesława”, prof. Eisler zaś Gierka. Przyczyny tej różnicy szybko się wyjaśniły. Okazało się, że dla mnie najważniejszym kryterium był poziom niezależności od Moskwy, a dla mojego rozmówcy liczba ofiar rządów danego towarzysza.

„Gierek bez wątpienia był dyktatorem, choć na pewno w porównaniu z ówczesnymi przywódcami innych państw bloku radzieckiego [...] mniej surowym i apodyktycznym”. Trudno się z tą opinią autora nie zgodzić, choć trzeba równocześnie pamiętać, że Gierek mógł być „liberalny” przede wszystkim dlatego, że brudną robotę polegającą na atomizacji i indoktrynacji społeczeństwa polskiego wykonali za niego poprzednicy, a z kolei „sprzątać” po nim musiał – wprowadzając stan wojenny – Wojciech Jaruzelski. Gierek miał po prostu największe spośród wszystkich pierwszych sekretarzy szczęście i trafił na wyjątkowo dobrą koniunkturę tak międzynarodową, jak i wewnętrzną.

Nie ulega jednak dla mnie wątpliwości, że to właśnie rozdział o Gierku wywołał u czytelników wychowanych na jego micie czy też hagiografii autorstwa Janusza Rolickiego największe oburzenie. Profesor Eisler bezlitośnie obnażył bowiem liczne kłamstwa, z których została utkana biografia „dużego Edwarda”, jak go nazywano w latach siedemdziesiątych na korytarzach Komitetu Centralnego PZPR w odróżnieniu od niskiego wzrostem Edwarda Babiucha. Bodaj najbardziej spektakularne było uporczywie podtrzymywane przez Gierka kłamstwo na temat jego rzekomej nieobecności na posiedzeniu Biura Politycznego w grudniu 1970 roku, na którym zdecydowano o podwyżce cen. Gierek twierdził tak nawet po opublikowaniu protokołu z tego posiedzenia, na którym nie tylko był obecny, ale i zabierał głos.

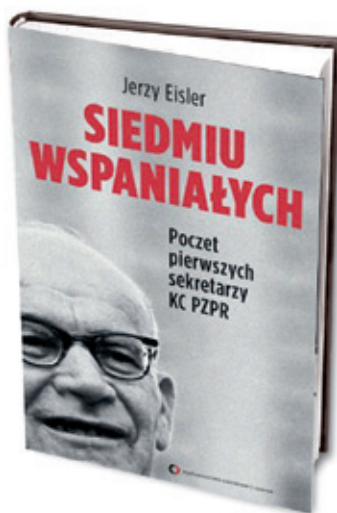
Galerię komunistycznych dyktatorów, których portrety wprawna ręką nakreślił Jerzy Eisler, można porządkować na różne sposoby. W książce zostali ustawieni – i słusznie –

w kolejności sprawowania władzy. Oczywiście kryterium chronologiczne nie uchroniło autora od konieczności powtarzania pewnych informacji w kolejnych szkicach, ale poradził on sobie z tym problemem bardzo dobrze. Dzięki potoczystemu językowi i imponującej znajomości tematu udało mu się napisać książkę, która łączy w sobie czytelniczą atrakcyjność z informacyjnym bogactwem. Oczywiście każdy z siedmiu bohaterów publikacji Eislera zasługuje na samodzielną biografię, ale nawet gdy one powstaną, jego praca nie straci na atrakcyjności. Umożliwia bowiem krzyżowe spojrzenie na historię PRL przez pryzmat dróg życiowych siedmiu komunistów, którzy zdołali się wspiąć na sam szczyt partyjnej hierarchii.

Historia tej wspinaczki była w każdym przypadku nieco inna. Czasem decydowała o tym wola Kremla (co szczególnie wyraźne było w przypadku Bieruta i Gierka), niekiedy zaś układ sił partyjnych frakcji (Ochab i Kania) albo też głęboki kryzys wewnętrzny (Jaruzelski i Rakowski). Tylko raz, niezależnie od kryzysowego kontekstu roku 1956, I sekretarzem KC PZPR został samodzielny i popularny wówczas w społeczeństwie polityk, czyli Władysław Gomułka. Oczywiście tak olbrzymia popularność wynikała w dużym stopniu z poczucia braku szans na większe zmiany, co szybko zostało przypieczętowane dramatem powstania węgierskiego. A jednak Gomułka wydaje mi się centralną postacią książki Eislera, a to, że poświęcony mu rozdział jest najdłuższy w całej książce, wydaje się świadomą, dobrze umotywowaną decyzją. Gomułka jest najważniejszy z kilku powodów. Po pierwsze, rządził najdłużej. Po drugie, to właśnie on, wraz z Bierutem, stworzył w drugiej połowie lat czterdziestych fundamenty systemu, które pozostały w większości niezmiennie aż do końca istnienia PRL. Po trzecie wreszcie, pokazał – prowadząc jako jedyny ograniczoną grę z Kremlm – jakim marginesem niezależności dysponowali realnie przywódcy PZPR. Mimo licznych wad i obsesji, trafnie opisanych przez Eislera, stworzył punkt odniesienia dla pozostałych sekretarzy. W zestawieniu z Gomułką najgorzej wypadają w moim przekonaniu Bierut i Jaruzelski. O ile Gomułka potrafił się przeciwstawić Chruszczowowi w październiku 1956

roku, wiedząc już o sowieckich czołgach idących na Warszawę, o tyle Jaruzelski sondował w 1981 roku możliwość wsparcia z ich strony na wypadek niepowodzenia operacji wprowadzenia stanu wojennego.

Książka prof. Eislera to nie tylko kolejna ważna pozycja w dorobku tego znakomitego historyka. To także wyzwanie dla przyszłych biografów opisanych przez niego postaci, którzy tworząc swoje prace, będą musieli się odnieść do jego ustaleń, a także licznych hipotez i pytań, które stawia w swojej publikacji. Przede wszystkim jest to jednak znakomity prezent dla wszystkich czytelników zainteresowanych epoką PRL. Bo choć książek na ten temat nie brakuje, to niewiele jest takich jak *Siedmiu wspaniałych*, łączących znakomity styl z naukowym profesjonalizmem oraz przebijającą z niemal każdej strony pasją badawczą autora. ■



Jerzy Eisler, *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR*, Wydawnictwo Czerwone i Czarne, Warszawa 2014, 560 s.



■ Leszek Biernacki, *Gdy wieje wiatr historii... Studenci z robotnikami, Gdańsk 1976-1980*, IPN, Warszawa 2014, 470 s.



■ Robert Ciupa, Bogusław Tracz, *Marzenia z betonu. Codziennosc w latach siedemdziesiatych na Gornym Slasku*, IPN, Katowice 2014, 220 s.



■ Malwina Garyga, *Dekada agonii. Komitet Krakowski PZPR w swietle materialow partyjnych 1981-1990*, IPN, Warszawa 2014, 272 s.



■ *Glogow w latach 1945-1990. Studia z dziejow miasta*, red. R. Klementowski, K. Szwagrzyk, IPN, Wrocław 2014, 152 s.



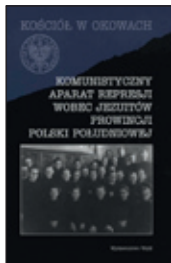
■ Janusz Kurtyka, *Rzeczypospolitej historia i urzednik*, red. W. Bukowski, W. Frazik, IPN, Wydawnictwo Arcana, Krakow 2014, 295 s.



■ Marek Jedynak, *Niezalezni kombataneci w PRL. Srodowisko Swietokrzyskich Zgrupowan Partyzanckich Armii Krajowej, Ponury, Nurt (1957-1989)*, Wydawnictwo BARBARA, IPN, Kielce - Krakow 2014, 566 s.



■ Jakub Kazimierski, *PZPR w wojewodztwie katowickim wobec NSZZ „Solidarnosc” w latach 1980-1982*, IPN, Katowice 2014, 360 s.



■ *Komunistyczny aparat represji wobec jezuitow w Wojewodztwie Poludniowej*, red. A.P. Bies SJ, F. Musial, IPN, Wydawnictwo WAM, Krakow 2014, 379 s.



■ *Komuniści w miedzywojennej Warszawie*, red. E. Kowalczyk, IPN, Warszawa 2014, 496 s.



■ Krzysztof Kosiński, *Wiwisekcja powszednosc. Studium wczesnej tworczości Marka Nowakowskiego (1957-1971)*, IPN, Warszawa 2014, 560 s.



■ Władysław Krzyściak, *Wśród wojennej nawałnicy. Wspomnienia oficera z lat 1939-1945*, oprac. Ł. Borkowski, A. Kondracki, W. Krupa, J. Łabowicz, wstęp W. Krupa, IPN, Katowice 2014, 510 s.



■ *Lodz Ghetto / Litzmansstadt Getto 1940-1944*, red. J. Baranowski, S. M. Nowinowski, IPN, Lodz 2014, 287 s.



■ *Między ideologią a socjotechniką. Kwestia mniejszości narodowych w działalności władz komunistycznych - doświadczenie polskie i środkowo-europejskie*, red. M. Semczyszyn, J. Syrnay, IPN, Warszawa - Szczecin - Wrocław 2014, 606 s.



■ Oskar Halecki i jego wizja Europy, red. M. Dąbrowska, t. 2, IPN, Warszawa - Łódź 2014, 296 s. + 22 s. wkł. il.



■ Elżbieta Rączy, *Zagłada żydowskiej ludności Holandii w KL Auschwitz-Birkenau w latach 1942-1945*, IPN, Wydawnictwo Exemplum, Uniwersytet Rzeszowski, Poznań - Rzeszów 2013, 318 s.



■ Kazimierz Sakowicz, *Dziennik 1941-1943*, IPN, Warszawa 2014, 125 s.



■ Mirosław Szumiło, *Roman Zambrowski 1909-1977. Studium z dziejów elity komunistycznej w Polsce*, IPN, Warszawa 2014, 527 s. + 16 s. wkł. il.



■ *Wczoraj i dziś. Z dziejów Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce północno-wschodniej*, red. W. Brenda, A. Pyżewska, K. Sychowicz, IPN, Białystok 2014, 230 s.

Institut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7
Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA ul. Marszałkowska 21/25, 00-628 Warszawa
poniedziałek - piątek w godz. 10:00-18:00,
sobota w godz. 9:00-14:00, tel. 22 576 30 05

Prenumerata „Pamięci.pl”
Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji
zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 431 82 92, 22 431 82 88;
22 431 82 89; faks 22 431 82 91
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.pocztytaj.pl

ZAPAL. ZNICZ PAMIĘCI 26 X

OD PIERWSZEGO DNIA AGRESJI NIEMIECKIEJ W 1939 ROKU TERROR I EGZEKUCJE BYŁY CODZIENNĄ DOŚWIADCZENIEM POLAKÓW W WIELKOPOLSCE, NA POMORZU, KUJAWACH, ŚLĄSKU I ZIEMI ŁÓDZKIEJ. NIEMCY WPROWADZILI TU ZNACZNIE WIĘKSZY TERROR NIŻ NA TERENIE GENERALNEGO GUBERNATORSTWA. TYLKO DO KOŃCA 1939 ROKU NA KRESACH ZACHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ ZAMORDOWALI 40 TYSIĘCY OSÓB, PRZEDSTAWICIELI POLSKICH ELIT.

W NIEDZIELĘ 26 PAŹDZIERNIKA W POŁUDNIE PRZYPOMNIJ ICH ZASŁUGI. ZAPAL. ZNICZ W MIEJSCACH, GDZIE GINĘLI NA DAWNYCH ZIEMIACH WCIELONYCH DO III RZESZY, ORAZ PRZEŚLIJ ZDJĘCIE NA STRONĘ INTERNETOWĄ NA ADRES: ZNICZ@DZIEJE.PL. W TYM ROKU WRAZ Z SYLWETKAMI POMORDOWANYCH PRZYPOMINAMY TAKŻE ICH NAJBLIŻSZYCH, WALCZĄCYCH O WOLNĄ POLSKĘ PODCZAS II WOJNY.



WITOLD DONIMIRSKI (1874–1939) ZIEMIANNIN, DZIAŁAJĄCY NA RZECZ POLAKÓW NA NIEMIECKIM WÓWCZAS POWIŚLU, ZAMORDOWANY W KL. SACHSENHAUSEN–ORANIENBURG. CÓRKI EWA I HALINA WALCZYŁY W POWSTANIU WARSZAWSKIM, EWA ZGINĘŁA.



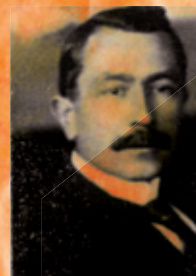
WACŁAW WAWRZYNIAK (1894–1939) POWSTANIEC WIELKOPOLSKI, PRZEDWOJENNY BURMISTRZ FORDONU, ZAMORDOWANY TAM PRZEZ SĘLBSTCHUTZ W PAŹDZIERNIKU 1939 R. W PUBLICZNEJ EGZEKUCJI.



STANISŁAW SAŁACIŃSKI (1904–1939) ŁÓDZKI DZIENNIKARZ, ARESZTOWANY ZA PRZYNALEŻNOŚĆ DO INTELIGENCJI, ROZSTRZELANY 12 LISTOPADA 1939 R. W ŁASACH ŁUCMIERSKICH.



BRUNON OCHOJSKI (1885–1939) HALLERČZYK, POWSTANIEC ŚLĄSKI, SPOŁECZNIK, ZAMORDOWANY W KL. DACHAU. RODZINA OCHOJSKICH AKTYW-NIE UCZESTNICZYŁA W KONSPIRACJI PODCZAS II WOJNY ŚWIA-TOWEJ.



MIKOŁAJ KIEDACZ (1875–1939) PREZYDENT I WICEPREZYDENT POZNANIA (1919–1932), ZAMORDOWANY W FORCIE VII W POZNANIU. SYN ZBIGNIEW WALCZYŁ W POLSKICH SIŁACH ZBROJNYCH NA ZACHODZIE, M.IN. W BITYWIE O MONTE CASINO. POLEGŁ WE WŁOSZACH 23 PAŹDZIERNIKA 1944 R.

„ZAPAL. ZNICZ PAMIĘCI” TO WSPÓLNA AKCJA PIĘCIU ROZGŁOŚNI REGIONALNYCH POLSKIEGO RADIA I PIONÓW EDUKACYJNYCH IPN POD PATRONATEM MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO. W TYM ROKU PO RAZ PIERWSZY PARTNEREM AKCJI JEST PORTAL DZIEJE.PL. WIĘCEJ INFORMACJI NA STRONACH WWW.IPN.GOV.PL/ZAPAL-ZNICZ I WWW.RADIOMERKURY.PL.



MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO
MAREK WOŹNIAK



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[pamięć.pl](http://pamiec.pl)



dzieje.pl
portal historyczny